



MARIE FERRARELLA



Mąż do wzięcia

ROZDZIAŁ 1

Jeśli ma pan wolną chwilkę, to może zechciałby pan czegoś posłuchać?

Schwytany w zasadzkę przed drzwiami swojej klasy i prawie dziesięć metrów od wyjścia, Sloan Walters zrozumiał, że odwrót chwilowo jest niemożliwy. Zerknął na zegarek. Prawie czwarta. Już ponad godzinę temu powinien wsiadać na parkingu do samochodu. Ostatnie sześćdziesiąt osiem minut minęło właściwie nie wiadomo kiedy.

Ciekawe, co za sprawa tym razem. Uczniowie zawsze mieli najwięcej problemów wtedy, gdy właśnie wychodził. Jeśli się śpieszył, to mógł być prawie pewien, że ktoś go zatrzyma. To stało się niemal regułą.

Nigdy nie nauczył się odmawiać pilnemu uczniowi. Między innymi dlatego cieszył się taką popularnością w szkole średniej miasteczka Bedford. Uczniowie walczyli o miejsce na zajęciach prowadzonych przez Sloana - zarówno tych z języka angielskiego, jak i z teatrologii. Jak magnes przyciągała wszystkich osobowość nauczyciela - jego energia, entuzjazm i uczciwość. Większość uczennic pozostawała również pod urokiem jego urody - przystojnej, nieco chmurnej twarzy, ciemnoblonde włosów i wysportowanej sylwetki. Ten damski odłam zjawił się z powodu wyglądu nauczyciela, a pozostał ze względu na wyjątkowo ciekawie prowadzone zajęcia. Zgodnie z panującą opinią, Sloan Walters potrafił tchnąć życie nawet w najbardziej drętwy i nudny temat, choć sam chyba nie zdawał sobie sprawy z tego talentu.

Uczniowie w lot poznali się na panu Waltersie. Wielu z nich wybrało go na swojego mentora i doradcę. Bez skrupowania zwierzały się mu ze swoich kłopotów, z nim dzielili się swoimi nadziejami i obawami, jemu ufali bardziej niż komukolwiek. Pochlebiali mu ich zaufanie. Sloan Walters cenił sobie szacunek, jakim obdarzali go uczniowie, lecz rola przyjacielskiego powiernika czasem kolidowała z jego życiem osobistym.

Właśnie tak jak teraz. Sloan opanował zniecierpliwienie i machinalnie przełożył teczkę z jednej ręki do drugiej.

- Dobrze, Allison, ale niech to rzeczywiście zajmie tylko chwilę. Już jestem spóźniony.

Dziewczyna skwapliwie skinęła głową. Bez zbędnej dyskusji zaczęła na środku korytarza pełnym głosem śpiewać melodyjną, żywą piosenkę z musicalu pt. „Trudno o mężczyznę z pistoletem”. Znajdowali się między sekretariatem a rzędem uczniowskich szafek, lecz dla Allison nie miało to znaczenia. Dała z siebie wszystko - podobnie jak podczas ćwiczeń przed domowym lustrem. Chciała zrobić wrażenie na panu Waltersie, a podczas wiosennej premiery olśnić publiczność wypełniającą salę szkolnego teatru.

Zanim przebrzmiały ostatnie dźwięki, na korytarz wyjrzały sekretarka i wicedyrektorka - obie zaciekawione faktem, że po zakończeniu zajęć w szkolnym holu rozbrzmiewa głośny śpiew. Gdy Allison umilkła, klaskaniem wyraziły szczerze uznanie.

Dla popisującej się dziewczyny liczyło się zdanie tylko jednej osoby. Allison przygryzła dolną wargę i z nadzieją spojrzała na nauczyciela, którego jej koleżanki nazywały między sobą „przystojniakiem”. Pan Walters zawsze był miły i uprzejmy, nawet jeśli wypowiadał pod czyimś adresem uwagi krytyczne, ale dzisiaj Allison zależało na pochwałach. Po wczorajszej próbie tak bardzo przejęła się opinią nauczyciela, który wskazał na pewne niedoróbki, że wieczorem przez kilka godzin powtarzała swoją rolę.

- Czy zabrzmiało bardziej profesjonalnie? - spytała.

Sloan uśmiechnął się, zadowolony z jej zaangażowania. Wiedział, że dziewczynę stać na więcej, niż zademonstrowała podczas ostatniej próby. Jako reżyser przedstawienia udzielił jej kilku wskazówek.

- O wiele bardziej - przyznał. Jednocześnie spojrzał tęsknie na drzwi i zrobił w ich stronę kilka kroków.

Allison zarumieniła się z radości i także posunęła się do wyjścia, zachwycona towarzystwem Sloana Waltersa. Nie zamierzała dać się spławić.

- Wczoraj użył pan dokładnie tego słowa - przypomniała, gdy pchnął skrzydło wahadłowych drzwi. - Dlatego później długo ćwiczyłam - oznajmiła, gdy przekroczyli próg.

Rzeczywiście zrobiła postępy. Jej wczorajsza interpretacja wydawała się błada w porównaniu z dzisiejszą porywającą próbką. Allison niewątpliwie długo pracowała nad tą piosenką. Sloan wysoko cenił młodzieńczy entuzjazm. Sprawiał on, że uczniowie nie żalowali wysiłku, aby doprowadzić do perfekcji coś, na czym bardzo im zależało. Byli zbyt młodzi, aby zdawać sobie sprawę z tego, że życie i tak nie potraktuje ich uczciwie.

On także nie miał o tym pojęcia, kiedy był w ich wieku.

Teraz już wiedział, że los potrafi zadać cios.

Nie było jednak sensu dzielić się z nimi tą informacją. Sami aż za szybko odkryją tę pospolitą prawdę. Na razie z zapałem pielęnowali swoje złudzenia, które czasem udzielały się nawet jemu.

- To widać, Allison. Oby tak dalej. - Pomachał ręką. - Do zobaczenia na jutrzejszej próbie.

Ten zwyczajny, grzecznościowy zwrot zabrzmiał w uszach dziewczyny jak pożegnanie pełne ukrytych sugestii. Uśmiechnęła się, rozmarzona, i przytuliła do piersi podręczniki.

- Na pewno przyjdę! - zawołała na tyle głośno, aby usłyszał, choć już zamknęły się za nim drzwi.

Powinnaś, pomyślał z bezgłośnym śmiechem. Przecież grasz w tym musicalu główną rolę.

Szybko zbiegł po kilku betonowych schodkach prowadzących na parking. Podszedł do swojej mazdy rocznik 1983, otworzył drzwiczki od strony siedzenia pasażera i rzucił na nie teczkę. Następnie obszedł auto, wszedł i zapalił silnik.

Wyjechał na ulicę i włączył się do jeszcze ospałego o tej porze ruchu. Czuł się sfrustrowany, bo, prawdę mówiąc, powinien być w dwóch miejscach naraz. W domu i w szkole. Głośno wypuścił powietrze, poirytowany faktem, że zatrzymało go czerwone światło. Przypuszczał, że to samo powtórzy się na każdym następnym skrzyżowaniu. Ostatnio zawsze tak było - prześladował go pech i na wszystko brakowało czasu. Jeśli przykładał się do obowiązków nauczycielskich, to na ogół odbywało się to kosztem jego synów.

Sytuacja wyglądałaby lepiej, gdyby nie wmanewrowano go w reżyserowanie tegorocznego szkolnego przedstawienia. Zajmowała się tym zazwyczaj pani Jacobs, ale niedawno wzięła urlop macierzyński. Po niej najlepszym kandydatem wydawał się nauczyciel angielskiego, więc Sloanowi nie pozostawało nic innego, jak wyrazić zgodę. W ten sposób do listy swoich zajęć dodał jeszcze jedno. Próby i konieczność zajmowania się milionem spraw związanych z premierą sprawiły, że jego życie prywatne praktycznie przestało istnieć, a raczej ograniczało się wyłącznie do opieki nad dwoma małymi chłopcami.

Danny i Joey zawsze byli dla niego najważniejsi, choć oni chyba mieli co do tego wątpliwości. Sloan starał się poświęcać im maksymalnie dużo czasu. Dlatego przyzwyczaiał swój organizm tylko do pięciu godzin snu na dobę. Pozwalał sobie na sześć, gdy czuł się wyjątkowo rozleniwiony. Mimo to pozostałą część dnia po brzegi wypełniała rodzina i praca.

I właśnie taki układ najbardziej mu odpowiadał. Sloan nie potrzebował czasu na życie towarzyskie. Owszem, dawniej lubił otaczać się rozbawionymi ludźmi. To się zmieniło, gdy zabrakło Julie...

Gwałtownie nadepnął na pedał hamulca. Odetchnął, zadowolony, że nie spowodował wypadku. Powoli skręcił w prawo.

Tym razem wspomnienia prawie zdołały wyrwać się na powierzchnię. Podstępnie podkradały się do niego w ciemności, niczym wytrawny snajper z szybkostrzelną bronią. Usiłowały go zdruzgotać, lecz on nie zamierzał im na to

pozwoić. Nie mógł dopuścić do tego, aby prześladowały go myśli o Julie. Pobudzały bowiem emocje, które zżerały go od środka. Dlatego musiał zdusić je w zarodku - tak jak robił to przez cały ubiegły rok.

Ściślej, przez ostatnie trzynaście miesięcy.

Przecież Julie odeszła na zawsze. Wspomnienia o niej ani niczego nie zmieniały, ani nie ułatwiały. Przeciwnie - gdy się w nich pograżał, tracił ochotę do pracy, wpadał w przygnębienie, ogarniało go rozgoryczenie. Najlepiej panował nad sobą wtedy, gdy miał mnóstwo zajęć, które nie pozostawiały wolnej chwili na jakiegokolwiek rozważania i duchowe rozterki.

Ani na zainteresowanie jakąkolwiek osobą.

Skoro nie pozostawił sobie czasu na wspomnienia o żonie, to nie było także miejsca na cierpienie, na dojmującą boleść, która tak łatwo mogłaby uniemożliwić nawet oddychanie. Niewątpliwie podziałałaby paraliżująco. Wiedział już o tym z własnego doświadczenia. Popęłił ten błąd i raz pozwolił wspomnieniom powrócić z całą siłą. Towarzysząca temu udręka niemal go zniszczyła.

A gdyby do tego doszło, to co stałoby się z jego synami?

Przecież ktoś musiał się opiekować dwoma małymi chłopcami. Najlepiej nadawał się do tego ich ojciec. To prawda, że często zajmowała się nimi babcia, ale ona miała również swoje własne życie. Danny i Joey potrzebowali kontaktu z ojcem. To im się bezsprzecznie należało.

A on musiał dawać sobie radę.

Właściwie szło mu coraz lepiej, stwierdził, gdy odezwało się poczucie winy z powodu spóźnienia. Początkowo sądził, że przerasta go rola samotnego ojca, ale od śmierci Julie nauczył się wielu rzeczy, które dawniej uważał za niewykonalne. Na przykład takich, jak sporządzanie precyzyjnego planu zajęć na dany dzień i robienie prania w środku nocy. Gdyby jeszcze zdołał osiąść sztukę gotowania, stałby się niemal idealnym samotnym ojcem.

Gotowanie, pomyślał i ogarnęło go uczucie beznadziejności.

W drodze powrotnej miał kupić trzy gotowe obiady do podgrzania w kuchence mikrofalowej. Jego matka nie zamierzała zostać do wieczora, co oznaczało, że Sloan musi samodzielnie przygotować posiłek dla siebie i chłopców. A to wymagało zrobienia zakupów w supermarkecie.

W tym supermarkecie, który właśnie minął.

Zamruczał kilka niemiłych słów na temat chaosu, jaki zapanował w jego umyśle, oraz braku pamięci i jednocześnie zerknął we wsteczne lustro. Za nim ulica była pusta, więc wstrzymał oddech i gwałtownie zjechał na wewnętrzny pas ruchu. Akurat zapaliło się zielone światło dla pojazdów skręcających w lewo. Sloan wjechał na przeciwny pas i zawrócił w stylu, z którego dziesięć lat temu byłby dumny.

Dziesięć lat temu nie obawiałby się, że zatrzyma go policja. Dopiero upływ czasu, okoliczności i ojcostwo wpoiliły potrzebę zachowania ostrożności. Jako pełen temperamentu nastolatek nie przejmował się takimi głupstwami.

Pełen temperamentu? Sloan potrząsnął głową. Był po prostu diabelnie żywym chłopakiem, co zresztą bardzo podobało się dziewczynom. Tak twierdzili jego kumple, sam na to nie zważał. Jego serce już wtedy należało tylko do jednej osoby.

Cholera, znów zaczyna wracać do przeszłości.

Zatrzymał samochód na parkingu, wysiadł i z całej siły trzasnął drzwiczkami. Co, u licha, dzisiaj się z nim dzieje? Czy to zbliżająca się wiosna płata mu takie figle? Zastawia pułapki i strzela w niego strzałami o końcówkach zatrutych wspomnieniami?

Tak, nic innego, tylko to. Wiosna. Właśnie wiosną zaczęli ze sobą chodzić. Wiosną po raz pierwszy się kochali i wiosną poprosił Julie, aby została jego żoną. Wiosną powinno się ignorować, pomyślał cynicznie i pomaszerował do sklepu.

Drzwi ledwie zdążyły się otworzyć, gdy zdecydowanym krokiem wszedł do środka. Szarpnął jeden z metalowych wózków i z przesadną energią skierował go tam, gdzie znajdowały się chłodnicze lody z mrożoną żywnością.

Jako były sportowiec, skupił całą uwagę na mijających minutach. Jego matka szła dziś wieczorem na przyjęcie. Uprzedziła, że może pilnować chłopców tylko do szesnastej trzydzieści. Sloan, nawet nie patrząc na zegarek, wiedział, że powinien zjawić się w domu najdalej za pół godziny. Matka na pewno darowałaby mu spóźnienie, ale tylko kilkuminutowe. W kwestii punktualności nie tolerowała nonszalancji.

Żadne z kolorowych pudełek nie wzbudzało szczególnego entuzjazmu Sloana. Dlatego na chybił trafił wybrał trzy opakowania. Kto by pomyślał? - uśmiechnął się ni to gorzko, ni ironicznie, jego matka obecnie prowadziła bardziej ekscytujące życie towarzyskie niż on. Wszystko stało na głowie. Teraz on zostawał w domu i przypominał, aby uważała na siebie, gdy z przyjaciółmi wybierała się na jakąś imprezę.

Cieszył się, że matka lubi się bawić i chwyta życie pełnymi garściami. Należało się jej trochę radości, nawet jeśli jej rozrywki zabierały czas, który zazwyczaj rezerwowała dla wnuków. Do tej pory zawsze jakoś udawało się im wymieniać w sprawowaniu opieki nad chłopcami. Gdyby dzisiaj odbywała się próba musicalu, Sloan zabrałby ich do szkoły. Dla sześć- i ośmiolatka odwiedziny w miejscu pracy taty wciąż stanowiły wielką atrakcję. A jeśli czasem poczuł bolesne ukłucie, bo ich buzie zanadto przypominały rysy nieżyjącej żony, to czerpał z tego nie tylko gorycz, ale i pociechę. Z tym bólem nauczył się żyć.

Z innym było gorzej.

Niech to szlag!

Najwyraźniej nie panował dzisiaj ani nad myślami, ani nad nerwami. Zły na siebie, zaklął pod nosem i gwałtownie skręcił wózkami w prawo, żeby iść do kasy. Niestety, dokładnie w tej samej chwili ktoś inny spróbował wypchnąć

swój wózek z za wysokiego regału z towarami. Dwa wielkie, metalowe kosze na kółkach zderzyły się ze sobą, a głośny trzask przyprawił Sloana o zawrót głowy.

- Bardzo panią prze... - Urwał w pół słowa, ze zdumieniem wpatrując się w ciemnowłosą kobietę, którą przed chwilą niechcący zaatakował. - Caroline?

Raptownie wyrwana z głębokiego zamyślenia, Caroline Masters zamrugła jak osoba zbudzona z hipnotycznego snu pstryknięciem palców. Jednocześnie na moment ścisnęło ją w dołku. Na jedną krótką sekundę cofnęła się w czasie. Znow miała piętnaście lat i beznadziejnie kochała się w Sloanie Waltersie.

Beznadziejnie i w tajemnicy, ponieważ Julie także go kochała. A Julie Simone była jej najlepszą przyjaciółką.

Caroline poczuła skradające się w górę szyi ciepło. Modliła się, aby ten rumieniec okazał się tylko wytworem jej wyobraźni. Pracujące i samodzielne młode kobiety nie powinny czerwienić się jak niedoświadczone, kilkunastoletnie dziewczyny.

- We własnej osobie - odparła z udawaną swobodą, próbując wziąć się w garść. Zerknęła na szczipione ze sobą wózki. - Widzę, że nadal jeździsz z taką samą fantazją jak dziesięć lat temu - dodała i natychmiast pożałowała tych słów. Julie straciła życie w wypadku samochodowym. Jakiś spieszący się do pracy, zniecierpliwiony osobnik zignorował czerwone światło i wpadł prosto pod koła samochodu prowadzonego przez Julie. Zginęła na miejscu, próbując ocalić przechodnia.

Palnęłaś głupstwo, skarciła się w myśli Caroline. Jeśli nawet jej uwaga poruszyła jakąś bolesną strunę, to Sloan nie dał tego po sobie poznać. Zręcznie rozdzielił wózki. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Co robisz w naszym miasteczku? - zapytał.

Była ostatnią osobą, którą spodziewałby się tutaj spotkać. Widzieli się ponad rok temu na pogrzebie jego żony. Oboje próbowali dodać sobie nawzajem sił. Chociaż właściwie to Sloan starał się ukoić ból Caroline. Sam nie pozwolił

nikomu łagodzić swojego cierpienia. Nie ujawniał go, bo obawiał się, że nie zdoła opanować raz uwolnionych emocji. Dopóki skutecznie dusił je w sobie, mógł jako tako funkcjonować. Gdyby pozwolił sobie na rozpacz, jego własne życie i los synków byłyby zagrożone.

- Co robię? - powtórzyła bezmyślnie i zaraz dodała: - Zakupy.

Lodówka w domu rodziców świeciła pustkami. Milcząco świadczyła o tym, że matka ostatnio coraz gorzej radziła sobie z codziennymi obowiązkami. Caroline wzięła krótki urlop w klinice i przyjechała z Albuquerque, aby trochę pomóc. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na matkę, aby stwierdzić, że regularne posiłki stały się dla Wandy Masters czymś mało ważnym.

- To widać - przyznał. Jej wypełniony po brzegi wózek przypominał Sloanowi ostatni rok przed maturą. Pracował wówczas w supermarkecie, pakując klientom towary. W każde piątkowe popołudnie, po szkole, Caroline robiła w jego sklepie zakupy dla swojej rodziny. - Zamierzasz trochę posiedzieć w Bedford?

- Prawdę mówiąc, tak. - Podjęła tę decyzję jeszcze przed złożeniem podania o urlop.

Teraz zastanawiała się, czy powiedzieć Sloanowi, jaka była przyczyna przyjazdu. Wyjaśnienie wymagałoby jednak wdawania się w szczegóły. Nie chciała mówić o tych sprawach na środku supermarketu. Poza tym uznała, że na razie lepiej zachować dyskrecję. Wieści rozchodziły się szybko, a każda najmniejsza wzmianka na drażliwy temat sprawiała matce przykrość. Ojciec też byłby zakłopotany, gdyby rzeczywiście orientował się w sytuacji.

Postanowiła zatem przemilczeć prawdziwy powód przyjazdu. Sloan nie musiał wysłuchiwać opowieści o jej problemach. Prawdopodobnie miał wystarczająco dużo swoich.

Sloan odwrócił swój wózek przodem do wyjścia i rzędu kas. Oboje ruszyli w tę stronę przejściem między regałami.

- Kiedy przyjechałaś?

Przypuszczał, że dzisiaj. Dlatego zdziwił się, gdy powiedziała, że jest w Bedford od kilku dni.

- I nawet się nie odezwałaś? - To zupełnie nie pasowało do Caroline. Telefonowała zawsze, ilekroć zjawiała się w miasteczku. Czemu tym razem tego nie zrobiła? Czyżby zdarzyło się coś złego? Spojrzał na nią uważnie.

- To trochę inna wizyta niż zwykle - przyznała ogólnikowo, choć chętnie opowiedziałaby komuś, co ją tutaj sprowadza. - A co u ciebie?

Tak szybko zmieniła temat, że umysł Sloana dopiero po chwili zarejestrował sens pytania.

- W porządku. - Tak brzmiała standardowa, automatycznie udzielana odpowiedź, ilekroć pytano go o jego sprawy. Stosował ją nawet wówczas, gdy sam o nich myślał. Radził sobie dobrze. Wszystko było w porządku.

Caroline drgnęła. Reakcja Sloana sprawiła jej przykrość. Szybko użył wyświechtanego zwrotu, którym na ogół zniechęca się rozmówcę do wejścia na bardziej osobisty grunt.

Wyraz twarzy Sloana potwierdził to odczucie. Nadal cierpiał, chociaż Caroline wiedziała, że nigdy o tym nie mówił. Nigdy nawet nie wspomniał o tym, co czuje. Wystarczyła jednak odrobina wyobraźni, aby domyślić się, że nie pogodził się ze śmiercią ukochanej żony.

Wspaniale się maskuje, pomyślała. Jego sposób bycia rzeczywiście niczego nie zdradzał. Oblicze, jakie pokazał światu tuż po pogrzebie, emanowało siłą i świadczyło o niebywałym opanowaniu. Jak gdyby pragnął zanegować fakt, że czyjaś głupota zniweczyła szczęście Sloana Waltersa. Nikt lepiej od Caroline nie rozumiał ogromu jego miłości do Julie. Caroline przebywała w Bedford, gdy zdarzyło się tamto nieszczęście. Właśnie spotkała się ze Sloanem i widziała, jak przyjął telefoniczne zawiadomienie o tragicznym wypadku. W tej jednej chwili tuż po odłożeniu słuchawki wyglądał na kompletnie załamanego i zdruzgotanego. Zaraz po tym wziął się w garść i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywdział na twarz maskę spokoju.

W ciągu następnych tygodni Caroline próbowała ciepłymi słowami złagodzić cierpienie Sloana, lecz on nigdy jej na to nie pozwolił. Za każdym razem przerywał jej niemal w pół słowa i kierował rozmowę na inne tory. Najwyraźniej nie chciał, aby Caroline mu pomogła. Aby ktokolwiek mu pomógł.

Stanęli w krótkiej kolejce do kasy i Caroline skinęła głową w stronę jego wózka.

- Nie jesteś zwolennikiem dużych zakupów, prawda?

Na jego wargach zaigrał ów chłopięcy uśmiech, którym przed laty Sloan zdobył jej serce.

- Wpadłem tylko po trzy obiadowe porcje dla chłopców i siebie - odparł. - Moja matka wybiera się dzisiaj na przyjęcie - dodał dla wyjaśnienia. - Od kilku miesięcy prowadzi ożywione życie towarzyskie.

- A ty wciąż nie nauczyłeś się gotować. - Zabrzmiało to jak stwierdzenie. Zainteresowania Sloana rzeczywiście nigdy nie pchnęły go w stronę kuchni. Nie było takiej potrzeby. Zawsze otaczały go kobiety skłonne z radością wykonać za niego wszelkie domowe obowiązki. Zadziwiające okazało się tylko to, że Sloan nigdy nie nadużywał swojej uprzywilejowanej pozycji.

Teraz parsknął śmiechem, bo przypomniał sobie beznadziejnie smutną minę Danny'ego, gdy w ostatni weekend zaczął kulinarne eksperymenty. Zamierzał przygotować duszoną wołowinę z jarzynami, z opłakanym skutkiem. Zniszczył nie tylko kawał mięsa, lecz również prawie nowy garnek. Przypalił potrawę, a na dnie naczynia pozostały zwęglone ślady, których w żaden sposób nie udało się usunąć. Garnek i wołowinę spotkał ten sam los - obie rzeczy trafiły do śmieci. Nawet zazwyczaj wygłodniały pies sąsiadów nie połakomił się na taką ucztę.

- Chyba nie - przyznał skruszony. - Poza tym - wzruszył ramionami - nie miałem czasu się podszkolić.

Dobrze znała ten problem. Czas zaliczał się do najcenniejszych dóbr, gdy studiowała medycynę. Na pierwszym roku Caroline sypiała średnio po trzy godziny na dobę. Zdarzało się, że krócej. Uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Dużo pracy? - spytała.

- Mnóstwo. - Położył na ruchomej taśmie trzy pudełka.

Caroline czuła, że w tym przypadku nie chodzi o nieodpowiednie gospodarowanie czasem. Jeżeli Sloan go nie miał, to znaczy, że tego chciał. Gdy był zagoniony, nie musiał za dużo myśleć ani zmagać się z emocjami. Jej zdaniem, Sloan traktował ból i rozpacz jak swoich śmiertelnych wrogów, zachowanie dystansu stało się obroną konieczną.

Niewątpliwie płacił za to wysoką cenę. Wyglądał na zmęczonego.

- Coś mi się wydaje, że ty i chłopcy chętnie zjedlibyście domowy obiadek. - Zaczęła opróżniać swój wózek.

- Czy to propozycja?

- Oczywiście. - Caroline odprężała się, przygotowując posiłki. Przy natłoku obowiązków zawodowych krzątanie się przy kuchni było rzadką gratką. Wyłożyła na taśmę cztery plastikowe worki z owocami. - Zostanę w Bedford przez miesiąc - dodała. Tyle czasu powinno jej wystarczyć.

Pomyślała o swoich rodzicach. Co prawda, znali Sloana od kilkunastu lat, ale aktualna sytuacja domowa nie sprzyjała prowadzeniu życia towarzyskiego. Dobro matki i ojca było ważniejsze niż gościnność. A oni oboje potrzebowali teraz spokoju. Caroline nie zamierzała go burzyć, co automatycznie wykluczało wizytę Sloana i jego synów.

Zerknęła na niego.

- Mogę wam coś upitrasić, ale pod jednym warunkiem. Zrobię to u was.

Zdziwiło go to zastrzeżenie. Już zamierzał zapytać o powody, ale ugryzł się w język. Skoro Caroline powiedziała tylko tyle, to znaczy, że wolała je przemilczeć.

- Znakomicie - oświadczył. - Może jutro wieczorem? - zaproponował. Jego matka wraz z grupą przyjaciół wybierała się na kilka dni do Las Vegas, więc on i chłopcy będą musieli sami sobie radzić. Gotowe barowe posiłki zaczynały im wychodzić bokiem, choć gdyby to Joey miał decydować, to jadłby tylko porcje z czerwono-białej papierowej torby, w której zawsze znajdował małe opakowania keczupu.

Jutro wieczorem, powtórzyła w myśli Caroline. Ten pomysł przypadł jej do gustu. Znow zobaczyłaby synów Sloana, no i ugotowałyby im coś pysznego. Uśmiechnęła się.

- Umowa stoi - oświadczyła wesoło.

ROZDZIAŁ 2

Mamo, jak mogłaś dopuścić do takich zaległości? Niektóre terminy płatności minęły dwa miesiące temu!

Na poparcie tych słów Caroline uniosła garść rachunków. Przyszła dziś do gabinetu ojca pod wpływem impulsu. Zapragnęła chociaż na krótko wrócić do przeszłości. Do znacznie mniej skomplikowanego okresu swojego życia. Jako mała dziewczynka, często grzecznie bawiła się w gabinecie - lub przynajmniej wydawało się jej, że jest grzeczna. Miała wtedy najwyżej sześć lat. Ojciec siedział przy biurku i pracował. W tamtych czasach jeszcze palił fajkę. Matka wytrzebiła ten zwyczaj, gdy tytoń znalazł się na czarnej liście. Prawie niewyczuwalny zapach wiśniowego drewna nadal budził w Caroline miłe wspomnienia.

Ta nostalgiczna zaduma raptownie się skończyła, gdy Caroline usiadła i spojrzała na blat biurka. Leżało na nim mnóstwo długich, białych kopert z urzędową korespondencją. Ponad połowa nie była otwarta. Na niektórych znajdował się czerwony napis „Upomnienie”. Caroline natychmiast zwróciła na

to uwagę. Na chybił trafił rozcięła kilka z nich. Zawierały nie zapłacone rachunki oraz wyliczenie karnych odsetek za zwłokę.

Posortowała przesyłki i dopiero wtedy zawołała matkę. To, co przed chwilą odkryła, przyprawiło Caroline o tępy ból głowy.

Wanda Masters zareagowała na pytanie obronnym wysunięciem dolnej wargi.

- To nie ja dopuściłam do zaległości. - Umilkła, lecz natychmiast ogarnęło ją poczucie bezradności. Tej bezradności, która prześladowała ją od czasu, gdy potknięcia męża stały się zauważalne. - Twój ojciec do tego doprowadził.

Caroline starała się nadać głosowi spokojne brzmienie, żeby nie okazać odczuwanej irytacji. Od dawna знаła niechęć matki do wzięcia na siebie odpowiedzialności za cokolwiek. Tym razem sytuacja wyglądała zbyt poważnie, aby ją zignorować.

- Mamo, wiesz tak samo dobrze jak ja, że tato zapomina o różnych rzeczach. Sama mi o tym powiedziałaś. Dlaczego nie dopilnowałaś, żeby przynajmniej opłacał wszystkie świadczenia? - Zerknęła na zawiadomienie z banku, który udzielił kredytu na zakup domu. Zawierało zwięzłą informację o prawie trzymiesięcznym opóźnieniu obowiązkowej płatności.

Wanda potrząsnęła głową.

- Nie mogę zaglądać mu przez ramię. Poczulby się urażony. Wiesz, jakim jest dumnym człowiekiem.

Caroline wprost nie mogła uwierzyć, że W takiej sytuacji matka z uporem godnym lepszej sprawy zasłaniała się całkiem nieprzekonującą wymówką.

- Przecież nie musiałaś mu nic mówić, mamo. Wystarczyło zajrzeć do książeczki czekowej.

Na szyi starszej pani pojawiły się czerwone smugi, przechodzące na policzkach w ceglaste wypieki. Wanda Masters znalazła się w pułapce i wiedziała, że jest na straconej pozycji. Nie lubiła się tłumaczyć. Wszelkie wyjaśnienia na ogół tylko pogarszały sprawę.

- To nie takie proste, jak ci się wydaje - odparła. - Nie mam pojęcia, gdzie ojciec trzyma książeczkę czekową.

Caroline patrzyła na matkę osłupiała. Wiedziała, że to ojciec zawsze zajmował się domowymi finansami. Sądziła jednak, że wynikało to z przyzwyczajenia, a nie z powodu jakiejś niepisanej umowy świadczącej o lekceważącym stosunku do żony. Caroline odniosła wrażenie, że nagle znalazła się na planie głupawego serialu komediowego z początku lat sześćdziesiątych. A może po prostu się przesłyszała? Matka była przecież wykształconą kobietą!

- Chwileczkę, mammo. Twierdzisz, że nie wiesz, gdzie jest wasza książeczka czekowa?

- Nie. - Wanda wstała i zaczęła krążyć po małym gabinecie, zbyt roztrzęsiona, żeby skupić na czymś uwagę. Przed kilku tygodniami zauważyła, że dzieje się coś bardzo złego z mężczyzną, którego kochała przez większość swojego życia i na którym polegała. Od tej pory nie potrafiła znaleźć sobie miejsca, poważnie zaniepokojona stanem męża. Teraz machinalnie obracała na palcu ślubną obrączkę. Zawsze tak robiła, gdy była zdenerwowana. Na skórze widniało wgłębienie, jak gdyby obrączka wrosła w ciało. Caroline dostrzegła je nawet z tego miejsca, gdzie siedziała.

O, mammo, pomyślała ze współczuciem. Dlaczego wcześniej do mnie nie zadzwoniłaś?

- Nie - powtórzyła Wanda i zgarbiła się w poczuciu klęski. - Nie wiem, gdzie jest książeczka. Tak samo nie wiem, gdzie znajduje się akt kupna domu i niebieski kwitek na samochód.

- Różowy - łagodnie sprostowała Caroline. Matka spojrzała na nią tępo.

- Dowód własności samochodu ma kolor różowy.

Matka machnęła rękami, niezadowolona z faktu, że ją poprawiono i udowodniono jej ignorancję. Była zła na życie, ponieważ rzucało jej kłody pod nogi.

- Różowy, niebieski - co za różnica? Nie rozpoznałabym żadnego z tych świstków, nawet gdybym zawadziła o niego nogą. - Frustracja sprawiła, że na czole, w które Wanda codziennie wieczorem tak starannie wklepywała krem, aby pozostać dla męża wiecznie młodą, bo w przeciwnym razie przestałby ją kochać, pojawiły się zmarszczki. - Sprawy urzędowe zawsze załatwiał twój ojciec, nie ja - powiedziała. - Nie ja - powtórzyła ciszej, jak gdyby usiłowała przekonać samą siebie, że nie zawiniła.

Caroline zastanawiała się, od czego powinna zacząć, aby jakoś uzdrowić tę sytuację. Jednocześnie czuła, że lada moment ogarnie ją przytłaczająca rozpacz. Musiała skutecznie jej się przeciwstawić. Miała przemożną ochotę po prostu sama wszystkim się zająć. Oczywiście wolałaby działać, a nie uczyć. Byłoby to o wiele łatwiejsze. Należało jednak wziąć pod uwagę ewentualny rozwój wypadków. Jeśli matka miałaby w przyszłości samodzielnie dbać o swoje sprawy, to teraz trzeba ją przekonać, że da sobie radę. Powinna tylko przestać chować głowę w piasek i wykorzystać swoje głęboko ukryte umiejętności. Rezygnacja i depresja na pewno nie mogły pomóc. Należało to matce przekonująco uświadomić.

- Mamo - Caroline podeszła do matki i położyła dłonie na jej barkach - najwyższy czas, abyś stała się silna.

Wanda ruchem ramion strząsnęła ręce córki, jak gdyby ich dotknięcie parzyło.

- Wcale nie muszę - zaprotestowała. - Twój ojciec wkrótce odzyska dobrą formę. Jego stan wróci do normy - oświadczyła z uporem w głosie. - Josh zawsze był okazem zdrowia. Nigdy na nic nie chorował. To tylko chwilowe pogorszenie samopoczucia, nic więcej. - Spojrzała na Caroline, ciemne oczy bezgłośnie błagały o potwierdzenie tych słów. Nieważne, czy rzeczywiście miała rację. Z tym problemem zamierzała zmierzyć się później. Teraz pragnęła tylko usłyszeć, że wszystko będzie dobrze.

Podczas ostatnich kilku dni Caroline dyskretnie, lecz uważnie obserwowała ojca. Na razie stwierdziła jedynie, że jest trochę roztargniony. Gdy na początku tygodnia matka zatelefonowała do niej i poprosiła o natychmiastowy przyjazd, w jej głosie brzmiał strach. Nie mógł być spowodowany wyłącznie niegroźnym roztargnieniem. Matka zawsze wykazywała skłonność do dramatyzowania, lecz szósty zmysł ostrzegał Caroline, że teraz chodzi o coś poważniejszego. Nawet jeśli po przyjeździe miała jeszcze jakieś wątpliwości, to całkowicie rozwiął je stos nie zapłaconych rachunków. Jej ojciec zawsze szczyił się tym, że nikomu nie jest nic winien. Gdyby zachował pełnię władz umysłowych, nigdy nie dopuściłby do takiego zadłużenia.

Caroline wiedziała, że sprawy przybrały poważny obrót. Matka powinna przygotować się na najgorsze, ponieważ taka ewentualność była wysoce prawdopodobna.

- Może to nie jest stan przejściowy - powiedziała łagodnie. - Musisz uczynić takie założenie, żebyś łatwiej dała sobie radę.

- Ja nic nie muszę! - parsknęła Wanda.

Caroline westchnęła i otoczyła matkę ramieniem. Kiedy stała się taka krucha i eteryczna?

- Nawet jeśli to tylko chwilowa niedyspozycja, to ty powinnaś go wesprzeć. Podobnie jak on zawsze wspierał ciebie.

- Przecież go wspieram! - W głosie Wandy zabrzmiała zarówno desperacja, jak i bunt. - Nadal kocham go do szaleństwa. Kiedy budzi się w nocy, może nieco przestraszony lub pełen takich obaw jak twoje i wyciąga rękę do mnie, do swojej żony, jestem przy nim. To właśnie ja rozpraszam jego niepokój.

Taka troskliwość mogła już nie wystarczać. W tych szczególnych okolicznościach należało dać z siebie dużo więcej. Zwłaszcza gdyby podejrzenia Caroline okazały się trafne.

- Mamo, odgrywanie roli nocnej lampki to za mało. - Po raz pierwszy matka miała zająć się sprawami, które nigdy nie należały do jej obowiązków. Caroline przypuszczała, że nie przyjdzie to łatwo. - Nawet jeśli dziadek był tyranem i nie pozwalał ci na samodzielność, a tato nie chciał „kłopotać twojej ślicznej główki”, to wcale nie znaczy, że nie potrafisz nic robić.

Jak dotąd życie rozpieszczało Wandę McKee Masters. Od dziecka nie musiała troszczyć się o swoją egzystencję. Skończyła college, lecz zdobyta wiedza była tylko sztuką dla sztuki, ponieważ Wanda nigdy nie pracowała i nigdy nie musiała zmierzyć się z realiami codzienności.

Teraz przygryzła dolną wargę, niezadowolona z przebiegu tej rozmowy.

- Ale ja naprawdę tego nie umiem.

- Umiesz. Zbilansowanie książeczki czekowej nie wymaga znajomości wyższej matematyki, mamo. Wystarczy zwykle dodawanie i odejmowanie. Przez tyle lat organizowałaś te swoje wspaniałe przyjęcia, więc na pewno sobie poradzisz z głupim bankowym kontem. - Boleściwa mina matki uświadomiła Caroline, że podniosła głos. - Sama się przekonasz - dodała ciszej. - Mamo, wszyscy zawsze traktowali cię tak, jakbyś była ze szkła, ale nie jesteś. - Widziała, że jej słowa zupełnie nie trafiają matce do przekonania. Spróbowała jeszcze raz. - Mamo, jesteś silną kobietą. Z pewnością odziedziczyłam część twoich genów, a nie zaliczam się do ludzi słabych.

Wargi Wandy wygięły się w smutnym, lecz świadczącym o satysfakcji uśmiechu.

- Ty wrodziłaś się w ojca.

Caroline ujęła obie dłonie, które dawniej troskliwie o nią dbały, codziennie starały się ułożyć jej włosy, żeby wyglądała równie ładnie jak inne dziewczynki. Te dłonie, niestety, trzymały się na próżno.

Caroline różniła się od swoich koleżanek. Po prostu była sobą - osobką nieco milczącą, trochę niekonwencjonalną i niecierpliwie usiłującą znaleźć swoje miejsce, choć wydawało się, że ono nie istnieje. Zawsze chodziła

własnymi drogami. Nie wybrała tej, na której chciałyby widzieć ją matka. Zdobyła zawód, lecz nie wyszła za mąż, poświęcała czas małym pacjentom, lecz nie miała swoich dzieci.

- Niektóre cechy mam po tobie - stanowczo stwierdziła Caroline. - Wiem, że potrafisz zająć się tym, co najważniejsze. Przekonamy się, co dolega tacie. Bez względu na charakter jego niedyspozycji - przejściowy lub nie - zmierzmy się z tym problemem razem. Ty i ja, rozumiesz? - Delikatnie rozmasowała zmarszczone czoło matki, którą zawsze kochała całym sercem, lecz we wpatrzonych w nią oczach Wandy wciąż widziała niepewność.

Ani Caroline, ani Wanda nie zdawały sobie sprawy z tego, że ktoś właśnie wszedł do gabinetu.

- Planujecie zamach stanu? - Głęboki śmiech Josha Mastersa wypełnił nieduży pokój. Josh podszedł do żony i córki. Jego ruchy cechowała swoboda i pewność siebie. Wysoki i krzepki, z falującą grzywą siwych włosów, przypominał dumnego lwa. Właśnie ten jego wygląd i sposób bycia sprawiały, że w czasach, gdy prowadził własną firmę budowlaną, ludzie z ufnością powierzali mu swoje marzenia. Był człowiekiem, który potrafił je zmienić w rzeczywistość.

Teraz jego zachowanie przeczyło temu, że stracił zdolność kontrolowania swych poczynań. Przez pełen nadziei moment Caroline łudziła się, że matka robiła z igły widły. Nie byłby to pierwszy raz, gdy Wanda Masters zareagowała zbyt emocjonalnie. Pomijając stertę zaległych rachunków, Caroline, jak dotąd, nie zauważyła u ojca żadnych przejawów umysłowej ociążałości, o której matka opowiedziała jej szeptem, jak gdyby obawiała się, że głośne słowa nadadzą domysłom rangę faktu.

Caroline uznała, że potrzebuje więcej dowodów. Postanowiła nadal obserwować ojca, nie wyciągając zbyt pochopnych wniosków.

- Próbuję nauczyć mamę sztuki wypisywania czeków.

- Po co, Caroline? - Wziął z biurka stosik upomnień i spojrział na pierwsze z nich tak, jakby nigdy przedtem go nie widział. Następnie zerknął na drugie i trzecie. Uśmiech na jego szerokiej twarzy stał się nieco wymuszony i przez chwilę wydawało się, że zniknie.

Wygląda jak zbuntowany chłopak, któremu zwrócono uwagę, bo zapomniał wynieść śmieci, pomyślała Caroline. Josh Masters odłożył przesyłki na blat.

- Zajmę się tym - mruknął. - Ostatnio brakowało mi czasu. Nie ma potrzeby zawracać twojej matce głowy takimi głupstwami.

Caroline wiedziała, że ojciec ma dobre intencje, ale to także było częścią problemu.

- Mama powinna się orientować, jak... Uśmiech powrócił - szczerzy i serdeczny.

- Twojej matki wcale nie trzeba ulepszać. Oboje jesteśmy tacy, jacy powinniśmy być - oznajmił. Patrzył na córkę z miłością i dumą. Objął ją jednym ramieniem i przytulił. - Fakt, że zdobyłaś ten swój tytuł, nie oznacza, że mamy zostać twoimi pacjentami. - Puścił Caroline i zwrócił się do żony: - Wando, gdzie jest aspiryna? Głowa za chwilę pęknie mi z bólu.

Poszczególne elementy zaczynały aż za dobrze do siebie pasować, co zaniepokoiło Caroline.

- Często doskwierają ci te bóle głowy, tato? Josh uniósł krzaczaste, siwe brwi.

- Czy przypadkiem nie miałaś gotować obiadu dla swojego przyjaciela? - zapytał z ledwie wyczuwalnym zniecierpliwieniem. - A przy okazji, jak Sloan sobie radzi?

Tym razem Caroline pozwoliła ojcu zmienić temat. Nie wątpiła, że wkrótce i tak uzyska odpowiedzi na dręczące ją pytania.

- Chyba tak jak można było się spodziewać - odparła, wzruszając ramionami - i rzeczywiście obiecałam mu coś upichcić, więc lepiej już pojedę.

Mogłaby przysiąc, że na twarzy ojca odmalował się wyraz ulgi. Prawie natychmiast zmienił się on w czuły uśmiech, gdy Josh popatrzył na żonę.

- Żałuj, bo stracisz nasz wspaniały obiad. Twoja matka postanowiła dzisiaj poeksperymentować i przygotować coś całkiem nowego. Jak nazwałaś tę potrawę, kochanie? Kurczak po królewsku?

Porcelanowa cera Wandy stała się o ton bledsza.

- Tak, kurczak po królewsku - potwierdziła i ukradkiem zerknęła na córkę. Josh zauważył tę szybką wymianę spojrzeń. Poczul się zakłopotany, ale nie potrafił niestety, sprecyzować z jakiego powodu. Zawsze spokojny i opanowany, tym razem zareagował w sposób zupełnie dla siebie nietypowy.

- O co chodzi? - parsknął poirytowanym głosem.

- O nic, mój drogi - bąknęła Wanda.

Caroline uznała, że najwyższy czas, aby wszyscy troje zaczęli porozumiewać się ze sobą jak dorośli ludzie. Nie było sensu z tym zwlekać. Przemilczanie tematu do niczego dobrego nie prowadziło. Jej ojciec nie powinien dłużej plątać się po omacku, tak jak przed chwilą. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

- Tato, przecież to twoja ulubiona potrawa.

- Jaka potrawa? - Uwaga córki całkiem go oszołomiła. Serce Caroline ścisnęło się boleśnie.

- Kurczak po królewsku. Uwielbiasz to danie. Mama robiła je dla ciebie tysiące razy.

W pierwszym odruchu Josh chciał temu z całym przekonaniem zaprzeczyć. Ale coś podpowiadało, że córka ma rację.

Nagle poczul się jak człowiek cierpiący na amnezję. Jak osobnik, który już nie panuje nad swoim życiem. Zdołał jednak zwalczyć to uczucie i obrócić swoje potknięcie w żart.

- Oczywiście, że tak. - Roześmiał się serdecznie, patrząc to na żonę, to na córkę. - Czy wy, dziewczyny, naprawdę nie widzicie, kiedy ktoś was nabiera? -

Nie spodobało mu się to, co dostrzegł w oczach Caroline, toteż odwrócił wzrok i pośpiesznie usiadł przy biurku. - A teraz zmykajcie stąd. Same dałyście mi do zrozumienia, że powinienem uregulować parę rachunków. Nie mogę się tym zająć, gdy obie stoicie mi nad głową.

Caroline wołałaby zostać i trochę mu pomóc. Rozumiała jednak, że tylko pogorszyłyby sytuację, toteż wyszła za matką na korytarz. Zerknęła przez ramię i zobaczyła ojca przeglądającego korespondencję. Widziała go przy tej czynności setki razy. Uczepiła się tego wizerunku, ale nie miała wątpliwości, że to tylko wizerunek, nic więcej. Nie mogła - wzorem matki - udawać, że nic się nie dzieje, zamykać oczu na sprawy oczywiste. Nie mogła i nie powinna.

Zamknęła za sobą drzwi i po przejściu kilku metrów zatrzymała matkę, zdecydowana pchnąć sprawy na odpowiedni tor.

- Jakim badaniom ojciec poddał się ostatnio? Wanda spojrzała na nią tępo.

- Badaniom? - powtórzyła.

Caroline siłą woli opanowała ogarniającą ją irytację. Czyżby rodzice nie uczynili nawet tego pierwszego, koniecznego kroku?

- Przecież wiesz, o czym mówię, mamó. O badaniach takich jak podstawowe analizy, a także rezonans magnetyczny czy tomogram komputerowy - wyliczyła, ale już w tej chwili знаła odpowiedź matki. - Ojciec w ogóle nie był u lekarza?

Wanda wyprostowała się, usiłując trzymać się złudnej nadziei.

- On twierdzi, że nic mu nie jest - odparła.

Obie wiedziały, że to nieprawda. Obie wiedziały też, że Wanda wcale mu nie uwierzyła, gdy bagatelizował jej obawy. Gdyby rzeczywiście ją przekonał, nie dzwoniłaby w środku nocy do Caroline, prosząc o natychmiastowy przyjazd.

Atakowanie matki nie miało jednak sensu. Była aż nadto wystraszona. Caroline otoczyła ją ramieniem i zaprowadziła do salonu.

- Jutro z samego rana ustalę termin wizyty w przychodni. Lekarzem ojca jest nadal doktor Weiseman, prawda? - Matka twierdząco skinęła głową. - Zatelefonuję do niego. Ojciec musi przejść szczegółowe badania.

- Czy to konieczne?

Caroline usiłowała pohamować emocje - tak jak tłumiała je przez prawie całe swoje życie. Tym razem na moment wymknęły się spod kontroli i znalazły ujście.

- Oczywiście, że konieczne, mamó! - zawołała rozjątrzona. - Czy ty sama nie chcesz się dowiedzieć, w obliczu czego stoisz?

W oczach matki znów zamigotał upór.

- Nie - odparła. - Pragnę tylko usłyszeć, że stan ojca się poprawi.

Caroline zacisnęła wargi. Nawet ta odrobina siły i zdecydowania okazana przez matkę wystąpiła nie tam, gdzie powinna. Caroline nagle poczuła się bezradna. Może ugotowanie dla Sloana i jego synów domowego obiadu bardziej przyda się mnie niż im, pomyślała. Musiała wyjść z domu i odświeżyć umysł.

Ruszyła w stronę holu. Powinna jeszcze wstąpić do sklepu i zrobić zakupy. Nie bardzo wierzyła, że w kuchni Sloana znajdzie wszystkie niezbędne artykuły spożywcze.

- Muszę już iść, mamó. Porozmawiamy, gdy wrócę. - Nie miała jednak wątpliwości, że okaże się to równie nieskuteczne jak obecna dyskusja. Caroline zamierzała jednak lepiej się przygotować do konfrontacji rzeczywistej sytuacji z pobożnymi życzeniami.

Później, pomyślała, przeanalizuję to wszystko później. Z ulgą wyszła z domu.

- Ale dlaczego nie możemy dostać pizzy? Zawsze jemy pizzę, gdy babcia jedzie do Vegas. - Dziecięcy głos Danny'ego Waltersa brzmiał coraz głośniejszy, ponieważ było o co walczyć. Chłopiec wszedł za ojcem do jadalni. Wymienił spojrzenia z młodszym bratem. Joey wzruszył ramionami i bezradnie rozłożył ręce.

- Właśnie - potwierdził piskliwie, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

Danny spojrział na niego z niesmakiem i ponownie przystąpił do ataku. Widział, że wraz z bratem przegrywa tę batalię. Tata wyjmował porcelanową zastawę. A przecież na ogół używali papierowych talerzy i jadali w salonie na stoliku przed wielkim telewizorem, a nie w jadalni na tych tłukących się talerzach. Dlaczego dzisiaj miało być inaczej? Tato chyba nie zamierzał znów czegoś gotować? Na samą myśl o tamtym posiłku Danny poczuł skurcz żołądka, a w ustach pojawił się ów dziwaczny smak.

Sloan nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ma ochotę znów zobaczyć Caroline. Zrozumiał to dopiero teraz, gdy w drzwiczkach zainstalowanej nad piekarnikiem mikrofalowej kuchenki zobaczył odbicie swojej twarzy. Ze zdumieniem stwierdził, że się uśmiecha. Miał po temu powód - spotkanie z kimś z dawnych beztroskich i szczęśliwych lat młodości. Jakże piękny wydawał mu się wtedy świat!

- Dziś wieczorem zjemy normalny obiad - zakomunikował swojemu pierworodnemu. Cztery talerze z lekkim poślizgiem wylądowały na stole, jakby były kartami do blackjacka, a Sloan krupierem rozpoczynającym grę.

Joey szarpnął go za łokieć.

- Trzy, tatusiu. Tylko trzy - z przejęciem poinformował ojca, gdy już dwukrotnie wykonał w myśli matematyczne działanie. - Babcia wyjechała. Pomyliłeś się.

W ślad za talerzami poszły widelce. Sloan nie był pewien, czy wyjąć również łyżki. Caroline zatelefonowała, żeby potwierdzić swoją ofertę, ale nie powiedziała, co ugotuje.

- Nie pomyliłem się, synku. - Odwrócił się i spojrział na Joeya. - Caroline złoży nam wizytę.

- Caroline? - Chłopiec zmarszczył brwi - jasnobrązowe i cienkie jak kreseczki narysowane ołówkiem. Usiłował sobie przypomnieć, o kogo chodzi. - Caroline? - powtórzył, ale imię nie kojarzyło się mu z żadną twarzą.

- Caroline Masters - oświecił go Sloan. - Doktor Masters - dodał, poprawiając sam siebie. Teraz, gdy o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że ten zawód rzeczywiście wydaje się najbardziej odpowiedni dla Caroline. Było w niej coś kojącego. Pacjenci chyba bez żadnych oporów zwracali się o pomoc do kogoś takiego jak Caroline. - Przyjaźnię się z nią.

- To prawdziwa lekarka? - Joey szeroko otwartymi oczami patrzył na ojca. Znał tylko doktora Brady'ego, który mówił cierpkim głosem, a gdy sadzał Joeya na pokrytym sterylną bibułą stole, wielkie dłonie boleśnie Wpijał w jego ciało. Chłopiec przypominał sobie ostatnie badanie i zadrżał przerażony.

- Tato, czy ona robi zastrzyki?

- Prawdopodobnie tak. - Sloan stwierdził, że Joey naprawdę się przejął. - Nie martw się, Caroline nie zrobi ci zastrzyku - zapewnił, ale chyba nie zdołał malca przekonać. Parsknął śmiechem, rozbawiony miną synka. Przez chwilę zastanawiał się, jak go uspokoić. - Pamiętasz Caroline, Joey. Siedziała tutaj na kanapie - wskazał ręką salon - i trzymała cię na kolanach.

Bawiłeś się jej bransoletkami i powiedziałaś, że podoba ci się ich brzęczenie.

To było tuż po pogrzebie. Zabawne, że zapamiętał właśnie tamtą scenkę. Pamięć, może w odruchu samoobrony, nie przechowała zbyt wielu szczegółów z owego dnia. Wszystko przesłaniała rozpacz. Pełne współczucia spojrzenia, czyjeś dłonie na ramieniu, w niemy sposób dodające otuchy, gesty i słowa dochodzące jakby z daleka, prawie nierzeczywiste. Caroline wzięła z jego objęć dzieci i zajęła się nimi, on zaś usiłował poradzić sobie z całą resztą. Nie chciał, aby ktokolwiek mu pomagał.

Owego dnia tylko dzięki temu uporowi skutecznie nad sobą panował i się nie rozklei!.

- Aha. - Joeyowi coś zaświtało w głowie, a dziecięca buzia nagle się rozjaśniła. - Pamiętam ją. Ładnie pachniała. - Zmarszczone brewki się wygładziły, a usta wygięły w uśmiechu. Joey polubił Caroline. Opowiadała bajki, tuląc jego i Danny'ego do siebie, żeby przestały ich boleć brzuchy. Rozbolały wtedy, gdy wyjaśniła, że mamusia nadal ich bardzo, bardzo kocha, ale już tutaj nie wróci. Podobno Bóg jej potrzebował. - Ona dzisiaj do nas przyjdzie?

Danny popatrzył na brata z pogardą. Był starszy od Joeya o ponad półtora roku i znacznie ostrożniejszy. Jego zdaniem, Joey ciągle zachowywał się jak mały dzidzius.

- Zamiast pizzy - mruknął ponuro i skrzyżował ramiona w geście męskiej stanowczości.

Ładne kwiatki, pomyślał Sloan. Liczył na to, że syna ucieszy perspektywa dobrego, domowego obiadu. Matka Sloana nie zaliczała się do najlepszych kucharek. Sprawy kulinarne raczej jej nie interesowały. Natomiast Caroline potrafiła wyczarować pyszne potrawy.

- Pizzę możemy mieć kiedy indziej - oświadczył, idąc do kuchni po cztery szklanki. - Dziś Caroline przyrządzi nam coś smacznego.
- Dlaczego? - Chłopiec przekrzywił głowę i patrzył na ojca podejrzliwie.
- Dlatego, że to nasza przyjaciółka. - Kiedy ten Danny stał się taki nieufny? A może zawsze taki był, tylko umknęło to ojcowskiej uwagi? Sloan odniósł wrażenie, jak wiele razy przedtem, że życie przecieka mu między palcami, a on nie potrafi go uchwycić.

Danny nie uznał argumentu ojca za przekonujący.

- Billy Peterson też jest moim przyjacielem - odparował - a nigdy dla mnie nie gotuje.

- Bo jeszcze nie umie obsługiwać kuchenki - zripostował Sloan. Wiedział, że po ośmiu godzinach spędzonych wśród kipiących energią nastolatków jego cierpliwość zaraz się wyczerpie. Na szczęście w tej chwili ktoś zadzwonił do

drzwi. Sloan w myśli podziękował opatrności za interwencję. Caroline jak zwykle była punktualna. - Otwórz, dobrze?

Danny nie ruszył się z miejsca. Był urażony, ponieważ ojciec go spławił, oraz zmartwiony, bo został pozbawiony swojego ulubionego posiłku.

- Ja otworzę! - zapiszczał Joey. Pognał do frontowych drzwi, żeby zdążyć, zanim brat zmieni zdanie. Uwielbiał zrobić coś jako pierwszy, dzięki temu czuł się ważny i potrzebny. Otworzył drzwi na oścież i powitał Caroline radosnym uśmiechem.

Ma uśmiech Julie, pomyślała Caroline z nieoczekiwanym bólem. Pamiętała dokładnie taki sam uśmiech, który Julie posyłała jej z drugiej strony placu zabaw, gdy obie miały najwyżej po pięć lat. Julie już wtedy zapowiadała się na prawdziwą piękność.

Caroline odsunęła wspomnienia na bok i ze skromną minką spojrzała na małego chłopca.

- Bardzo przepraszam, ale chyba pomyliłam adres. Szukam domu panów Waltersów.

Joey chwycił ją za rękę i pociągnął do salonu.

- Wcale się nie pomyliłaś. Panowie Walters to my.

- Przecież ty chyba nie możesz być Joeyem?

Malec najpierw spuścił oczy, po czym przeniósł wzrok na Caroline. Na jego buzi odmalowało się zakłopotanie.

- Dlaczego nie? - zapytał.

- Ponieważ ty jesteś młodym mężczyzną. A ten Joey Walters, którego znam, to jeszcze mały chłopiec. - Pragnęła mieć kiedyś takiego synka jak on. Siłą woli powstrzymała się przed uściskaniem malca.

- Urosłem - z dumą oświadczył Joey. Wyprostował plecy, przekonany, że w ten sposób staje się wyższy o przynajmniej dwa i pół centymetra. Może nawet więcej.

Nie mogła oprzeć się pokusie i pieszczotliwie zwichrzyła mu włosy. Joey zachichotał.

- Rzeczywiście urosłeś - przyznała.

Uznał, że powinien zrewanżować się za ten komplement. Wspiął się na palce i głęboko wciągnął nosem powietrze.

- A ty wciąż ładnie pachniesz - pochwalił.

- Dziękuję. - Lekko skłoniła głowę. - Staram się. - W głębi pokoju zobaczyła drugie dziecko - trochę zachmurzonego, wysokiego i szczupłego chłopca. Joey miał tylko uśmiech Julie, natomiast Danny - jej twarz. Sloana niewątpliwie musi cieszyć fakt, że obaj są tak do niej podobni, pomyślała Caroline. Wyciągnęła rękę. - Cześć Danny.

- Cześć - odparł ponuro i chyba nie zamierzał podejść. Caroline taktownie opuściła dłoń.

Joey swobodnie podjął się roli mediatora.

- On jest wściekły, bo tata powiedział, że dostaniemy ciebie zamiast pizzy.

Błysk w oku Danny'ego uświadomił Caroline, że to prawda, więc postanowiła załagodzić konfliktową sytuację.

- Rozumiem - odparła. - Sądzę, że możemy również zamówić pizzę. Sami zdecydujecie, co wam bardziej odpowiada.

Danny popatrzył na nią z nadzieją w oczach i chyba trochę poweselał.

Do salonu wkroczył Sloan. Wytarł dłonie i na powitanie szeroko uśmiechnął się do Caroline.

- Spróbuj jeszcze bardziej ich nie zepsuć. Już i tak obaj są rozpuszczeni.

Caroline usiłowała zignorować fakt, że uśmiech Sloana nadal działa na nią tak samo pobudzająco jak dawniej. Widocznie niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Nie ma w tym nic złego. - Zerknęła na obu chłopców. - Rozpieszczanie dzieci to wielka przyjemność.

- Może nie będzie aż tak źle - szepnął Danny do Joeya. Caroline nie dała po sobie poznać, że usłyszała tę uwagę.

- Wiecie co? - spytała. - W bagażniku mam zakupy. Bardzo potrzebuję do pomocy dwóch młodych, silnych mężczyzn. Gdzie mogłabym ich znaleźć?

- Tutaj! - Joey podniósł rękę. - Ja jestem silnym, młodym mężczyzną.

- Akurat! - prychnął Danny. Spojrzał na Caroline. - Ja ci pomogę.

Ścigając się, pognali na podjazd. Sloan pokiwał głową i wraz z Caroline poszedł za nimi, żeby wziąć cięższe rzeczy. Nadzieja, że chłopcy będą grzeczni, okazała się złudna. Spojrzał przez ramię na Caroline.

- Sama tego chciałaś - przypomniał.

- Uhm - mruknęła z zadowoleniem. Nie była w stanie powstrzymać się od szerokiego uśmiechu. - Masz rację.

ROZDZIAŁ 3

Na pewno ci nie przeszkadzają?

Sloan z powątpiewaniem popatrzył na synów. Danny i Joey stali obok Caroline i naśladowali każdy jej ruch, zażarcie ze sobą rywalizując. Sloan zastanawiał się, co w nich wstąpiło. Do tej pory chyba nigdy nie wykazywali takiego entuzjazmu. W kuchni zaś panował zorganizowany chaos, o ile coś takiego w ogóle istniało.

Joey przez ramię zerknął na ojca. W objęciach ścisnął dwa pudełka makaronu lasagne, ponieważ Caroline poprosiła, aby wziął je ze stołu. Pełne wargi chłopca rozszerzyły się w radosnym uśmiechu.

- My nie przeszkadzamy, tatusiu, my pomagamy. - Uniósł głowę i z dumą spojrzął na Caroline, oczekując potwierdzenia. - Prawda?

Niewątpliwie odziedziczył uśmiech po Julie, ale poza tym wyglądał jak miniatura Sloana, oceniła Caroline.

- Oczywiście - przyznała. Wyjęła z jego rąk pudełka i otworzyła jedno z nich. Następnie zaczęła ostrożnie wkładać do wrzącej wody jednocześnie po dwie szerokie wstążki. Stojący przy blacie Danny z takim przejęciem mieszał sos, jak gdyby zależał od tego los świata.

Caroline to istna czarodziejka, pomyślał Sloan, gdy bez najmniejszego trudu zdołała odpowiednio ukierunkować energię chłopców i sprawiła, że poczuli się potrzebni. Sloan uznał jednak, że Danny i Joey zbyt spoufalają się z Caroline, mówiąc do niej po imieniu. Schylił się więc i odwrócił młodszego syna twarzą do siebie.

- Może powinieneś zwracać się do Caroline „doktor Masters” - zasugerował.

Joey kapryśnie wyduł wargi i posłał Caroline pytające spojrzenie, ciekaw, co ona na to powie.

Potrafi tak jak jego ojciec łamać damskie serca, nieoczekiwanie przemknęło Caroline przez głowę na widok tej wzruszającej minki. Natychmiast zdusiła tę myśl i pośpieszyła chłopcu na pomoc.

- A ty może poszukałbyś odpowiednio dużego naczynia do przygotowania uczy - zwróciła się do Sloana, patrząc na niego znacząco. - To jedyna rzecz, jakiej nie przywiozłam.

Joey wciąż czekał, więc go zaraz uspokoiła.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby mówili do mnie „Caroline”. W klinice słyszę wystarczająco dużo razy „doktor Masters”. - Porozumiewawczo mrugnęła do swoich pomocników. - Przecież wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

- Prawda! - zawołali chórem, zachwyceni faktem traktowania ich na równi z osobami dorosłymi.

Sloan zrozumiał, że go przegłosowano. Odsunął Joeya, kucnął i otworzył jedną z szafek. Miał przed sobą bezładny stos garnków, których nigdy nie udawało się porządnie poustawiać. Sloan musiał jednak przyznać, że nigdy też

ten problem nie spędzał mu snu z powiek. Na podłogę z brzękiem upadła pokrywka, więc odruchowo zerknął na Caroline. Przyniosła mieloną wołowinę, przyprawy, dwa różne sery i wiele innych rzeczy, niezbędnych do przygotowania domowego obiadu. Kомуś mało zorientowanemu w sprawach kulinarnych wewnątrz kuchni mogło teraz przypominać poligon wojskowy podczas manewrów.

- Naprawdę nie musisz, aż tak się przejmować - powiedział Sloan.

- Mówiłam ci, że gotowanie mnie odpręży. - Wzięła od Danny'ego drewnianą łyżkę z długim trzonkiem, spróbowała odrobinę sosu i uznała, że trzeba dodać trochę więcej mozzarelli. Nabrała garść startego sera. Jego cieniutkie płatki posypały się do garnka jak śnieg. - Wystarczy - mruknęła na wpół do siebie. - A teraz rzeczywiście przydałoby się coś relaksującego. - Oddała chochlę Danny'emu i zaczęła wkładać do wody kluski z drugiego pudełka. Żałowała, że wymknęła się jej ta ostatnia uwaga. Ani czas, ani miejsce nie były odpowiednie do opowiadania o dręczącym problemie.

Jakaś nuta w jej głosie zwróciła uwagę Sloana. Wstał i postawił na blacie dwa długie żaroodporne naczynia.

- Które wolisz? - zapytał. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się twarzy Caroline. - Czyżby życie w wielkim mieście miało zbyt szaleńcze tempo dla dziewczyny z małego miasteczka?

- Och, Bedford już nie jest taką małą miejsciną. Bardzo się zmieniło. I to na korzyść. - Celowo wycedziła to nosowym tonem. Ten żart był zrozumiały tylko dla wtajemniczonych.

Sloan pojął w lot, o co jej chodziło. Głos Caroline zabrzmiał dokładnie tak, jak mówił ich dawny nauczyciel angielskiego, pan Cotton. Czytywał im dzieła Szekspira z południowym akcentem, dzięki czemu nabierały specyficznej wyrazistości.

- To samo można by powiedzieć o tobie. - Natychmiast zauważył, że jej policzki leciutko się zaróżowiły. Zdziwiony tym faktem, nie mógł się

powstrzymać i delikatnie musnął czubkami palców jej policzek. - Caroline, czy to rzeczywiście rumieniec?

Owszem, pomyślała, to rumieniec, a ja jestem idiotką. Była na siebie zła, bo po tylu latach wciąż reagowała na obecność Sloana tak jak dawniej. W komplementach na pewno nie krył się żaden podtekst, a gest Sloana to tylko bezwiedny odruch.

Prychnęła z udawanym zniecierpliwieniem. Chłopcy zachichotali, rozbawieni miną taty, którego przywołano do porządku.

- Tym osobom, które tutaj pracują, jest gorąco. A obserwatorom proponuję, aby usiedli z boku i nie wchodzili nam w drogę.

Odwróciła się plecami do Sloana. Miała nadzieję, że głęboki wdech pomoże opanować zakłopotanie. Zachowywała się jak nastolatka. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy zaczęła skrycie podkochiwać się w Sloanie. Przecież od tego czasu minęło wiele lat! A i ona jest kimś innym.

Sloan uniósł ręce w geście poddania i ze śmiechem wycofał się z niebezpiecznej strefy. Usiadł przy kuchennym stole i przez chwilę przyglądał się Caroline. Musiał przyznać, że naprawdę świetnie radziła sobie w kuchni. Widać też było, że dobrze się czuje w towarzystwie chłopców.

Mężczyzna rzeczywiście mógłby sporo się nauczyć od takiej kobiety, przemknęło mu przez głowę.

Caroline czuła na sobie jego spojrzenie. Postanowiła zapanować nad swoimi myślami, zanim całkiem wymkną się spod kontroli i poszybują pod obłoki. Niewątpliwie tylko jej się zdaje, że Sloan ją obserwuje. A jeśli nawet na nią patrzył, to pewnie sobie tego nie uświadamiał. Dyskretnie zerknęła w jego kierunku i napotkała wzrok Sloana.

- Coś nie tak? - zapytała.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - przypomniał.

- Mówisz jak nauczyciel. - Zamieszała sos. Stawał się odrobinę za gęsty.

- Jestem nauczycielem - odparł z wyraźną dumą w głosie.

- Dobrym?

- Zdaniem dyrektorki chyba niezłym. - Z odstawionej przez Caroline miski nabrał garść mozzarelli i zaczął powoli ją żuć, żeby oszukać głód.

Caroline dałaby głowę, że podobnie jak dyrektorka sądzi połowa uczennic z klasy Sloana. Oraz kocha się w nim nieprzytomnie. Ona także zadurzyłaby się w takim wychowawcy.

- Kto by pomyślał, że z własnej woli wrócisz do szkoły. - Caroline pokręciła głową. Życie potrafiło zadziwić nieoczekiwanymi zwrotami. Podeszła do stołu i trzepnęła Sloana w rękę, którą właśnie znów sięgał po ser. Nie chciała, żeby najadł się przed obiadem. - Jako uczeń nie mogłeś się doczekać ostatniego dzwonka.

Chłopcy popatrzyli na siebie i zapiszczeni z uciechy. Caroline traktowała ich tatę jak dziecko.

Sloan z ostentacyjnym westchnieniem opuścił dłoń, a Caroline wróciła na posterunek przy kuchence.

- Wtedy miałem towarzystwo, interesujące zajęcia - mruknął.

Jego odpowiedź zabrzmiała smutno i Caroline domyśliła się, że wspominał Julie. Wiedziała jednak, że gdyby go o to spytała, Sloan na pewno by zaprzeczył.

- Poza tym - dodał, wzruszając ramionami - wszystko wygląda inaczej od strony katedry. - Wstał, stanął obok Joeya i utkwiał wzrok w Caroline. - Wciąż nie znam odpowiedzi na moje pytanie. Czy życie w Albuquerque ma dla ciebie zbyt szalone tempo? - Może Caroline zamierzała na stałe wrócić do Bedford? Byłoby miło móc od czasu do czasu spotkać się z nią i pogadać.

- Jest naprawdę nieco wyczerpujące - przyznała, ponieważ ten temat nie stwarzał zagrożenia - lecz jednocześnie interesujące i dlatego je uwielbiam. Mam mnóstwo małych pacjentów, którzy, zamiast grzecznie chorować, wprost stają na głowie.

Joey w skupieniu usiłował nadać za przebiegiem rozmowy. Lubił słuchać, gdy dorośli gawędzą, i bardzo chciał rozumieć, o czym. Teraz pociągnął Caroline za rękaw, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Natychmiast spojrzała na niego pytająco. Nie zignorowała go i to bardzo mu się spodobało.

- Dlaczego te chore dzieci stają na głowie?

- Chciałam przez to powiedzieć, że są rozbrykane. Po prostu zażartowałam.

Joey znał się na żartach. Timmy Smith często opowiadał mu w szkole dowcipy i dawał zagadki, ale żart Caroline nie przypominał niczego, co wymyślał Timmy.

- Muszę być duży, żeby to zrozumieć? Caroline udała, że się zastanawia.

- Może troszkę większy - przyznała.

Ostatecznie mógł to zaakceptować pod warunkiem, że nie będzie osamotniony.

- Większy niż Danny? - Joey skinął głową w stronę brata. - Bo on też nie rozumie.

Danny otworzył usta, żeby zaprotestować. Caroline błyskawicznie oceniła sytuację i uznała, że należy zapobiec starciu.

- Danny, zechciałbyś mi podać tamten słoik z przecierem pomidorowym? Chyba powinniśmy dołożyć jeszcze trochę.

Chłopiec obrócił się na pięcie. Miał nadzieję, że Caroline zauważyła, jak zgrabnie złapał równowagę. Zupełnie jak kot. Nie, nawet lepiej. Jak pantera. Szybko chwycił słoik.

- Dziękuję. - Caroline spróbowała go otworzyć, ale wieczko ani drgnęło. Ścisnęła je mocniej i ponowiła próbę. Bezskutecznie.

Sloan z uśmiechem obserwował te zmagania. Caroline zawsze cechował upór. Pamiętał, że gdy dawniej we trójkę uczyli się matematyki, Caroline zawsze musiała znaleźć rozwiązanie problemu bez względu na stopień jego trudności. Nigdy się nie poddawała. Była to cecha godna podziwu. Zazwyczaj.

Wyciągnął rękę.

- Uwielbiam pomagać damom w potrzebie - wyznał. - To ten nauczyciel angielskiego, który we mnie siedzi. - Spojrzała na niego, a w jej oczach zamigotało rozbawienie. - Chyba przyda ci się silne, męskie ramię - zasugerował.

- Ja mam silne, męskie ramię - oświadczył Danny. - Zgiął szczupłą rękę w łokciu, rozpaczliwie napinając mięśnie, aby się uwypukliły.

Caroline pomacała je z poważną miną.

- Naprawdę niezłe - przyznała - ale twój tata ma chyba odrobinę grubsze. Dlatego, że jest wyższy - dodała z porozumiewawczym mrugnięciem, które złagodziło rozczarowanie Danny'ego. - Podała słoik Sloanowi. - Zawsze wiedziałam, że kiedyś się przydasz.

- A kto wpłacił za ciebie kaucję, żeby wypuścili cię z więzienia? - przypomniał, zabawnie unosząc brwi. Jednym ruchem odkręcił zakrętkę.

- Siedziałas w więzieniu?! - zawołał Danny. Nie był pewien, czy powinien okazywać podziw, jednak nie mógł zaprzeczyć, że Caroline mu zaimponowała.

- Chodziło o protest przeciwko laboratoryjnym doświadczeniom na zwierzętach. Nawet nie brałam w nim udziału, tylko usiłowałam przekonać waszą mamę, żeby stamtąd wyszła - wyjaśniła przejętej dwójce. - Właśnie wtedy do akcji wkroczyła policja. Waszej mamie udało się uciec, a mnie aresztowano.

- I wsadzili cię do celi? - Oczy Joeya były wielkie jak spodeczki. - Płakałaś? - Nie wątpił, że sam na pewno by chlipał, gdyby zabrano go od mamy i taty.

- Nie - odparła, ale dobrze pamiętała, że wówczas miała ochotę na łzy. Tłumaczenie, że zaszła pomyłka, nic by nie zmieniło. Wszyscy twierdzili, że znaleźli się tam przypadkiem. - Wasza mama zatelefonowała do waszego taty i on złożył za mnie kaucję, żeby nie dowiedzieli się moi rodzice. - Rzeczywiście przyszedł jej wtedy z pomocą, niczym dzielny rycerz w lśniącej zbroi.

Nieważne, że był rycerzem innej damy. Zjawił się i Caroline potrafiła ten fakt docenić.

Sloan milczał. Nie zamierzał w żaden - nawet żartobliwy sposób - komentować tamtego wydarzenia. Nie chciał rozmawiać o niczym, co choćby w najmniejszym stopniu dotyczyło przeszłości i Julie. Caroline dodała do sosu resztkę przecieru, więc pochylił się nad garnkiem i wciągnął powietrze. Owionął go apetyczny aromat, który przypomniawszy żołądkowi o ściskającym go głodzie.

- Cudowny zapach.

- Już ci mówiłem, że ona ładnie pachnie. - Joey z dumą wypiął pierś.

Caroline parsknęła śmiechem, odrobinę zażenowana.

- Twój tata chwalił sos. - Zaczęła wyjmować z garnka ugotowane kluski.

Układała je na talerzu, aby wystygły.

Natomiast Joey postanowił drażnić temat.

- Ale Caroline pachnie ślicznie, prawda, tato?

Na użytek syna Sloan udał, że wacha jej włosy. Ponad parą unoszącą się z perkoczącego na wolnym ogniu sosu poczuł subtelny zapach perfum. Kojarzył się z kwitnącymi wiosną różami i całkiem nieoczekiwanie podziałał na zmysły. Sloan ze zdumieniem spojrzał na Caroline. Nigdy by nie przypuszczał, że jej osoba może wiązać się z czymś tak podniecającym. Chyba nie zdarzyło się mu myśleć o niej w tych kategoriach.

- Tak - odparł powoli. - Naprawdę ślicznie. - Jego twarz nagle spoważniała.

Caroline spostrzegła to i lekko ścisnęło ją w dołku. Woląca, żeby Sloan nie zauważył, jak na nią działa, więc tym gorliwiej wyławiała makaron. Nagle zanurzyła dziurkowaną łyżkę zbyt głęboko i musnęła palcami wrzątek. Pisnęła z bólu, wypuszczając cedzak. Z brzękiem upadł na kuchenkę.

Danny pociągnął Caroline w stronę zlewu.

- Szybko, włóż rękę do zimnej wody - polecił. - Babcia zawsze tak robi - dodał na widok zdziwionej miny Caroline. Zręcznie odkręcił kran.

Sloan zamierzał przypomnieć synowi, że Caroline jest lekarką, ale nie zdażył tego zrobić.

- Wydaje mi się, że ktoś tutaj zapowiada się na pana doktora - powiedziała Caroline, trzymając dłoń pod strumieniem wody.

- Nieee - mruknął skromnie Danny, ale zarumienił się z radości. - Nie lubię, gdy ktoś się skaleczy i leci mu krew.

- Lekarz nie zawsze zajmuje się takimi sprawami. Najważniejsze, aby potrafił pomagać ludziom, a ty chyba masz do tego talent. - Zakreśliła kran. - Może pomyślisz o wyborze takiego zawodu?

- Zastanowię się - powiedział grubym głosem, tak jak mówią dorośli. Dumnie się wyprostował. Po raz pierwszy ktoś dużo starszy potraktował go jak równego sobie.

- Świetnie. - Caroline przysunęła jedno z naczyń. - Słuchajcie, moi drodzy, teraz będziemy pracować jak przy taśmie produkcyjnej.

- A co to takiego? - spytał Joey.

- Praca przy niej polega na tym, że wszyscy wykonują różne, ale tak samo ważne czynności. - Pogratulowała sobie w myśli, zadowolona ze swojej dyplomacji. - Ja ułożę warstwy klusek, ty, Danny, wyłożysz na to sos, a ty, Joey, posypiesz danie mozzarellą.

- A czym zajmie się tata? - Danny najwyraźniej uznał, że nikt nie powinien siedzieć bezczynnie.

- Tata posmaruje wszystko serem. - Wyjęła z lodówki duży pojemnik i podała Sloanowi.

Niepewnie obrócił go w dłoniach.

- Sądysz, że dam sobie radę?

- Jasne. - Wręczyła mu łyżkę. - O ile nie będziesz żałował sera.

- Nigdy niczego nie żałuję. - Zdjął wieczko i położył je na blacie.

To sporna kwestia, pomyślała.

- Jeszcze dokładkę? - Caroline uniosła metalową łypatkę i spojrzała pytająco na siedzące przy stole trzy osoby.

Joey i Danny jęknęli, trzymając się za brzuchy.

- Nie, dziękuję - mruknął Danny.

- Mieliśmy straszny apetyt, prawda? - Joey odchylił ściskającą go w pasie gumkę.

Caroline zrobiło się ciepło na sercu. Tak miło mogła się czuć tylko w towarzystwie dziecka.

- Oczywiście - przyznała. - Jedliśmy jak smoki.

Sloan spojrzał na resztki. W naczyniu została najwyżej jedna czwarta potrawy. Nie miał pojęcia, że skonsumował aż tyle tego pysznego dania. W tej chwili szczerze zazdrościł Joeyowi gumki wszytej w pasek spodni. Nie należało skusić się na trzecią dokładkę, ale od tak dawna nie jadł czegoś równie smacznego. Jego matka - choć dobra i kochana - pod względem gotowania nie dorastała Caroline do pięt. Sloan westchnął.

- Chyba zaraz usłyszysz, jak panowie Waltersi pękają z przejedzenia.

Joey zachichotał radośnie, co jeszcze bardziej poprawiło humor jego ojcu. Od dawna nie doświadczał również tego błogiego uczucia zadowolenia.

Caroline odłożyła łypatkę.

- Wobec tego chyba nie ma sensu zamawiać pizzy? - Utkwiła spojrzenie w Dannym.

Chłopiec poprawił się na krześle i zaprzeczył ruchem głowy.

- To było jeszcze lepsze niż pizza - powiedział Joey. - Przyjdiesz jeszcze do nas, żeby coś ugotować? - spytał z przejęciem.

- Zrobię to z przyjemnością, zanim wyjadę z Bedford. - Przesunęła wzrok na Sloana. W żaden sposób nie poparł prośby syna. - O ile wasz tata nie będzie mieć nic przeciwko temu.

- Tata się zgodzi - pośpiesznie zapewnił Danny.

- Na pewno - dodał Joey. - Uśmiechał się, gdy stawiał na stole talerze.

- W tym domu nic się nie ukryje - stwierdził Sloan, kręcąc głową. Co prawda, wcale nie poczuł się skrępowany z powodu uwagi synka. Chodziło przecież tylko o Caroline.

Sięgnęła właśnie po talerz Joeya i machinalnie umieściła go na swoim. Zawsze działała efektywnie - częściowo z przyzwyczajenia, częściowo z konieczności.

- Rozumiem z tego, że rzadko się uśmiechasz? - Wciąż patrzyła na Sloana.

- Czasem o tym zapominam. - Wzrokiem nakazał milczenie młodszemu synkowi, lecz on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. - To zadziwiające, ile zdołałaś zdobyć informacji, nawet nie przyciskając informatorów.

- Ma się ten dar. - Uśmiechnęła się również oczami.

To prawda, pomyślał i popatrzył na nią zaintrygowany. Wyglądała ładnie, prawie pięknie. Czy zawsze była taka urodziwa? Nie potrafił sobie przypomnieć. Wstał, żeby sprzątnąć ze stołu. Podczas obiadu zauważył, że Caroline - w przeciwieństwie do nich - jadła niewiele. Po głowie zaczęło się mu plątać jakieś powiedzenie o kucharzu, który nie je przygotowanych przez siebie potraw. Oboje jednocześnie sięgnęli po żaroodporne naczynie, ich palce na moment się zetknęły. Wyglądało na to, że zawsze podążali z przeciwnych kierunków do tego samego punktu - tak jak wczoraj w supermarkecie, gdy ich wózki z trzaskiem się zderzyły.

Sloan mocno trzymał garnek z jednej strony, a Caroline - z drugiej.

- Ty gotowałeś, więc pozwól, że zaniosę to do kuchni - zaproponował i leciutko pociągnął kamionkę do siebie. - Tak będzie sprawiedliwie.

Caroline nie lubiła bezczynności, a Sloan sprawiał wrażenie zmęczonego nadmiarem obowiązków.

- Nie wiedziałam, że zawarliśmy umowę.

Wymownie spojrział na jej dłonie, więc w końcu puściła garnek.

- Stałaś się znacznie bardziej asertywna, niż byłaś w szkole - orzekł, wychodząc z jadalni.

- Musiałam.

Chciał spytać, dlaczego, lecz natychmiast uznał, że to nie jego sprawa. Caroline sama by mu powiedziała, gdyby uznała to za potrzebne. Poza tym wcale nie miał ochoty rozmawiać dzisiaj na poważne tematy. Caroline stworzyła taką miłą atmosferę, a on pragnął pławić się w tych beztroskich chwilach jak najdłużej.

Przykrył naczynie przezroczystą folią i ustawił je w głębi lodówki. Następnie wyjął z niej coś przeznaczonego na deser. Z zadowoleniem uśmiechnął się do siebie i otworzył pudełko, które w drodze powrotnej odebrał z cukierni.

- Nadal masz słabość do czekolady? - spytał na tyle głośno, aby Caroline go usłyszała.

W odpowiedzi roześmiała się perliście.

- A czy słońce nadal pojawia się rano nad horyzontem?

- Nie wiem - odparł. - Ciągłe to robi? Ostatnio byłem zbyt zajęty, żeby je obserwować. - Z dumą wniósł czekoladowy tort ozdobiony wspaniałą bitą śmietaną. Chłopcy chóralnym piskiem wyrazili zachwyt, lecz Sloan patrzył tylko na Caroline.

Postawił przed nią tort, a ona westchnęła z rozkoszy.

- Wygląda rozpustnie - mruknęła.

- Może przez cały wieczór będziemy mu się przyglądać - zasugerował i poszedł po deserowe talerzyki i widelczyki.

Gdy wrócił, Caroline wstała i wyjęła mu je z rąk. Rozłożyła je, a brudne nakrycia przesunęła na koniec stołu.

- Ty możesz się przyglądać, ale ja zamierzam zająć się czymś o wiele przyjemniejszym.

- Tato, dostaniemy po kawałku? - spytał Danny.

- Myślałem, że pękasz w szwach. Caroline pośpieszyła dziecku z pomocą.

- Ależ Sloan! - zaprotestowała. - Na deser zawsze znajdzie się miejsce.

Zwłaszcza gdy w grę wchodzi czekoladowy tort. Prawda, chłopcy?

Rozpromienili się, a ich pełne brzuszki natychmiast stały się lżejsze.

- Prawda! - potwierdzili ochoczo.

Caroline sięgnęła po nóż, by pokroić tort. Sloan zauważył, że tym razem wzięła sobie równie duży kawałek jak te, które położyła na talerzykach chłopców i jego własnym. Jak miło, że pewne rzeczy nie ulegają zmianie, pomyślał i zamarł, zafascynowany tym, co ujrzał. Caroline włożyła do ust pierwszy kęs, zatrzepotała rzęsami i przymknęła powieki. Jej twarz przybrała szczególny, nadzwyczaj zmysłowy wyraz.

- Masz taką minę, jakbyś wpadła w ekstazę.

Otworzyła oczy, a na jej policzkach znów pojawił się cień rumieńca.

- Wpadłam - przyznała z uśmiechem. - Uwielbiam czekoladę.

Ciekawe, dlaczego taka kobieta jak Caroline jeszcze nie wyszła za mąż, przemknęło mu przez głowę. Na pewno jakiś mężczyzna zasługiwał na to, aby ujrzeć ją w ekstazie wywołanej czymś innym niż tylko czekolada.

- Ty wcale nie jesz, tatusiu. Chcesz, żebym ci pomógł? - Uzbrojona w widelczyk dłoń Joeya sięgnęła w stronę tortu ojca.

- Pilnuj swojego kawałka, mądralo. Mój zostaw w spokoju. - Zaczął jeść przy wtórze śmiechu Caroline. Brzmiał tak przyjemnie.

Wieczór upłynął zbyt szybko. Sloan oparł się pokusie i nie zatrzymywał Caroline, choć miał ogromną ochotę nieco dłużej cieszyć się urokliwym spokojem tego miłego spotkania. Egoistycznie pragnął, aby pobyt Caroline w Bedford nie był krótki. Po raz pierwszy od bardzo dawna Sloan nie doświadczył dzisiaj owego przykrego uczucia, które prześladowało go u schyłku każdego dnia.

Odprowadził Caroline do samochodu. Na przednim siedzeniu umieścił duży garnek, który przywiozła z domu. Zatrzasnął drzwiczki i odwrócił się do niej.

- Dzięki. - Pojedyncze słowo jakoś tak nieporadnie zawisło w powietrzu.

- Za co?

Wzruszył ramionami i oparł się o auto. Od czego by tu zacząć? - pomyślał.

- Za obiad. Za tę wspólną współpracę z chłopcami. - Przesunął wzrokiem po postaci Caroline. Boże, naprawdę się cieszył, że mógł spędzić z nią kilka godzin, poczuć się normalnie, nawet jeśli tylko przez krótki czas. - Za twoje towarzystwo. Sama wybierz, co ci odpowiada.

Niby zmieniło się wszystko, lecz dla niej nie zmieniło się nic. Nadal marzyła o tym, aby ujrzeć w jego oczach inny wyraz niż ten, który w nich widziała. Sloan postrzegał ją tylko jako starą przyjaciółkę. Bardzo cieszyła ją ta przyjaźń, lecz w głębi duszy się buntowała. Pragnęła czegoś, co wydawało się nieosiągalne. Rozdrażniona tokiem swoich rozważań, uśmiechnęła się szeroko na użytek Sloana.

- Spodobała mi się cała lista. Od początku do końca - przyznała. - Podziękowałeś mi, więc odpowiem „proszę bardzo”. Ale tak naprawdę to ty przyszedłeś mi z pomocą.

Kilkakrotnie odniósł dziś wrażenie, że myśli Caroline błędzą wokół czegoś, o czym jeszcze nie była gotowa rozmawiać. Może chciała, aby sam ją o to zapytał?

- W jaki sposób?

- Musiałam choć na trochę wyrwać się z domu. - Miała z tego powodu lekkie poczucie winy. Westchnęła. - Ten miły wieczór był mi bardzo potrzebny. Uważniej przyjrzał się jej twarzy.

- Co cię gnębi, Caroline?

Wzruszyła ramionami i uciekła spojrzeniem w bok. Nie zamierzała obarczać Sloana swoimi problemami. Na pewno nie brakowało mu własnych. Poza tym chodziło o sprawę rodzinną.

- Chyba jestem trochę przepracowana. Powinnam doładować swoje baterie.

Martwisz się z innego powodu, pomyślał.

- Jeśli tak działasz na niskim woltażu, to wolałbym nie wejść ci w drogę, gdy twój osobisty akumulator ma pełną moc. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek emanowała taką imponującą energią, a w moim wieku pamięć jeszcze nie zawodzi. - Dostrzegł jakiś błysk w jej oczach. Co wyrażał? Czyżby cierpienie? Dlaczego? Co on takiego powiedział?

Ukryła swoje rozterki pod wymuszonym uśmiechem, aby zniechęcić Sloana do dalszych dociekań.

- Widocznie późno rozkwitłam. A to przyśpieszenie prawdopodobnie ma różne przyczyny. - Obeszła maskę samochodu i zatrzymała się przy drzwiczkach od strony kierowcy. - Po pierwsze, moja praca jest absorbująca, a po drugie, może od niedawna zdaję sobie sprawę z tego, jak szybko ucieka życie.

Nie wolno zmarnować nawet jednej jego minuty, trzeba więc garściami chwytać wszystko, co zdołamy. Aż nadto dobrze rozumiał, co miała na myśli.

- Tego zawsze jest za mało - odparł cicho. - Choćbyś chwyciła nie wiadomo ile, zawsze będzie za mało.

On i Julie byli razem od piętnastego roku życia. Razem spędzili więc szesnaście lat. Szesnaście lat, podczas których najpierw umawiali się na randki, później zostali kochankami, narzeczonymi, a wreszcie mężem i żoną. Te szesnaście lat już należało do przeszłości, a teraźniejszość okazała się pusta. Brakowało w niej Julie.

Caroline położyła dłoń na jego ramieniu. Chciała ofiarować mu ukojenie, ale - podobnie jak tuż po śmierci Julie - nie wiedziała, czego Sloan naprawdę

potrzebuje. Był zbyt zamknięty w sobie. Mogła więc tylko podkreślić pozytywne elementy jego egzystencji i mieć nadzieję, że to mu trochę pomoże.

- Wiem - przyznała. - Dobrze sobie radzisz, Sloan. Dzieciaki są szczęśliwe. Zdrowe i zadbane.

Odetchnął głęboko. Dzieciaki. Zawsze mu się wydawało, że je oszukuje.

- Spędzam z nimi za mało czasu. Szkoła angażuje mnie bardziej, niż przypuszczałem.

- Mimo to sprawiają wrażenie zadowolonych z życia. - Uśmiechnęła się na myśl o Dannym i Joeyu oraz ich rywalizacji w charakterze pomocników kucharki. - Są fantastyczni.

Sloan poczuł przyływ ojcowskiej dumy, o której istnieniu nie miał pojęcia, dopóki nie urodził się Danny.

- Oni niewątpliwie odwzajemniają twoją sympatię. Dzisiaj nawet Danny się włączył, a zazwyczaj odnosi się do wszystkich z rezerwą. Natomiast Joey oddałby serduszko każdej ładnej dziewczynie, która pojawiłaby się w pobliżu.

Ładnej. To słowo prawie ją oszołomiło.

Sloan pośrednio nazwał ją ładną dziewczyną. Caroline przypuszczała, że zrobił to bez zastanowienia, ale i tak sprawił jej przyjemność.

Popatrzyli sobie w oczy. Sloan dostrzegł w jej spojrzeniu sympatię i przyjacielską czułość. Cóż, Caroline zawsze była serdeczna, łatwo się z nią rozmawiało. Musiał przyznać, że mu jej brakowało. Nawet bardzo.

- Cieszę się, że nas odwiedziłaś.

- A ja się cieszę, że mnie zaprosiłeś - odparła równie lekkim tonem.

Otworzył drzwiczki jej auta i spytał:

- Może powtórzylibyśmy dzisiejsze atrakcje, zanim wyjedziesz? Jak długo zostaniesz w Bedford?

Złożyła podanie o miesięczny urlop, ale wątpiła, czy tyle czasu wystarczy. Istniała również możliwość, że po wykonaniu badań i konsultacjach u

specjalistów obawy okażą się bezpodstawne. W takim przypadku wróciłaby do Albuquerque wcześniej.

- Jeszcze nie wiem. Wszystko zależy od okoliczności.

- Jesteś bardzo tajemnicza.

- Nie, tylko... - Urwała.

Niedobrze, pomyślał. Caroline najwyraźniej czymś się martwi, a on był zbyt pochłonięty swoimi sprawami, aby wcześniej zauważyć, że coś ją trapi. Wziął ją za rękę i odciągnął od samochodu.

- Chcesz pogadać?

Chciała, ale co mogłaby mu powiedzieć? Zanim zacznie komukolwiek mówić o swoich obawach, powinna wiedzieć coś konkretnego. Pochopne wyciąganie wniosków nie miało sensu.

- Nie dzisiaj. Już późno, a ty jutro idziesz do szkoły. - Rozbawiła ją ta klasyczna odpowiedź, którą sama tyle razy słyszała od rodziców. Uśmiechnęła się. Lubiała droczyć się ze Sloanem. - Lepiej już się pożegnajmy.

- Chyba masz rację. Jeszcze raz dziękuję, że przyszałaś. - Pochylił się, aby cmoknąć ją w policzek.

Caroline rzuciła torebkę na przednie siedzenie. Odwróciła się, aby odpowiedzieć, że jej także było miło, ale nie zdążyła, ponieważ ustami musnęła jego wargi. Trwało to tak krótko, że przez jedną sekundę wątpiła, czy naprawdę się zdarzyło. Może po prostu wyobraziła sobie ten przelotny pocałunek? Tak jak w przeszłości robiła to wiele razy?

Dreszcz, który ją przeszedł, uświadomił jej realność tego fizycznego kontaktu. Serce zaczęło bić jak szalone.

Przemożna chęć, aby naprawdę pocałować Caroline ogarnęła Sloana tak nieoczekiwanie, że wprost zabrakło mu tchu. Niemal poszedł za pierwszym impulsem, ale w ostatniej chwili zdołał się pohamować.

Co to, u licha, znaczy? - pomyślał oszołomiony. Machinalnie przejechał dłonią po włosach.

- Przepraszam - mruknął z głupawym uśmieszkiem.

Coś takiego, pomyślała. Pocałował ją, a teraz prosi o wybaczenie, ponieważ popełnił błąd.

Oczywiście, że to był błąd. Sloan nigdy by... Caroline błyskawicznie wzięła się w garść.

- Przyjaciele nie muszą się przeproszać. - Szybko wsiadła do samochodu i odjechała, zanim zdążył się odezwać.

ROZDZIAŁ 4

Zaparkowała na podjeździe i wolnym krokiem ruszyła w stronę domu. Na frontowym ganku zobaczyła ojca siedzącego na wyściełanej kanapie-huśtawce. Ten widok wyrwał ją z chwilowego otepienia. Przecież właśnie dlatego przyjechała do Bedford. Zamierzała zadbać o swoich rodziców. Nie zjawiała się tu w celu rozniecania dawno wygasłego ognia, który i tak już nigdy nie zapłonie.

- Cześć, tato.

Po dwóch schodkach weszła na ganek. Josh z uśmiechem poklepał miejsce obok siebie, zapraszając, by usiadła.

- Jak udała się wizyta?

- Dobrze. - Odpowiedź padła zbyt szybko i Caroline o tym wiedziała. Jej ojciec także. Świadczyła o tym jego mina.

- Co tutaj robisz?

Josh ruchem głowy wskazał niebo.

- Patrzę na gwiazdy. Dzisiejszy wieczór jest taki piękny - powiedział z autentycznym podziwem. Przyglądał się im tak, jak gdyby po raz pierwszy dostrzegł ich urodę. - Myślałaś kiedyś o tym, że wydajemy się przy nich tacy mali? To znaczy w porównaniu z gwiazdami. - W ciągu minionej godziny jego

umysł wyprawiał takie harce, że Josh postanowił wyjątkowo jasno formułować swoje myśli, gdy mówił na głos. - Podobno są ogromne, ale na tle nieba wyglądają jak łebki od szpilek. - Spojrzał na córkę. - Czym przy nich jesteśmy?

W jego oczach zamigotało coś, czego Caroline nie potrafiła do końca zidentyfikować. Obawa? Poczucie zagubienia?

- Ludźmi - odparła. - Ludźmi, którzy pracują, do czegoś dążą i dbają o swoich bliskich.

Josh przestał się huścić i skupił uwagę na twarzy córki.

- Nie zwiedzisz mnie. Do czego zmierzasz?

On już zna odpowiedź, pomyślała. Jest zbyt inteligentny, żeby się nie domyślić. Może łudził się nadzieją, że usłyszy coś innego.

- Mama martwi się o ciebie. Roześmiał się cicho.

- Twoja matka nie byłaby szczęśliwa, gdyby nie miała o co się martwić.

- Czym się zajmować, a nie martwić - poprawiła Caroline. Po twarzy ojca przemknął cień odzwierciedlający zarówno upór, jak i poczucie winy. Caroline postanowiła drażnić temat. - Musisz iść do lekarza, tato.

Przymknął powieki i milczał. Odczekała kilka sekund, po czym położyła dłoń na jego ramieniu. Czowała ogarniający ją strach, który coraz bardziej się potęgował.

- Tato, co ci jest?

Niechętnie otworzył oczy i popatrzył na nią. Jego wargi powoli uniosły się w niewesołym uśmiechu.

- Nic. Po prostu rozkoszuję się tą chwilą. Usiłuję ją wchłonąć, jakoś zakonserwować i zatrzymać na zawsze. Od tak dawna nie siedzieliśmy tutaj razem, rozmawiając. Powinniśmy częściej to robić. Chciałbym wszystko zapamiętać. - Westchnął, niespokojny i trochę zirytowany.

Zrozumiała. Ojciec na swój własny sposób właśnie przyznał, że dzieje się z nim coś złego. Pragnęła mu pomóc, ale w tej chwili czuła się całkiem bezradna.

- Jak bardzo jest źle? Wzruszył ramionami.

- Średnio. Czasem zapominam to i owo - przyznał i natychmiast pożałował tych słów. - Ale tylko mało ważne drobiazgi - dodał szybko. - Osobnik w moim wieku ma prawo do drobnych kłopotów z pamięcią. W tej starej głowie płacze się tyle myśli...

Nie zdołał jej oszukać. Ani siebie. Serce Caroline ścisnęło się boleśnie. Oddałaby wiele, żeby ojciec tak nie cierpiał.

- Chodzi o coś więcej, tatusiu, prawda? Jego smutek ustąpił miejsca zadowoleniu.

- Od wieków nie mówiłaś do mnie „tatusiu”.

Otworzyła usta, żeby zaprzeczyć, lecz nagle zdała sobie sprawę, że on ma rację. Kiedy ostatnio zwróciła się do niego tak serdecznie? Kiedy ostatnio długo rozmawiała z tym człowiekiem, którego w dzieciństwie uwielbiała? Naprawdę nie potrafiła sobie przypomnieć. To nie zmieniało faktu, że nadal kochała swojego ojca.

- Ale nim jesteś - zapewniła. - Dla mnie zawsze byłeś tatusiem. - Wspaniałym, chociaż strasznie upartym tatusiem. - Nie chcę cię stracić - powiedziała żarliwie.

- A ja nie chcę, aby mnie utracono.

Ścisnęła jego dłoń, jak gdyby w ten sposób mogła skłonić go do spełnienia prośby, którą właśnie zamierzała sformułować.

- W takim razie idź do lekarza. Przynajmniej do doktora Weisemana.

Josh wstał. Zwrócony plecami do córki oparł się o poręcz ganku. Znów popatrzył na niebo. Tym razem ujrzał tylko ciemność.

- Jeśli pójdę, to może będę musiał zmierzyć się z czymś, na co nie mam ochoty.

Podeszła do niego. Zgarbione plecy wyglądały tak smutno. Jak gdyby ojciec właśnie godził się ze swoją klęską. Nie takiego go znała przez całe swoje życie.

- Chyba już to robisz, tato - powiedziała łagodnie. Potrząsnął głową.

- Nie. Na razie tylko biorę pod uwagę niejasną możliwość. Istnieje ogromna różnica między tym a pełnym rozeznaniem w sytuacji.

- Tatusiu, proszę cię... - Delikatnie, lecz stanowczo wzięła jego rękę w swoje dłonie, skłaniając go, aby znów na nią spojrział. Wiedziała, że musi go przekonać. - Zawsze mi pomagałeś. Tym razem pozwól, żebym to ja tobie pomogła.

Po długim milczeniu w końcu skinął głową.

- Dobrze. Umów mnie z tym starym szarlatanem. Niech mnie przebada. - W jego oczach Caroline zauważyła błysk dawnej odwagi. - Ale to mi się nie spodoba.

- Nie musi. Wystarczy, że do niego pojedziesz. - Wolą na razie nie spekulować na temat przyszłości. Chciała swojego ojca zachować w pamięci takiego jak teraz, gdy stał obok i z nią rozmawiał. - Dzięki, tatusiu.

- Nie dziękuj. Jesteś moją dłużniczką i postaraj się o tym nie zapomnieć.

Oto odpowiedź o niezamierzonym ironicznym podtekście, pomyślała.

Doktor Benjamin Weiseman spędził z jej ojcem dużo czasu. Obaj siedzieli bardzo długo w gabinecie lekarskim, a Caroline zastanawiała się, czy to dobrze, czy źle. Weiseman był tylko lekarzem rodzinnym, lecz właśnie dlatego miał do czynienia z wieloma przypadkami natury medycznej. Poza tym praktykował od trzydziestu lat. Dysponował więc wiedzą i doświadczeniem. Caroline liczyła na to, że Weiseman znajdzie

odповідź na te niepokojące pytania, które obawiała się sformułować.

W końcu drzwi się otworzyły i doktor wyszedł na korytarz. Ojciec Caroline jeszcze się ubierał, więc lekarz poprosił ją do swojego gabinetu.

- Dziwne, że twoja matka nie przyszła z wami - stwierdził nieoczekiwanie.

- Chyba trochę się bała - przyznała Caroline. - Nie przyjmuje dobrze złych wiadomości. Woli jak najdłużej je ignorować.

Weiseman ze zrozumieniem skinął głową i usiadł.

- Twój ojciec zawsze trzymał ją pod kloszem. Mało jest teraz takich kobiet jak ona.

Caroline nie podjęła tematu. Nie przyszła tutaj rozmawiać o matce. Odsunęła jedno z dwóch krzeseł stojących naprzeciw dębowego biurka. Jako dziecko czuła się przytłoczona imponującą wielkością tego mebla o zasłanym papierami blacie. Teraz nie wydawał się jej aż taki duży. Mimo narastającego zdenerwowania cierpliwie poczekała, aż lekarz skończy coś pisać w karcie jej ojca. Następnie zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju od pamiętnego telefonu.

- Sądzi pan, że to choroba Alzheimera?

Weiseman zamknął szary, kartonowy segregator i spojrzał na nią ponad górną krawędzią wąskich, przeznaczonych do czytania okularów.

- Nie wiem - przyznał szczerze. Uważnie wysłuchał uwag Caroline, gdy zadzwoniła do niego, aby zamówić wizytę. Dzisiaj przeprowadził szczegółowy wywiad lekarski, lecz nie potrafił udzielić jednoznacznej odpowiedzi. - Nie istnieje test potwierdzający fakt zachorowania na tę chorobę.

Caroline splotła oparte na udach dłonie, nagle przemknęło jej przez głowę, że chyba wygląda na osobę, która się modli. Chociaż może rzeczywiście to robiła. W pewnym sensie, rzecz jasna.

- Oczywiście, ale przecież są też inne ewentualności. - O, Boże, pomyślała, niech tata choruje na coś mniej przerażającego. - Występujące u ojca objawy mogą być spowodowane różnymi przyczynami. Dlatego proszę, aby wystawił pan skierowanie na konkretne badania. Wszystkie, które uzna pan za niezbędne! Byłoby dobrze wyeliminować jak najwięcej możliwości, na przykład niedoczynność tarczycy, zmiany w obrębie narządów wewnętrznych, toksyczną reakcję na leki. Co tylko się da. Nie wolno nam powiedzieć mu, że ma Alzheimera, dopóki nie będziemy absolutnie pewni, że nie jest to inny problem.

Weiseman zazdrościł Joshowi tej miłości, którą widział w oczach Caroline. Sam nie miał dzieci.

- Chcesz, żebym polecił ci specjalistę?

- Ojciec nie pójdzie do specjalisty. Z dużymi oporami zgodził się na wizytę u pana. Może na razie pan będzie go prowadził? On panu ufa. Ja także. - Ujrzała pojawiający się na ustach Weisemana nikły uśmiech. - O co chodzi? - spytała zaintrygowana.

- Właśnie przypomniałem sobie, jak przyszłaś tutaj, będąc małą dziewczynką. Panicznie bałaś się wejść do mojego gabinetu, za nic w świecie nie chciałaś tego zrobić. Zapierałaś się nogami w progu, a twoja matka i pielęgniarka musiały cię prawie wnieść do środka, żebym mógł cię zaszczepić. A teraz proszę, proszę - jesteś panią doktor.

Doskonale pamiętała chwile strachu, które przeżyła tamtego dnia. Nie zapomniała również o tym, jak miło potraktował ją doktor Weiseman. Długo i serdecznie uspokajał przerażone dziecko, choć w tym czasie mógłby przyjąć następnego pacjenta. Caroline zawsze pragnęła zostać właśnie takim lekarzem.

- Dał mi pan wspaniały przykład. Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To dobrze. Miło mi słyszeć, że na coś się przydałem.

- Pochylił się do przodu, patrząc na nią uważnie. - Nie miałabyś ochoty wrócić do Bedford i tutaj pracować?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Wzruszyła ramionami. Po chwili zastanowienia musiała jednak przyznać, że idea powrotu w rodzinne strony nie była jej zupełnie obca. Myśl o tym w takiej lub innej formie przychodziła jej do głowy od dnia, w którym zdobyła dyplom.

- Na razie wzięłam urlop. W obecnej sytuacji niczego jeszcze nie planuję.

- Doktor Brady myśli o przejściu na emeryturę. Zamierza sprzedać swoją praktykę. - Weiseman w zamyśleniu kręcił palcami młynka. - A może zatrudniłabyś się w szpitalu? - zasugerował. - Nie na stałe, oczywiście - dodał szybko, żeby nie zdążyła odmówić. - Zawsze kogoś brakuje na ostrym dyżurze,

a ty jesteś taka spokojna i działasz kojąco. Byłabyś ucieleśnieniem ideału lekarza, jeśli można tak powiedzieć. - Zachichotał, rozbawiony swoimi słowami.

Domyślała się, dlaczego jej to proponował.

- Skąd to zainteresowanie moimi planami, doktorze? - spytała, aby się upewnić.

Nie zamierzał obrażać jej inteligencji, wymyślając jakieś bzdurne powody.

- Oboje dobrze wiemy, że czyjaś choroba to cios nie tylko dla samego chorego, lecz także dla jego rodziny - odparł szczerze. - Ty potrzebujesz zajęcia, które w tym trudnym okresie pomoże ci panować nad emocjami, a my potrzebujemy lekarza. Hal Endicott właśnie się zwolnił. Przeprowadza się do Arizony lub Nowego Meksyku. Do jednego z tych pustynnych stanów.

- Weiseman był rodowitym Kalifornijczykiem i nigdy nie kusilo go, aby zmienić miejsce zamieszkania. - Mam pewne wpływy w radzie szpitala. Sprawy papierkowe załatwi się z marszu. Mogłabyś zacząć nawet od jutra. - Uśmiechnął się szeroko i dodał:

- Nie chciałbym, żebyś tutaj zardzewiała. W Szpitalu im. Harrisa przyda się dobry, młody pediatra.

Pomyślała, że Weiseman obdarza ją dużym kredytem zaufania.

- Uważa pan, że zasługuję na to miano? A jeśli jestem tylko przeciętnym konowalem?

- Na pewno nie - odparł z przekonaniem. - Jak już wspomniałem, mam różne znajomości. Poza tym twoja matka zawsze opowiadała mi o twoich osiągnięciach. Podczas każdej wizyty chwaliła się twoimi stopniami, a później pokazywała wycinki z gazet, w których pisano o sukcesach jej córki lekarki. - Weiseman umilkł na moment. - Co sądzisz o mojej propozycji? - spytał poważnie. - Przecież i tak zostaniesz w Bedford na pewien czas. Twoi rodzice cię potrzebują. A nam przyda się dodatkowa para rąk.

Zastanawiała się przez chwilę. Może rzeczywiście warto trochę popracować, pomyślała. Przebywała tu dopiero kilka dni, a już czuła się zdenerwowana z powodu przymusowej bezczynności. Nie wątpiła, że za tydzień lub dwa będzie jeszcze gorzej.

- Dobrze - powiedziała po namyśle. - Może pan, doktorze, zacząć załatwianie formalności. Nie nadaję się na leniucha, lada moment zaczęłabym wyć z nudów.

- Masz rację - ze śmiechem stwierdził Weiseman. - Lenistwo nie leży w twojej naturze. - Zadowolony z rezultatu rozmowy, uściśnięła Caroline rękę. - Nie pożałujesz tej decyzji. Kto wie, może tak ci się u nas spodoba, że zostaniesz na stałe.

- Zawsze jestem otwarta na interesujące propozycje - odparła.

- A co z testami ojca? - spytała, pragnąc sfinalizować sprawę, która była bezpośrednią przyczyną przyjazdu do szpitala.

Weiseman sporządził listę badań, które powinien przejść jego pacjent.

- Przywieź tatę do nas, a ja zajmę się resztą. - Podał jej wyrwane z bloczka skierowania, po czym wstał i powiedział: - a teraz pójdę z nim porozmawiać, zanim uzna, że spiskujemy przeciwko niemu.

Caroline także podniosła się z krzesła.

- Prawdopodobnie i tak przyjdzie mu to do głowy.

Weiseman parsknął śmiechem.

- Dobrze znasz swojego tatę, prawda?

Sloan lekko potarł skronie. Ból się wzmaczał. Był spowodowany dwoma przyczynami - wewnętrzną, czyli napięciem, i zewnętrzną, czyli postawą uczniów. Przymrużonymi oczami popatrzył na sporą grupę nastolatków siedzących na scenie i w kilku pierwszych rzędach widowni. Prawie stracił nadzieję, że jakimś cudem zdoła stworzyć harmonijną całość z tej różnorodności.

Przedstawienie wciąż wydawało się nie dopracowane.

Sloan czuł, że traci resztkę entuzjazmu niezbędnego do pracy ze swoimi młodocianymi aktorami. Nic dziwnego, że pani Jacobs zaszła w ciążę. Sam też chętnie by to zrobił, gdyby dzięki temu mógł wykręcić się od reżyserowania. Dzisiaj miał wrażenie, że źle szło absolutnie wszystko. Na próbie nie zjawilo się pięć osób, w tym dwie grające główne role, ale ci przynajmniej przysłali usprawiedliwienia. Pozostali po prostu zignorowali dzisiejsze spotkanie.

Sloan nie cierpiał takich sytuacji. Na dodatek musiał przyprowadzić do szkoły Danny'ego i Joeya. Zazwyczaj akceptował tę konieczność. Zostawiał chłopców pod opieką jednej z uczennic i robił to, co do niego należało. Lecz dziś, nie wiadomo dlaczego, obaj zachowywali się okropnie. Wielokrotnie, za to bezskutecznie zwracał im uwagę i prosił, aby się uspokoił. Czuł, że ogarnia go coraz większa irytacja.

Jak mógł kierować pełnymi temperamentu nastolatkami, skoro nie potrafił zapanować nad własnymi dziećmi?

- Ból głowy, panie Walters? - Za jego plecami stanęła Allison.

Drgnął gwałtownie, a pod czaszką zaczęło jeszcze silniej pulsować.

- Tak - mruknął i spojrzał na trzymany w ręku scenariusz. Może ta następna scena pójdzie lepiej niż poprzednie.

- Mam aspirynę. Zaraz panu przyniosę.

- Nie pomoże - zapewnił uczennicę. Migrena tego rodzaju znikala na ogół dopiero następnego dnia rano.

- Może pomasuję panu skronie? - Allison nie zamierzała się poddać.

Uchylił się, zanim zdążyła go dotknąć.

- Dzięki, ale sądzę, że powinnaś raczej zabrać się do roboty. Przywołana do porządku, dziewczyna przyłączyła się do kolegów i koleżanek. Sloan spojrzał na tłumek młodzieży.

- Słuchajcie, wiem, że jesteście zmęczeni. Wiem też, że nie występujemy na Broadwayu. Czeka was jednak popis przed waszymi przyjaciółmi i rodziną. Na pewno nie chcecie ich rozczarować ani sprawić zawodu sobie samym.

- Albo panu - słodko dodała Allison.

- Moja osoba liczy się tutaj najmniej - stwierdził krótko.

- Natomiast zależy mi na tym, żebyście byli z siebie dumni. Bez wątpienia macie trochę talentu. Nie obsadziłbym was w tych rolach, gdyby było inaczej. Zresztą już podczas wstępnych przesłuchań pokazaliście, co potraficie.

- Tato! Hej, tato, popatrz! - zawołał nagle Joey.

- Nie teraz, synu. - Co dzisiaj wstąpiło w te dzieciaki? Na ogół nie sprawiały większych kłopotów. - Jestem zajęty.

- Ty nigdy nie masz czasu. - Joey zrobił naburmuszoną minę. - Spójrz na mnie! Ja też umiem tańczyć jak Indianin! - zapiszczał.

Koniecznik musi znaleźć opiekunkę do dzieci. Na matkę ostatnio nie można było liczyć. Oczywiście nie miał jej tego za złe, ale nie mógł też winić chłopców za to, że byli niesforni. Rozsadzała ich energia, czemu nie należało się dziwić. Każdy wiek ma swoje prawa, pomyślał, nakazując sobie opanowanie.

Odwrócił się i zamarł. Joey, który najwyraźniej chciał choćby na chwilę zwrócić jego uwagę, balansował na krawędzi sceny. Podskakiwał raz na jednej, raz na drugiej nodze, naśladując taniec Indian występujących w popularnym na Dzikim Zachodzie programie Buffalo Billa. Pokaz ten stanowił integralną część wystawianej przez uczniów sztuki. Sloan nie zdążył krzyknąć, aby Joey się cofnął, ponieważ chłopiec właśnie się potknął i głową w dół spadł ze sceny.

Sloan rzucił się w jego stronę, lecz nie zdążył syna złapać. Ramionami chwycił powietrze, a Joey upadł na podłogę. Jego głośny krzyk wypełnił całą salę. Wszyscy błyskawicznie otoczyli leżącego chłopca. Pragnęli mu pomóc, lecz nie wiedzieli jak.

- Tatusiu - jęknął przestraszony Danny. Patrzył na brata, i widział krew na jego dolnej wardze, która szybko puchła.

- Wezwijcie pogotowie - polecił Sloan. Częstką świadomości zarejestrował za plecami jakiś ruch, gdy ktoś pobiegł zadzwonić po karetkę.

Z sercem ściśniętym strachem ukląkł obok synka. Joey miał oczy otwarte, lecz jakby trochę zamglone. Sloan chciał chwycić drobne ciało dziecka w objęcia, wiedział jednak, że nie powinien go ruszać z miejsca. Był na siebie wściekły. Jak mógł dopuścić do tego wypadku?

- Joey, słyszysz mnie?

Usta chłopca poruszyły się, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Sloan pochylił się i przysunął ucho do warg syna.

- Tatusiu, boli. Zrób coś, żeby przestało.

- Jak ci minął pierwszy dzień? - Doktor Brian Herne, świeżo upieczony ortopeda i poprzedni najnowszy nabytek szpitala, posłał Caroline swój najlepszy uśmiech. Nie obdarzał nim pacjentów. Dzisiaj rano, gdy zgłosiła się na dyżur, zapoznał ją z warunkami pracy. To, jego zdaniem, dawało mu prawo do spędzenia z Caroline trochę czasu na gruncie prywatnym. Od niej zależało, jak bardzo prywatnym.

Caroline była wykończona. Dzień rozpoczął się od kłótni. Ojciec zmienił zdanie i stanowczo odmówił poddania się zaleconym badaniom. Prosiła i groziła, aż udało się jej skłonić go do zmiany decyzji. Musiała także przekonać matkę, że powinna pojechać z nimi. Wanda chciała zostać w domu, w bezpiecznym otoczeniu znajomych ścian. Szpitale ją przerażały. Caroline razem z rodzicami wędrowała od gabinetu do gabinetu, towarzyszyła im przez cały czas.

Teraz należało tylko czekać na wyniki. Była wdzięczna Weisemanowi za propozycję pracy. Dzięki niej przez ostatnie kilka godzin miała czym zająć ręce i umysł. Stały napływ nowych pacjentów zmniejszył się dopiero pół godziny temu. Przedtem musiała zająć się wieloma różnymi przypadkami, na przykład uchem przekłutym haczykiem do łowienia ryb, zatruciem pokarmowym i poważną grypą. Przywieziono także dwoje turystów, których ciała osłonięte były wyłącznie wysypką spowodowaną trującym bluszczem.

Po tylu atrakcjach Caroline z ulgą powitała koniec dyżuru. Marzyła o powrocie do domu, swoim dawnym pokoju i łóżku.

- Już rozumiem, dlaczego doktor Weiseman usiłuje zwabić tutaj kogo się da - powiedziała z uśmiechem. - Zawsze tu taki młyn? - Zsunęła z ramion biały fartuch, a Herne usłużnie pomógł jej go zdjąć.

- Na ogół bywa jeszcze gorzej - odparł. - Choć muszę przyznać, że dziś przyjęliśmy więcej dzieci niż zwykle. - Powoli przesunął spojrzeniem po jej sylwetce. Spodobało mu się to, co zobaczył. Nawet bardzo. - Gdzie zrobiłaś dyplom?

- W UCLA, a staż odbyłam w Scripps College. Obecnie pracuję w klinice w Albuquerque.

- W Nowym Meksyku? - spytał, podając jej fartuch. - Jakim cudem trafiłaś do naszego szpitala?

Caroline usiłowała przypomnieć sobie drogę do szatni.

- To długa historia.

- Mam dużo czasu. Właśnie skończyłem dyżur. - Herne uśmiechnął się jeszcze bardziej uwodzicielsko. - Może przy kawie opowiesz mi tę długą historię.

- Dzięki, ale odłóżmy to na kiedy indziej. - Czowała, że Brian Herne jest w nastroju do czegoś więcej niż zwyczajna pogawędka. Podczas studiów na medycynie i praktyk niejedną raz zetknęła się z takimi osobnikami jak on. Wszyscy byli czarujący i przystojni, a po godzinach chętni do zabawy w doktora. - Jestem trochę zmęczona i... - Urwała na widok gwałtownie otwierających się drzwi w głębi izby przyjęć. Dwóch sanitariuszy wtoczyło do środka wózek z noszami. Leżał na nich ktoś drobnej budowy. Serce Caroline na moment zamarło, gdy ujrzała Sloana i Danny'ego. Ruszyła w ich stronę, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że puściła się biegiem.

- Hej, nie musisz tego robić! - zawołał za nią Herne. - Masz wolne.

- Już nie - rzuciła przez ramię i zatrzymała się przy noszach. - Sloan, co się stało? - spytała, patrząc na zakrwawioną twarz Joeya.

- Spadł ze sceny. - Nie miał pojęcia, co Caroline tutaj robi i kto ją wezwał, lecz jej obecność podziałała na niego jak kojący balsam.

Caroline spojrzała na sanitariusza.

- Jestem lekarzem dyżurnym - powiedziała. - Proszę o parametry życiowych funkcji.

Wyrecytował je niemal jednym tchem, jak ktoś z dużym doświadczeniem zawodowym. Joey był przytomny, ale pojękiwał jak zbity szczeniak, wyglądało na to, że ma obrażenia jednej ręki, drugą chwycił dłoń Caroline.

- Czy ja umrę? - Z jego oczu wyzierał strach.

- Na pewno nie - zapewnił Sloan z mocą, ale jego głos zabrzmiał ochryple.

Chłopiec potrzebował większej dawki otuchy.

- Mamę też zabrali do szpitala i umarła. Caroline pogłaskała go po ramieniu.

- Nie bój się, Joey. Wszystko dobrze się skończy. Obiecuję. Zaraz się tobą zaopiekuję. - Zwolniła sanitariuszy i gestem przywołała pielęgniarkę.

- Mogę z nim zostać? - spytał Sloan. Uznała to za najlepszy wariant.

- Oczywiście, to mu dobrze zrobi. Jest trochę przestraszony.

- Nie tylko on. - Sloan odetchnął głęboko.

Caroline wskazała zwolnione przed chwilą miejsce obok wyjścia. Stały tam dwa krzesła osłonięte niedużym parawanem, który stwarzał skromną strefę prywatności.

- Usiądźcie i poczekajcie na nas. Niezbędne badania muszą trochę potrwać. - Spojrzała na Joeya. - Temu chłopcu trzeba zrobić prześwietlenie.

- Pójdiesz ze mną? - zapytał.

- Muszę. Przecież jestem twoim szoferem. - Obróciła wózek i zaczęła go popychać w kierunku korytarza, lecz zaraz zastąpiła jej drogę rejestratorka. Znacząco uniosła tabliczkę z przypiętym do niej plikiem papierów.

- Chwileczkę, pani doktor. Proszę najpierw wypełnić formularze.

Caroline skinęła głową w stronę Sloana.

- Pan Walters chętnie tym się zajmie. Jest nauczycielem i pisanie to jego żywioł. - Przypomniała sobie, że nadal ma przy sobie torebkę. Zsunęła pasek z ramienia i rzuciła ją Sloanowi. - Weź ją, dobrze? Postaramy się wrócić jak najszybciej. - Przewiesiła swój fartuch przez nosze, ponownie zerknęła na Sloana. Na jego twarzy wciąż malował się niepokój. - Wszystko będzie dobrze - zapewniła. - Wierz mi.

- Wierzę - odparł, śledząc ją wzrokiem, gdy wychodziła. Wiedziała, że on jej ufa.

Sloan miał wrażenie, że czeka już całe wieki. Danny opierał się o ojca i z coraz większym trudem walczył z narastającą sennością. Głowa co chwila mu opadała, więc podrywał ją w górę, ale oczy i tak po chwili same mu się zamykały.

Sloanowi natomiast z trudem przychodziło beczynne oczekiwanie. Wyrzucał sobie, że nie pilnował swoich synów tak jak powinien. A przecież to oni nadawali sens jego życiu, nie jakieś tam przedstawienie, o którym tydzień po premierze wszyscy zapomną.

Właśnie zamierzał ruszyć na poszukiwanie Joeya i Caroline, gdy oboje wreszcie się zjawili. Caroline szła obok pchanego przez sanitariusza wózka z noszami, na których leżał Joey z ręką w gipsie. Oby to było najgorsze z jego obrażeń, przemknęło Sloanowi przez głowę. Zerwał się z krzesła i przytrzymał Danny'ego, żeby nie uderzył policzkiem o oparcie. Pełen obaw spojrzał na Caroline.

- I co?

- Nic strasznego - zapewniła, delikatnie mierzwiąc palcami płowe włosy Joeya. Jednocześnie pomyślała, że Sloanowi także przydałoby się trochę relaksu. Wyglądał na zmęczonego i spiętego.

- A ta ręka? Jest złamana?

- Tak, w nadgarstku. Kość pękła, gdy odruchowo oparł się na dłoni. Szybko się zrośnie. Prędzej, niż gdybyś to ty coś sobie uszkodził. Organizm dziecka regeneruje się w błyskawicznym tempie. - Uśmiechnęła się do chłopca.
- Dobrze, że ręką złagodziłeś siłę upadku. To było mądre posunięcie.

Joey chciałby przypisać sobie tę zasługę, ale obok stał tata. A tata nie pozwalał kłamać.

- Nie myślałem o tym - przyznał szczerze - i strasznie się bałem. - Zastanawiał się, czy z tego powodu straci w oczach Caroline. Chyba nie, stwierdził, ponieważ wciąż patrzyła na niego z sympatią. Uznał, że Caroline to fantastyczna babka, chociaż lekarka.

- Wiem, że się bałeś, kochanie - powiedziała. - To zupełnie zrozumiałe. Tylko bohaterowie komiksów i kaskaderzy nie boją się spaść ze sceny. - Z rozbawieniem zauważyła, że Joey zrobił minę jak typowy, zadowolony z siebie mężczyzna.

- A ten guz na czole? - spytał Sloan.

- To tylko zwykły guz. Joey nie doznał wstrząśnienia mózgu. - Uśmiechnęła się. - Jego oczy reagują najzupełniej normalnie. Nie stwierdziliśmy żadnych dodatkowych obrażeń poza rozciętą wargą, która nawet nie wymagała zakładania szwów. Zrobiliśmy tylko okład z lodu. - Przyjrzała się Sloanowi. Chyba gonił resztkami sił. - A ty jak się trzymasz?

- Wziąłem się w garść - przyznał. - Dzięki tobie. - Lekko zmarszczył brwi - podobnie jak Joey, lecz brwi Sloana były jaśniejsze i grubsze. Mają kolor pszenicy o zachodzie słońca, pomyślała Caroline. Mimo głębokiej zmarszczki na czole Sloan wyglądał pociągająco. Atrakcyjny nawet w sytuacji kryzysowej.

Sloan nie przypominał sobie, aby Caroline wspominała coś o pracy w szpitalu. Czekał w izbie przyjęć, zdał sobie sprawę z tego, że nie telefonowano po Caroline ani nie informowano jej o tym, co się stało.

Sądząc, że ktoś ją wezwał, uczynił widocznie błędne założenie, nie myślał trzeźwo, a obecność Caroline całkiem go zaskoczyła. Teraz już mógł zapytać, z jakiego powodu tu się znalazła.

- Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj. Co robisz na ostrym dyżurze?

Miała ochotę powiedzieć coś zabawnego o podawaniu pomocnej dłoni, lecz zaraz porzuciła ten pomysł.

- Znudziło mi się lenistwo, więc na pewien czas uaktywniłam się zawodowo - wyjaśniła. - Właśnie odbyłam pierwszy dyżur. - Spojrzała na niego uważnie. - Wyglądasz znacznie gorzej niż Joey. Przynieść ci coś do picia?

- Nie, dziękuję. To tylko nerwy. - Panika i poczucie winy już go nie paraliżowały, ale serce biło jeszcze trochę za szybko.

- Kiedy mogę go zabrać?

- Są dwie możliwości. Albo zostanie do jutra na obserwacji - zawahała się na widok strachu, który znów zamigotał w oczach chłopca - albo wypiszemy Joeya i sam będziesz go obserwował.

Danny, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, przysunął się do brata.

- Ja go popilnuję - oświadczył poważnie.

Nie potrafiła oprzeć się pokusie i ujęła go pod brodę.

- Doskonale, Danny. Ciebie też przestraszył, prawda? Teraz, gdy Joeyowi już nic nie groziło, Danny nie zamierzał przyznać, że bał się o brata.

- Nie - zaprzeczył lekkim tonem. - Joey ma twardą głowę. Wiedziałem, że nic mu nie będzie.

Caroline udała, że mu wierzy.

- Jak to dobrze, że twój tata miał przy sobie kogoś tak rozsądnego i opanowanego jak ty. Przyszły lekarz powinien być zrównoważonym

człowiekiem. - Jej pochwała sprawiła, że buzia Danny'ego rozjaśniła się z radości. Caroline patrzyła na niego z rozbawieniem.

Sloan marzył o tym, aby jak najszybciej wyrwać się z tego miejsca. Nigdy nie lubił szpitali. W ich atmosferze stawał się bezradny, czego szczerze nie znosił. Rozejrzał się wokół.

- Wiesz, gdzie tu jest telefon?

- Za tymi drzwiami. - Gestem wskazała hol. - Dlaczego pytasz?

- Muszę wezwać taksówkę. Przyjechaliśmy tutaj karetką. Mój samochód został na szkolnym parkingu.

- To żaden problem. - Podniosła torebkę, którą Sloan postawił na podłodze. - Ja też już wychodzę. Chętnie podrzucę cię do szkoły i odwozę chłopców.

Uznał, że byłoby nie fair tak ją wykorzystywać.

- Zrobiłaś dla nas wystarczająco dużo.

Może on się obawia, że po tamtej kolacji czegoś od niego oczekuję, pomyślała. Czyżby aż tak jej nie znał?

- Hej, to darmowy kurs - zażartowała. - Chyba że... Zostało trochę czekoladowego tortu?

- Nie jestem pewien - przyznał. - Jeśli nie, to zamówię dostawę z cukierni.

- Dam ci swój czekoladowy batonik - obiecał Joey. Chciał, żeby pojechała z nim do domu.

- Trudno o lepszą ofertę - powiedziała ciepło, wyciągając do Joeya rękę. - Umowa stoi.

ROZDZIAŁ 5

Caroline zawiozła Sloana na szkolny parking i poczekała, aż wsiądzie do swojego samochodu. Chłopcy zostali z nią, ponieważ obiecała, że ona odwiezie ich do domu. Wyjechała na ulicę. Zerknęła we wsteczne lusterko akurat wtedy, gdy światło zmieniło się z zielonego na żółte. Zdążyłaby przejechać przez skrzyżowanie, lecz jadący za nią Sloan musiałby poczekać. Nacisnęła więc pedał hamulca.

W lusterku widziała niewyraźne odbicie twarzy Sloana. Mimo upływu lat nic się nie zmieniło - tłumione przez tyle czasu uczucie, jakim obdarzała tego mężczyznę, nadal było żywe. Jej życie pod wieloma względami stało się zupełnie inne niż dawniej. Obecnie mogła je kształtować w dowolny sposób. Dysponowała odpowiednimi środkami i możliwościami. Ale cokolwiek by uczyniła i gdziekolwiek by się udała, serce przypominało jej, że ono należy do Sloana. Równie dobrze mogła raz na zawsze pogodzić się z tym faktem.

Przesunęła stopę na pedał gazu i skręciła w lewo. Joey cichutko pojękiwał.

- Już dojeżdżamy - zapewniła chłopca uspokajającym tonem. - Wytrzymaj jeszcze troszkę.

Zmieniła pozycję lusterka, żeby móc widzieć tylne siedzenie.

Biedny maluch, pomyślała. Mina Joeya dobitnie świadczyła o tym, że chłopiec cierpi. Caroline z własnego doświadczenia wiedziała, jakie przykre bywa w tym wieku unieruchomienie kończyny. Sama miała kiedyś nogę w gipsie. Potknęła się o psa i spadła ze schodów. Rezultatem była złamana kość goleniowa.

- Ciągle boli.

Widziała, że Joey usiłuje się nie rozplakać, ale jego dolna warga drżała. Caroline ustawiła lusterko w poprzednim położeniu i wjechała na podjazd.

Zatrzymała samochód, zaciągnęła ręczny hamulec. Tymczasem Sloan również dotarł na miejsce i zaparkował obok. Odpięła pasy i odwróciła się, aby spojrzeć na Joeya.

- Jeszcze trochę będzie bolało, kochanie. Zachowywałeś się bardzo dzielnie. - Pochyliła się w jego stronę i lekko ścisnęła mu dłoń. - Znam mężczyzn dużo większych od ciebie, którzy reagowali na ból jak małe dzidzisie - zapewniła, zniżając głos, jak gdyby powierzała Joeyowi tajemnicę.

Nadgarstek rzeczywiście boleśnie pulsował pod gipsowym opatrunkiem, lecz Caroline nazwała Joeya mężczyzną i to bardzo podniosło chłopca na duchu. Uznał, że stać go na jeszcze więcej odporności.

- Naprawdę? - spytał.

- Naprawdę. Radziłabym ci spać dzisiaj na wznak, a pod gips podłożyć poduszkę. Jeśli postarasz się trzymać tę rękę w miarę nieruchomo, to prawie przestanie cię boleć. W szkole wszyscy chętnie podpiszą się na twoim gipsie. Będziesz przebojem pierwszej klasy.

- Joey sypia jak nakręcany miś - poinformował ją Danny. - Wierzga i wierci się przez całą noc. W zeszłym tygodniu tata znalazł go na podłodze. Joey spadł z łóżka i nawet się nie obudził.

- Nie możesz dopuścić do tego, żeby Joey dzisiaj w nocy wylądował na podłodze - odparła z całą powagą. - Czeka cię trudne zadanie. Sądziś, że mu podolasz?

Danny uwielbiał być traktowany jak dorosły mężczyzna. Caroline szybko stawała się jedną z osób, które najbardziej lubił.

- Jasne.

Sloan właśnie wysiadł z samochodu.

- Dasz sobie radę, Joey? - Otworzył tylne drzwiczki i cofnął się, aby zrobić synowi miejsce, ale jako pierwszy wygramolił się Danny, od razu spiesząc bratu z pomocą. Sloan nie wierzył własnym oczom, gdy Danny troskliwie otoczył Joeya ramieniem.

- Joey, możesz oprzeć się o mnie, jeśli chcesz - zaproponował z przejęciem.

Sloan patrzył na nich całkiem oszołomiony. Do tej pory Danny nigdy nie okazywał bratu takich względów. Ich stosunki układały się w typowy sposób - cechowała je rywalizacja i chęć dominacji. Zerknął ponad dachem auta na Caroline. To jej należało się podziękowanie za tę scenkę. I za wiele innych rzeczy.

- Pierwszy raz widzę coś takiego - mruknął do niej.

- Rośnie i jest coraz mądrzejszy - odpowiedziała szeptem, wpatrzona w Danny'ego, który prowadził młodszego brata do frontowych drzwi. - Ma dobre serce.

Sloan ze zdziwieniem pokręcił głową.

- Dopiero tobie udało się to ujawnić.

Wzruszyła ramionami. Komplementy zawsze wprawiały ją w zakłopotanie.

- To zasługa sprzyjających okoliczności, nie moja. - Czas się pożegnać, pomyślała i siadła za kierownicą. Zauważyła, że Sloan się zdziwił. Szybko obszedł auto, przytrzymał drzwiczki, zanim zdążyła je zamknąć.

- Nie wejdiesz?

Zamierzała ich odwiedzić, ale odstąpiła od tego zamiaru.

- Chyba nie. Tyle się wydarzyło, więc może wolałbyś resztę wieczoru spędzić tylko w gronie rodzinnym.

- Przecież ty do niego należysz. - Wziął ją za rękę, przynaglając, by wysiadła. - Nie jest po męsku przyznawać się do czegoś takiego, ale nie wiem, co bym zrobił, gdybym dzisiaj cię nie spotkał. Ja chyba w ogóle nie nadaję się na rodzica.

Serdeczna opieka nad dziećmi była domeną Julie. Sloan umiał zarabiać na utrzymanie, zawsze milcząco wspierał żonę, lecz nie potrafił ukoić cierpienia małych chłopców, z których oczu wyzierało przerażenie. Jako samotny ojciec

musiał wkroczyć na nowe, nie znane sobie terytorium i oddałby wiele za jakąś jego mapę. Bez niej wciąż błdził.

Caroline jest taką mapą, pomyślał. Z wrodzonym talentem skutecznie oferowała ukojenie, choć nie miała swoich dzieci.

Uśmiechnęła się do niego. Z taką bezradną miną wyglądał czarująco.

- Co ty opowiadasz - odparła lekkim tonem. - Doskonale dajesz sobie radę. Drobne wypadki zdarzają się wszystkim dzieciom. - Może rzeczywiście ich odwiedzić? Oczywiście wpadłaby tylko na parę minut. Skoro Sloan ją zaprasza... Wzięła z siedzenia torebkę, zatrzasnęła drzwiczki. - Przecież nie masz oczu na plecach i nie zdołasz się rozdwoić.

Rozumiał jej dobre intencje, ale nie mógł szukać dla siebie usprawiedliwienia. Był samotnym ojcem, powinien stanąć na wysokości zadania.

- Muszę bardziej się starać.

- Przestań się frustrować. Zwariujesz, jeśli wciąż będziesz z siebie taki niezadowolony. - Przygania kocioł garnkowi, pomyślała urągliwie. Zawsze łatwiej udzielać dobrych rad, niż samemu postępować racjonalnie, przemknęło jej przez głowę. - Jeśli chcesz, to wejdę na chwilę. Położę Joeya spać.

Ucieszył się jak głupi, gdy to powiedziała. Poczul jednocześnie ulgę i wdzięczność, co dodało tyle uroku jego uśmiechowi, że Caroline oniemiała z wrażenia. Wchodząc za Sloanem po kamiennych schodkach prowadzących do frontowych drzwi, postanowiła przestać się łudzić, że kiedykolwiek stanie się na niego odporna. Wszystko bowiem wskazywało na to, że zawsze będzie w Sloanie zakochana. Powinna więc pogodzić się ze swoim losem. Koniec, kropka.

- Spójrz, tato! - zawołał Danny. - Ktoś zostawił nam kwiaty. Może są dla ciebie, Joey.

Na wycieraczkę leżały cztery różowe róże owinięte białą bibułą. Joey spojrzął na nie z niesmakiem. Kwiatki nadawały się na prezent dla dziewczyn, nie dla chłopców.

- Wolałbym lody.

- Jutro - obiecał Sloan. Dobrze wiedział, co znajduje się w lodówce. Wyłącznie kostki lodu. Przed pójściem na dzisiejszą próbę zjedli ostatnie mrożone obiady.

Sloan nie domyślał się, kto zostawił bukiet, ani z jakiej okazji. Schylił się i podniósł kwiaty. Do bibuły była przypięta szpilką karteczka z odręczną notatką. „Mam nadzieję, że Joey czuje się lepiej” - przeczytał. „Do zobaczenia na próbie. Będę ćwiczyć dla pana. Allison”.

Wpatrywał się w róże z tak zdumioną miną, że Caroline uśmiechnęła się rozbawiona.

- Wygląda na to, że masz wielbicielek.

Nie uważał Allison za swoją wielbicielek. Dziewczyne po prostu rozsądzał entuzjazm. Prawdopodobnie trochę za bardzo.

- To moja gwiazda - wyjaśnił. - A raczej gwiazda szkolnego przedstawienia. Gra w nim główną rolę - sprostował zirytowany dwuznacznością użytego określenia.

On nadal nie widzi niektórych oczywistych rzeczy, pomyślała z czułością Caroline. Podobnie, jak nie dostrzegał ich siedemnaście lat temu.

- Chyba trafiłeś w sedno za pierwszym razem. Ta Allison pragnie być twoją gwiazdą.

Wepchnął kartkę do kieszeni. Sugestia Caroline wydała mu się absurdalna.

- Allison jest tylko jedną z moich uczennic. To jeszcze dzieciak.

Jeśli naprawdę w to wierzył, to znaczy, że był bardziej ślepy, niż sądziła. Mając na względzie małe audytorium, Caroline dobrała słowa starannie, niż gdyby rozmawiała ze Sloanem w cztery oczy.

- Dzieciakiem jest przedszkolak, Sloan. Każda osoba płci żeńskiej w wieku powyżej piętnastu lat to kobieta. Wierz mi.

- Ty jako piętnastolatka nie byłaś kobietą - odparł, sięgając do kieszeni w poszukiwaniu kluczy do domu.

Owszem, byłam, tylko ty nigdy tego nie zauważyłeś, zaoponowała w duchu.

Niech Sloan wierzy sobie, w co chce.

- Jako mol książkowy zaliczałam się do wyjątków. Ale Julie... Julie już wtedy była kobietą

Wyraz jego twarzy nagle się zmienił, jakby przybrał maskę. Zrozumiała, że on wciąż nie potrafi pogodzić się z losem i nabrać odpowiedniego dystansu do przeszłości. Dopóki nie zdobędzie się na ten krok, nie będzie w stanie naprawę żyć, pomyślała.

Zignorował jej uwagę, wsunął kwiaty pod pachę i otworzył drzwi.

- Chodź, mały. - Wziął Joeya na rękę.

- Gdzie? - Joey usiłował trzymać oczy otwarte, ale zmęczenie wywołane wydarzeniami kilku ostatnich godzin dawało o sobie znać.

- Do łóżka. - Sloan ruszył w stronę schodów.

Joey chętnie poszedłby spać, lecz gdyby to zrobił, ominęłyby go wszystkie atrakcje. Dlatego usilnie starał się wyglądać jak ktoś, kto wcale nie jest śpiący.

- Nie mógłbym położyć się później, a teraz porozmawiać z tobą i Caroline? - Odwrócił głowę, popatrzył na brata. - On jeszcze zostaje.

Danny zastanawiał się, co powinien zrobić - postąpić rozsądnie i iść na górę czy walczyć o prawo pozostania w salonie. Musiał podjąć trudną decyzję.

Sloan go wyręczył.

- Danny także idzie do łóżka. Jest późno, mamy za sobą trudny dzień, a wam potrzeba snu.

Zaczął wchodzić po schodach, zmierzając do sypialni chłopców. Ze zdziwieniem zauważył, że tym razem jego stanowczość nie spotkała się z protestem Danny'ego. Jako samotny ojciec uczynił więc krok do przodu.

- Obiecałem Caroline batonik. - Joey nie zamierzał się poddać.

- Zgodzę się na odroczenie - zapewniła pośpiesznie.

Joey przymrużył oczy, starając się pojąć, co Caroline powiedziała.

- Nie rozumiem - przyznał w końcu.

- Po prostu możesz dać mi ten batonik kiedy indziej.

- To znaczy, że jeszcze do nas przyjdiesz? - Joey natychmiast się rozpromienił.

- Oczywiście. - Sięgnęła ponad ramieniem Sloana i odgarnęła chłopcu grzywkę, która zasłaniała mu oczy. - Przecież jesteś moim pacjentem, prawda?

Jego buzia rozjaśniła się uśmiechem. Joey nie miał nic przeciwko temu, aby zostać pacjentem Caroline. Gdy zakładała mu gips, dotyk jej rąk był taki delikatny, że prawie wcale nie bolało.

- Tak.

- Wobec tego umowa stoi. A co powiesz na to, żebyśmy razem z Dannym pomogła ci się przebrać? - Nie czekając na odpowiedź Joeya ani na jakikolwiek komentarz Sloana, ostrożnie wzięła chłopca z ramion ojca.

Joey lubił, gdy Caroline trzymała go w objęciach. Wtedy był bliżej tego miłego zapachu, który trochę przypominał mamusię. Ona także ładnie pachniała. Zerknął na tatę. Wyglądał na zdziwionego, jak gdyby nie spodziewał się, że Caroline wniesie jego, Joeya, do pokoju.

- A co będzie robić tata?

Caroline przez ramię spojrzała na Sloana.

- Tata zdobędzie dla mnie ten obiecany kawałek czekoladowego tortu.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparł, zawracając w stronę schodów.

Gdyby to była prawda, pomyślała z rozmarzeniem.

Piętnaście minut później zeszła do salonu. Sama.

Sloan siedział na kanapie. Właśnie nadawano wiadomości, ale ich nie oglądał. Włączył telewizor po prostu z przyzwyczajenia. Był zbyt pogrążony w myślach, aby śledzić program. Na widok Caroline uniósł się nieco i sprawdził, czy ktoś za nią nie drepce.

- Gdzie Danny? - zapytał. Wieczorem chłopcy zawsze zwlekali z położeniem się spać. Danny wynajdywał niezliczone wymówki, aby przedłużyć czas zabawy. Dlatego Sloan sądził, że mimo jego poleceń syn znów zjawi się na dole.

- W łóżku. Pilnuje Joeya. - Szykowanie ich do snu naprawdę sprawiło jej przyjemność. Nawet przeczytała im bajkę do poduszki. Danny, co prawda, najpierw oświadczył, że już jest za duży na „takie głupstwa”, ale potem słuchał tak samo uważnie jak Joey. - Obaj są tacy kochani. W dzieciństwie zawsze brakowało mi tej bliskości, którą stwarza rodzeństwo.

Sloan patrzył na to pod innym kątem.

- Twoi rodzice mieli dzięki temu znacznie więcej spokoju.

Przypomniała sobie, jak smutno oboje wyglądali w dniu, gdy wyjeżdżała na studia. Zostawali w domu tylko we dwoje. Nie było nikogo, kto mógłby wypełnić powstałą pustkę.

- To tylko jedna strona medalu.

- A ta druga?

Jakie łatwe pytanie, pomyślała, przysiadając na poręczu kanapy.

- Stracili połowę uciechy.

Uciecha. Zdaniem Sloana istniały również inne określenia dla przeżyć tego rodzaju.

- W przypadku dzieci jeden plus jeden nigdy nie równa się dwa. Z tego dodawania otrzymujesz całą armię. Gdy rodzi się drugie dziecko, wszystko się nie tyle podwaja, co eksploduje - wyjaśnił ze znużeniem w głosie.

Pochyliła się w stronę Sloana, nie odrywając od niego oczu. Ani na chwilę nie dała się zwieść jego słowom.

- Ale nie oddałbyś ich nikomu za żadne skarby świata.

Udał, że się zastanawia, choć, oczywiście, wcale nie musiał tego robić.

- Na pewno nie - odparł. Caroline wstała. Sięgnęła po torebkę.

- Dokąd się wybierasz? - Sądził, że zostanie chociaż na godzinę.

Korciło ją, aby przejechać dłonią po jego niesfornych włosach - tak jak niedawno odgarnęła grzywkę Joeya. Zwalczyła pokusę, ale palce nadal chciały jej ulec.

- Do domu. Jak na jeden dzień miałeś chyba aż za dużo ekscytujących atrakcji.

Zdumiały go jej słowa. Dzisiejsze wydarzenia bynajmniej nie podziałały na niego ekscytująco. Owszem, był przerażony, zmartwiony, lecz z pewnością nie podekscytowany. Jeśli w ogóle ostatnio czuł się podniecony, to zdarzyło się to tamtego wieczora, gdy stał obok Caroline przy samochodzie.

I gdy ją pocałował.

Na myśl o tym znów ogarnęło go owo dziwne zakłopotanie, którego wówczas doświadczył.

- Mówisz, że na dziś wystarczy mi stymulujących czynników? - spytał ze śmiechem. Zaraz jednak spoważniał, wędrując spojrzeniem po jej twarzy. - Wydaje mi się, że zniosę większą dawkę ekscytacji, więc posiedź jeszcze trochę. Co prawda, tort się skończył, ale znalazłem rozpuszczalną czekoladę.

Caroline dopiero teraz zauważyła stojący na stoliku kubek z parującym napojem. Sloan przysunął go w jej stronę.

- Czy to cię usatysfakcjonuje?

- Może masz kulki z prawoślazem?

Odruchowo spojrział w stronę kuchni. Pomyślał, że pod względem porządku spiżarnia pozostawia wiele do życzenia. Tak samo jak jego życie.

- Wątpię, ale zostało pół opakowania rodzynek. Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Natomiast chętnie wypiję czekoladę. Nie pozwolę, żeby się zmarnowała.

Caroline usiadła na kanapie i wzięła kubek w obie dłonie. Poczula w żołądku leciutki skurcz, gdy musnęła kolana Sloana swoimi. Natychmiast przywołała się do porządku. Dorosłe kobiety ze specjalizacją z pediatrii nie powinny zachowywać się jak niedoświadczone smarkule.

Pierwszy łyk prawie sparzył ją w język.

- Och, jakie gorące.

- Przed chwilą przygotowałem. - Z trudem znalazł ostatnie pojedyncze opakowanie. - Uznałem, że muszę czymś się zająć, gdy ty ratowałaś moje zdrowe zmysły.

Pociągnęła kolejny łyżeczek. Ten wydawał się nieco chłodniejszy. Wnętrze jej ust powoli przyzwyczajało się do temperatury czekolady.

- Ja ratowałam twoje zdrowe zmysły? Chodzi ci o to, że położyłam ich spać?

- Właśnie o tej porze najbardziej dokazują.

- Widocznie ten wieczór to wyjątek. - Przy niej chłopcy byli potulni jak dwa baranki.

Miał ochotę powiedzieć coś o magicznej władzy, którą Caroline zdawała się sprawować nad jego synami. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Zakres działania tej magii być może nie ograniczał się tylko do nich.

Lub może on balansował na granicy szaleństwa.

Już dawno pogodził się z faktem, że przypadła mu rola samotnego ojca. Grał ją dobrze, ale jej nie polubił. Nie cierpiał przykrej świadomości, że już zawsze będzie tylko połówką całości, odseparowaną od drugiej połowy. Skazaną na swego rodzaju ułomne życie. Z tego powodu czasem czuł się beznadziejnie samotny. Tak bardzo samotny, że ledwie to wytrzymywał.

- Owszem - zgodził się z westchnieniem. - Ten wieczór to wyjątek. - Potarł rękami twarz. - Jestem wykończony.

Nie powinnam dłużej zawracać mu głowy, pomyślała z poczuciem winy.

- Pójdę już.

Odstawiła kubek i w tym momencie Sloan chwycił jej nadgarstek.

Zacisnął na nim palce, ale nie to ją zatrzymało. Unieruchomiło ją spojrzenie.

Nie potrafiła pojąć jego znaczenia, ale niewątpliwie ją przyciągało. Wciągało.

Tak jak przed wielu laty, gdy się w nim zatraciła. Oczy Sloana zawsze kojarzyły się jej z oszalamiającą, błękitną głębią.

- Jeszcze nie. Chcę, żebyś została. Chociaż na parę chwil. - Wiedział, że zachowuje się głupio, ale nie mógł nic na to poradzić. Potrzebował towarzystwa Caroline, nawet jeśli nie umiał rozsądnie wyjaśnić, dlaczego. - Do licha, Caro, dzisiaj w szpitalu tylko dzięki tobie zdołałem wziąć się w garść.

Ucieszyła się z jego wdzięczności, ale uznała, że na nią nie zasługuje.

- Spędziłam z tobą niewiele czasu - przypomniała mu.

- Wystarczyło, że tam byłeś. Dzięki temu wszystko wyglądało inaczej.

Czuła, że serce bije jej szybciej, napędzane bezpodstawną, lecz słodką nadzieją. Caroline nie potrafiła z nią walczyć.

- Naprawdę? - spytała.

- Oczywiście. Jesteś kimś, na kogo mogę liczyć. Kogo znam. - Miał sobie za złe, że wysławia się tak niezręcznie. Ale z niego nauczyciel angielskiego! Bezradnie rozłożył ręce. - Nie znoszę szpitali.

Zastanawiała się, czy Sloan właśnie przyznał się do słabości. Byłaby to dość typowa reakcja.

- Moja matka też ich nie lubi.

Prawie jej nie usłyszał. Myślami cofnął się do wypadku. Znow przeżywał strach, z przerażeniem patrzył na swojego syna, który spada na podłogę.

- Gdy zobaczyłem Joeya lecącego głową w dół... Położyła dłoń na jego ręce.

- Daj spokój. Chłopcu prawie nic się nie stało. Nie dręcz się pytaniem „co by było, gdyby”. To zbędna tortura. - Wiedziała o tym z własnego

doświadczenia. Patrzyła na Sloana i myślała o wielu popołudniach, które spędziła tylko ze swoimi marzeniami. A raczej mrzonkami, ponieważ nie istniała najmniejsza szansa na ich spełnienie. - Nigdy nie prowadzi do niczego dobrego.

- Masz rację. - Nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wsunął Caroline opadający kosmyk włosów za ucho. - Ale większość ludzi tak spekuluje.

Leciutko mrowiło ją w miejscu, które dotknęły jego palce. Czy on nie widzi, co z nią wyprawia? Czy rzeczywiście aż tak brakowało mu spostrzegawczości? Nie, pomyślała, on nie jest ślepy. Po prostu pozostała dla niego tą samą osobą, którą była kiedyś. Przyjaciółką Julie, a więc siłą rzeczy również i jego.

Jakimś cudem odzyskała mowę.

- Owszem, to prawda - przyznała.

Coś w jej głosie kazało Sloanowi spojrzeć na nią uważniej. Przez moment w milczeniu studiował jej twarz, a w jego umyśle gromadziło się coraz więcej pytań. Tłoczyły się tam wraz z niejasnymi wątpliwościami i rozpalającymi emocjami.

- Caroline, dlaczego nie wyszłaś za mąż?

Nigdy by nie przypuszczała, że Sloan spyta ją o coś takiego. Spróbowała zbyć go żartem.

- Jakbym słyszała swoją matkę.

- Powiedz, dlaczego - nalegał. Nie rozumiał, czemu Caroline nadal jest panną. Miał ochotę to wyjaśnić. - Cudownie radzisz sobie z dziećmi, masz fantastyczne poczucie humoru...

Zadrzała. Już kiedyś przerabiała poruszony przez Sloana temat.

- ...i wspaniałą osobowość - dokończyła usłużnie. - Te wszystkie zalety w jednej kobiecie to dla niej jak wyrok śmierci. - Nadal czuła na policzku muśnięcie jego palców. - Rzeczywiście dopytujesz się jak moja matka.

- Może dlatego, że zależy nam na twoim szczęściu. - Miał grono przyjaciół, ale nikt z nich nie liczył się dla niego tak bardzo jak Caroline. Tylko ona emanowała niezwykłym ciepłem i serdecznością. - Nie tylko masz wspaniałą osobowość. Na dodatek jesteś ładna.

Uznała, że ten komplement należy potraktować lekko.

- Mówisz to już drugi raz. Przestań mi to powtarzać, bo w końcu ci uwierzę.

- Powinnaś, ponieważ to prawda. - Czy ona codziennie rano nie widzi tego w lustrze? Jej rysy nie były takie oryginalne jak rysy Julie, lecz bardziej klasyczne, subtelne. Zaczynały działać na mężczyznę, gdy wcale się tego nie spodziewał. Ten nieoczekiwany wniosek zaskoczył go.

Caroline wzruszyła ramionami, trochę zakłopotana.

- Wracając do twojego pytania... Chyba po prostu nie miałam czasu, żeby szukać swojej drugiej połowy. - Uciekła spojrzeniem w bok. - A może nigdy nie spotkałam odpowiedniej osoby?

W ciągu dwunastu lat musiała mieć do czynienia z wieloma mężczyznami. I żaden z nich nie nadawał się dla niej na męża? Sloanowi było trudno w to uwierzyć.

- Nikogo? Przez tyle czasu?

- Cóż, poznałam kogoś - przyznała, jak gdyby pod wpływem wewnętrznego przymusu. - Ale on już był zajęty. - Podniosła się z kanapy. Wiedziała, że jeśli teraz nie wyjdzie, to powie coś, czego jutro rano będzie żałować. - Dzięki za pyszną czekoladę, ale robi się późno, więc lepiej już pójść. Potrzebujesz wypoczynku. - Wyprostowała się, gotowa do natychmiastowego odwrotu. Uznała, że stała się zbyt wylewna. - Obecnie mieszkam u moich rodziców. Znasz numer ich telefonu. Gdyby w nocy Joey na coś narzekał, dzwoń do mnie bez wahania. Zaraz przyjadę.

Cała Caroline, pomyślał. Zawsze chętna do pomocy.

- Caroline wybawicielka. - Również wstał.

- Coś w tym stylu. - Kolana jej drżały, gdy szła do drzwi. Oto efekty szczerych wyznań, pomyślała.

- Zawsze twierdziłem, że nie ma drugiej takiej jak ty - zapewnił, idąc za nią.

Owszem, pamiętała te słowa, ale ich efekt cieszył ją w ograniczonym stopniu, ponieważ Sloan cenił w niej tylko dobrą przyjaciółkę.

- Święta racja - zgodziła się kpiąco. - Jestem jedyna w swoim rodzaju.

Nie dał się zwieść temu jej uśmieškowi.

- Nie deprecjonuj sama siebie, Caroline.

Pragnęła, żeby wreszcie przestał, zanim ona się rozklei i zacznie pleść głupstwa.

- Wcale tego nie robię - zaprzeczyła. - Przeciwnie, zgadzam się z tobą. Nie zauważyłeś?

Ujął klamkę, ale nie otworzył drzwi. Jeszcze nie mógł pozwolić Caroline odejść. Najpierw musiał uczciwie coś wyjaśnić. Przecież ich przyjaźń wspierała się właśnie na absolutnej uczciwości.

- Zauważyłem, że w naszej znajomości pojawiło się coś nowego. - Zawahał się. - Chodzi mi o tamten wieczór...

Nie zniosłaby jego powtórnych przeprosin. Nie chciała, aby jedną z najcudowniejszych chwil jej życia znów nazwał błędem. Dlatego szybko położyła palec na wargach Sloana.

- Nie musisz nic dodawać. To był czysty przypadek. Gdybym odwróciła głowę w drugą stronę, miałbyś usta pełne moich włosów. - Opuściła rękę. - Los spletał nam figła.

Dostrzegł w jej oczach coś, czego nie rozumiał. Coś bardzo zbliżonego do owego zastanawiającego uczucia, którego sam doświadczał.

- Joey sądzi, że twoje włosy ślicznie pachną. - Gram na zwłokę, pomyślał.

Caroline przyjęła z ulgą ten krok w bezpieczną stronę.

- Joey to wspaniały dzieciak. - Uśmiechnęła się ciepło.

- Fakt. I bardzo spostrzegawczy. Pachniesz uroczo. - Byłoby tchórzostwem teraz się wycofać, toteż Sloan brnął dalej. - Caroline, nie jestem pewien, co obecnie czuję. Czy w ogóle cokolwiek czuję. Może tylko tak dziwnie reaguję, ale...

Przygwoździł mnie, pomyślała. Zrobił to tym jednym, króciutkim słówkiem i tym swoim spojrzeniem. Całkowicie ją obezwładnił.

- Ale? - powtórzyła pytająco, choć przypuszczała, że pożałuje swojej ciekawości.

- Co byś sobie pomyślała, gdybym teraz cię pocałował? - On tego chciał, choćby tylko po to, aby sobie udowodnić, że podniecający dreszcz, który tamtego wieczora połaskotał go po kręgosłupie, był tylko wytworem nazbyt bujnej wyobraźni. Sloan mógłby przysiąc, że w środku jest martwy, a jedyne uczucie, na jakie go stać, to miłość do synów i matki.

Ale to, co odezwało się wtedy, gdy stał obok Caroline, nazwało go kłamcą. Musiał udowodnić, że się myliło.

Postanowiła ułatwić mu ten eksperyment. Dla niej i tak już było za późno. Jedna przelotna pieszczota nie mogła niczego zmienić.

- „Pocałunek to tylko pocałunek”, prawda? - Chyba że całuje cię ktoś, kogo kochasz, tak długo, jak daleko sięgasz pamięcią, dodała w myśli.

- Prawda - przyznał, nie wiadomo dlaczego nagle nieco zakłopotany. - Z czego to cytat?

- Przewodnia melodia z filmu „Casablanca”. Wstydz się, Sloan. Wszyscy ją znają.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo jego wargi dotknęły jej ust.

ROZDZIAŁ 6

Sloan zamierzał tylko przeprowadzić doświadczenie.

Chciał zanegować istnienie emocji, które - jak w głębi duszy sądził - mogły niedawno się pojawić. Pocałunek miał obalić to niedorzeczne przypuszczenie. Z pewnością wystarczyło tylko tak jak poprzednio musnąć ustami wargi Caroline, a tym samym położyć kres niemądrym wątpliwościom.

Właśnie taki był początek.

Ale po nim nastąpiło coś nieoczekiwanego.

Negacja okazała się niemożliwa.

Historia się powtórzyła.

Dziwne uczucie powróciło - tym razem silniejsze, ponieważ stymulowane oczekiwaniem. Wiedział, że nadchodzi, gdy zbliżał usta do jej warg. Pojawiło się to samo pragnienie, to samo napięcie.

Sloan odsunął się i spojrzał na Caroline. Bezskutecznie usiłował choć trochę uporządkować kłębiące się w głowie myśli, pełen obaw, że to co czuje, okaże się prawdą. Aby w to uwierzyć, musiał zdobyć więcej dowodów.

Ale nie z tego powodu zrobił następny ruch. Wykonał go pod wpływem impulsu, nie logiki. Po prostu instynkt nagle przejął stery samolotu, którego nikt nie pilotował.

Jak pogrążony we śnie lunatyk, Sloan ujął w dłonie twarz Caroline. Miał wrażenie, że w ten sposób zatrzymał czas. Rozkoszował się tą chwilą, oszołomiony zdumiewającym odkryciem.

Caroline?

Koleżanka z lat szkolnych? Sloan nie potrafił tego pojąć. Jak mógł czuć coś takiego - cokolwiek to było - w stosunku do Caroline?

A jednak to czuł.

Przyciągnął ją do siebie bez ostrzeżenia, chyba nawet gwałtownie, ale była to jedyna możliwa reakcja na to, co się z nim działo. Nagle ujawniły się emocje, z których do tej pory nie zdawał sobie sprawy. Przez chwilę kotłowały się w nim bezładnie, aż eksplodowały z ogromną siłą. Przypominały więźnia upajającego się niespodziewaną wolnością po zbyt długim pobycie w ciasnej celi.

Sloan całym ciałem odczuł przypływ nieopisanego pragnienia, pożądania i tęsknoty. A przecież jeszcze minutę temu mógłby przysiąc, że już nie jest w stanie doświadczać tego wszystkiego.

Najwyraźniej się mylił.

Caroline kręciło się w głowie i huczało w uszach. Zniknęły podłoga i sufit. Wszelka gra stała się niemożliwa.

Oczywiście istniało tysiąc powodów, aby nadal udawać i zaprzeczać. Kilka natychmiast o sobie przypominało. Żaden nie okazał się wystarczający. Żaden nie zdołał zablokować uczuć, które żyły w niej przez tyle lat, skrzętnie skrywane.

Na ten pocałunek czekała przez całe życie.

Rzeczywistość nie zbladła w obliczu tego, o czym tak długo śniła. Przeciwnie, chyba przerosła najśmielsze oczekiwania.

Serce biło jej tak mocno, jak gdyby miało wyskoczyć z piersi. Całym ciałem przywarła do Sloana i pograżyła się w niewysłowionej słodczy, którą raczyły ofiarować życzliwe niebiosy.

Wspięła się na palce, spragniona tej intymnej bliskości. Czowała muśnięcie oddechu Sloana, kształt i miękkość jego ust, podniecający zarys męskiej sylwetki.

Chciała więcej.

Tak bardzo starała się sobie wmówić, że wcale tego nie pragnie, ale to było jedno wielkie kłamstwo. Oszukiwała samą siebie. Pragnęła Sloana. Każdą z miliardów komórek swojego ciała.

Pocałunek pogłębił się, pociągnął ją za sobą. Poszła za nim z ochotą.

Czuła się na przemian słaba i silna, bezwładna i pełna energii. Pewnie umiałaby wyrecytować od końca chiński alfabet, gdyby ktoś ją o to poprosił. W końcu zdarzyło się coś nieprawdopodobnego, coś, co dodało jej skrzydeł. Nie istniało nic, czego nie potrafiłaby zrobić, pokonać lub zdobyć.

Pragnienie, które nagle ujawniło się w całej pełni, owładnęło Sloanem tak bardzo, że nie był w stanie oddychać. Na pierwszy plan wysunęło się pożądanie domagające się natychmiastowego zaspokojenia.

Chciał wziąć Caroline tu i teraz, a potem kochać się z nią przez całą noc. Chciał wreszcie pozbyć się tej przytłaczającej tęsknoty, która go tak zdumiała, wywołując ból w lędźwiach.

Czuł drzenie własnych rąk, gdy przesuwał nimi wzdłuż ciała Caroline, gdy tonął w jej zapachu, delektował się jej smakiem i zachwycił się jej kształtami. W głowie mu szumiało, gdy zaczął rozpinać pierwszy guzik jedwabnej bluzki.

- Tato?

Dziecięcy głosik, senny i niepewny, zrujnował nastrój równie skutecznie jak wybuch potężnej bomby. Caroline i Sloan odskoczyli od siebie, pchnięci w przeciwne strony siłą, której źródłem była obecność chłopca.

Caroline zamrugła oczami, żeby oprzytomnieć i choć trochę zapanować nad chaosem w swoim umyśle. W pobliżu stał Danny, patrzył na nich uważnie.

Ile zdążył zobaczyć? O czym właśnie myślał?

Stłamsiła ogarniające ją zakłopotanie, podeszła do dziecka.

- Czy z Joeyem coś nie tak? - zapytała.

Danny potarł oczy zaciśniętą pięścią. Raziło go ostre światło. W sypialni paliła się tylko nocna lampka, a w holu tata zawsze zostawiał zapalony mały kinkiet, żeby odegnać różne potwory.

- Nie, przyszedłem tylko powiedzieć, że on już śpi. Pomyślałem, że będziesz chciał o tym wiedzieć.

Sloan z trudem skupił się na tyle, żeby zrozumieć słowa syna. Pamiętał, jak kiedyś, będąc chyba niewiele starszy niż obecnie Danny, wdał się w bójkę. Dostał cios w żołądek i padł na ziemię, nie mogąc złapać tchu. Właśnie teraz czuł się prawie tak samo jak wtedy.

Rozpamiętywanie przygód z dzieciństwa nie miało sensu. Należało bowiem jak najszybciej ratować sytuację. Sloan położył dłoń na ramieniu Danny'ego i lekko pchnął syna w stronę schodów.

- Dzięki, dobrze, że mnie o tym poinformowałeś. Świetnie się spisałeś. - Słowa padły zbyt szybko, w rytmie staccato. Sloan chciał, aby Danny natychmiast poszedł spać. Przy odrobinie szczęścia, rano uzna, że scenka, której był świadkiem, po prostu mu się przyśniła. - Wracaj do łóżka. Jutro idziesz do szkoły.

Danny zatrzymał się i z niepewną miną podniósł wzrok na ojca.

- Tato, jutro sobota!

Poczucie winy tylko zwiększyło zniecierpliwienie Sloana. Danny nie powinien tego zauważyć lub raczej ja nie powinienem tak się zachować, poprawił się w myślach.

- Bez względu na to trzeba wstać. Maszeruj na górę - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Danny posłał ojcu urażone spojrzenie i w milczeniu wykonał polecenie.

Caroline poczekała, aż chłopiec zniknie z pola widzenia i zasięgu słuchu. Następnie stanęła naprzeciw Sloana, aby musiał na nią popatrzeć. Wiedziała, że jego opryskliwość wynikała z poczucia winy, ale to nie było usprawiedliwieniem.

- Nie wolno ci wyładowywać się na Danny'm.

- Wcale tego nie robię.

Za dobrze go znała, żeby nie rozpoznać kłamstwa.

- Owszem, robisz.

Odwrócił się, ale Caroline nie zamierzała mu pozwolić, aby ją zignorował. Kochała go, ale już nie była tą samą dziewczyną co kiedyś. Życie dawno by ją zniszczyło, gdyby się nie zmieniła. Oparła dłonie na torsie Sloana, aby nie spróbował jej umknąć.

- Pocałowałeś mnie i teraz sobie to wyrzucasz. - Przyjrzała się jego twarzy. Z przykrością stwierdziła, że się nie myli. - Nie ma powodów, żebyś czuł się winny.

Targała nim frustracja, pożądanie i udręka. Każda z tych emocji ciągnęła go w swoją stronę, aż całkiem się zagubił.

- Sam nie wiem, co czuję - warknął zirytowany i niemal natychmiast pożałował tych słów. Caroline ma rację - szukanie kozła ofiarnego jest bez sensu. Jeśli ktoś tu popełnił błąd, to tylko on sam. Odetchnął głęboko, przejechał ręką po włosach.

Nagle powiedział coś, o czym nigdy przedtem nie chciał nawet myśleć:

- Wydaje mi się, że znalazłem się w labiryncie. Błąkam się po nim od dnia, w którym ona mnie opuściła. - Drugie zdanie po prostu samo się wymknęło. Sloan zaklął w duchu, zły na siebie. Caroline to ostatnia osoba na świecie, którą chciałby zranić. A właśnie ją wykorzystał. - Proszę, nie myśl, że...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Przeżyła swoją chwilę ekstazy i wiedziała, że ta chwila się nie powtórzy. Dlatego była zbyt cenna, aby Sloan ją zniszczył, powodowany wyrzutami sumienia.

- Ja nic nie myślę. - Dostrzegła w jego oczach wątpliwości i boleść. Miłość do Julie nadal go prześladowała, zamiast przynieść ukojenie. Tylko to drugie mogło stać się źródłem wewnętrznego spokoju. - A Julie wcale cię nie opuściła - powiedziała z naciskiem. - Opuszczając kogoś, dokonujemy wyboru. Julie go nie miała. Ona umarła. - Patrzyła Sloanowi prosto w oczy. Zależało jej na tym, aby dobrze pojął jej intencje. - Natomiast ty żyjesz.

Od śmierci Julie nigdy o niej nie rozmawiał. Na drobne wzmianki o żonie pozwalał sobie tylko wtedy, gdy go do tego zmuszono. Dzięki temu

mechanizmowi obronnemu Sloan jako tako funkcjonował. Uciekał przed cierpieniem, aby nie złapało go w swoje szpony i nie zniszczyło. Nie chciał teraz wspominać Julie, nawet z Caroline. To byłoby bez sensu.

Caroline najwyraźniej oczekiwała odpowiedzi, więc musiał znaleźć jakieś słowa.

- Wydawało mi się, że ja także umarłem. - Wepchnął ręce do kieszeni, zirytowany, że o tym mówi. - Może naprawdę powinienem umrzeć.

- Bardzo mądrze - parsknęła rozsierzdzona. Czowała, że mogłaby go uderzyć. - Zostawiłbyś dwie sieroty, żeby tylko przestać cierpieć? - Machnęła ręką w stronę schodów, aby podkreślić znaczenie swojego pytania. Sloan milczał, a ona z pewnym trudem opanowała wzburzenie. Serce jej krwawiło na myśl o bólu, którego Sloan musiał doświadczać. Ale on potrzebował nie współczucia, tylko siły. Siły, dzięki której zdołałby ostatecznie pogodzić się z myślą, że Julie nie żyje. - Dobrze wiesz, że mówisz bzdury. Pomyśl o cierpieniu twoich synów. Danny i Joey stracili matkę. Ja straciłam wspaniałą, najlepszą przyjaciółkę. - Chwyliła go za rękę. Rozpaczliwie pragnęła, aby zrozumiał, że nie jest w swoim bólu odosobniony. - Julie zjawiała się w naszym życiu z jakiegoś ważnego powodu. Zaprzeczysz temu, jeśli popadniesz w marazm, jeśli zatrzymasz się w miejscu, przestaniesz się rozwijać. Przecież masz chłopców.

Oczy mu pociemniały. Nie zamierzał jej pozwolić, aby używała jego synów w charakterze głównego argumentu kazania, które mu prawiała. Skąd mogła wiedzieć, jak to jest, gdy umiera ukochana osoba?

- Żyję tylko dla Danny'ego i Joeya.

- To dobrze. - Zauważyła, że jego spojrzenie staje się lodowate.

Przygryzła wargi, zdecydowana potraktować lekko to, co się stało, chociaż nie wątpiła, że będzie to ją dużo kosztowało. Dobro Sloana było warte każdej ceny.

- Jak już wspomniałam, pocałunek to tylko pocałunek. Może po prostu musiałeś się przekonać, czy nadal potrafisz odpowiednio ułożyć wargi. -

Zarzuciła na ramię pasek torebki i podeszła do drzwi. - Obiecuję, że jutro nie zjawię się tutaj z księdzem.

Ona chyba ma rację, uznał. Po prostu zareagował zbyt impulsywnie.

- Wybacz, że podniosłem głos.

Zbyła jego przeprosiny wzruszeniem ramion.

- Nie gniewam się.

Poczuł ulgę, która stopniowo przeniknęła całe jego ciało.

- Wiesz, że jesteś fantastyczną dziewczyną?

Jej usta wygięły się w ironicznym uśmiechu. Sloan dojdzie do siebie, pomyślała. W swoim czasie.

- Oczywiście. Właśnie to jest napisane na mojej wizytówce. „Caroline Masters, pediatra i fantastyczna dziewczyna”. - Poklepała go po ramieniu. - Idź spać, Sloan. Wyglądasz okropnie, a rano Joey będzie cię potrzebował.

Skinął głową i otworzył jej drzwi.

- Wyobrażam sobie. - Patrzył za nią, gdy szła do samochodu. - Caroline?

Zatrzymała się.

- Dzięki. - Wiedział, że to o wiele za mało, ale Caroline na pewno go zrozumie. Tak jak zawsze.

Zastanawiała się, za co jest najbardziej wdzięczny - za pomoc w szpitalu czy za to, że nie robiła problemu z tego, co wydarzyło się tamtego wieczoru i dziś.

- Nie ma za co. Rano wpadnę, żeby sprawdzić, jak miewa się Joey.

Pogratulowała sobie, bo zdążyła wsiaść do auta, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nagle ogarnęło ją straszliwe znużenie, więc oparła głowę na kierownicy. Dopiero po pewnym czasie zdołała na tyle wziąć się w garść, aby móc zapalić silnik i odjechać.

Tej nocy Sloan bardzo długo nie mógł zasnąć. Przypuszczał, że tak będzie. Leżał w ciemności, osaczony emocjami, które atakowały go z każdej strony.

Co go dzisiaj napadło? Absolutnie nie powinien całować Caroline w ten sposób. Była starą, dobrą przyjaciółką i potrzebował jej właśnie w tej roli. Nie chciał ryzykować utraty przyjaźni dla jakiegoś dziwnego uczucia, którego nie rozumiał. Po szesnastu latach znajomości byłoby szczytem głupoty pozwolić hormonom wejść w paradę. Zanadto zależało mu na Caroline, aby do tego dopuścić.

Ale teraz, w mroku nocy, ich wzajemne fizyczne przyciąganie wydawało się silne jak fatum, przed którym nie ma ucieczki.

Gdy ostatni raz przed zaśnięciem spojrzął na zegarek, była druga dziesięć.

Sloanowi zazwyczaj nic się nie śniło. Budził się rano jak ktoś wyłaniający się z pustki. Opuszczał jedną pustkę, aby zanurzyć się w drugiej. Tej nocy jego podświadomość wypełniły senne majaki.

Przypominały migotliwe obrazki z kalejdoskopu.

Znów był uczniem. Obok niego stała Julie - taka piękna i pełna życia, że bez wahania uznał jej śmierć za wierutne kłamstwo.

Po chwili coś się zmieniło. Oboje znajdowali się w szkole, lecz Julie pytała, gdzie są chłopcy. Usiłował ich znaleźć. Wtedy podeszła Caroline i zatrzymała się obok Julie. Spojrzął na nie. Nagle ich twarze - tak bardzo inne - zaczęły drgać jak w jakimś konwulsyjnym transie. Falowały, stopniowo zachodziły na siebie, aż w końcu oblicze Julie znikło.

Pozostała tylko Caroline.

Powoli zbliżała się do niego. Prowadziła obu chłopców.

Caroline.

Obudził się raptownie, zlany potem, choć w sypialni było chłodno. Czuł, jak mocno bije mu serce.

Nagle usłyszał dzwonek telefonu. Kto, u diabła, dzwonił w środku nocy?

Czyżby matka rozbiła w Vegas bank i chciała podzielić się radosną nowiną o wygranej?

Sloan odetchnął głęboko i dosadnie określił stan swoich nerwów. Po ciemku wymacał słuchawkę, a drugą ręką zapalił lampę.

- Halo? - Nikt się nie odezwał. - Halo? - powtórzył. Wydało mu się, że słyszy czyjś oddech. Może stało się coś złego, pomyślał. Przypomniał sobie swój sen. - Caroline, czy to ty?

Połączenie nagle zostało przerwane. Ostry trzask jeszcze przez chwilę brzmiał w uchu Sloana.

Idiotyczna pora na telefoniczną pomyłkę, pomyślał ze złością, odkładając słuchawkę, ale nie trafił na widełki.

Klnąc pod nosem, ponowił próbę - z dobrym skutkiem. Przypuszczał, że już nie zdoła zasnąć.

Było jednak za wcześnie, żeby wstać. Wyciągnął rękę, chcąc zgasić lampę i zobaczył stojącą w drzwiach małą figurkę. Na tle blado oświetlonego korytarza sprawiała wrażenie jakby zagubionej.

Najpierw pomyślał, że to Joey, ale nie dostrzegł gipsu. Usiadł, wyteżając wzrok.

- Danny? - W odpowiedzi chłopiec kiwnął głową. - Ciebie też obudził telefon? - Tym razem chłopiec zaprzeczył.

Sloan już miał zapytać, o co wobec tego chodzi, lecz nagle doznał olśnienia. Mimo swojej czupurności Danny to wrażliwe dziecko, a on, jego ojciec, zaledwie kilka godzin temu potraktował go opryskliwie. Niewątpliwie zranił tym jego uczucia.

Zły, że postąpił jak łajdak, odwinął połowę lekkiej kołdry. Danny'emu wystarczyło to symboliczne zaproszenie. Szybko przydreptał do ojca i Wgramolił się na łóżko. Sloan okrył syna kołdrą, a Danny wtulił się w poduszkę.

- Przeraził cię zły sen?

Danny odwrócił głowę. W jego oczach malował się niepokój.

- Nie, usłyszałem twoje jęki, tato. Brzmiały okropnie. Sloan usiłował sobie wyobrazić, jak to jest, gdy dorosły, od którego dziecko oczekuje wsparcia, okazuje strach. Danny rzeczywiście mógł poczuć się niepewnie.

- Przepraszam, kolego - powiedział czule. - Za wszystko - dodał po chwili.

Danny zrozumiał, wybaczył i natychmiast zapomniał o doznanej przykrości. Na jego buzi pojawił się wyraz współczucia.

- A tobie śniły się straszne rzeczy?

Nie nazwałby tego koszmarem, więc co to było? Zapowiedź? Projekcja czegoś, co kłębiło się w jego podświadomości? A może rezultat kumulacji zbyt dużego napięcia i stresów, które domagały się rozładowania? Danny nie dorósł jeszcze do filozoficznej dyskusji, toteż Sloan udzielił mu najprostszej odpowiedzi.

- Coś w tym stylu.

- Jakieś potwory? - Danny usiadł, wpatrzony w twarz taty.

Chłopiec uwielbiał oglądać w telewizji horrory, co zawsze pociągało za sobą identyczne skutki. Później przez całe tygodnie nerwowo zerkał w nocy na drzwi sypialni i kulił się przerażony, ilekroć rozległ się trudny do zidentyfikowania dźwięk. Obawy Danny'ego sięgały zenitu w środku zimy, gdy często padał deszcz.

- Nic szczególnie ciekawego. - Sloan nie miał ochoty zmyślać żadnych historyjek, a prawda była zbyt zagadkowa, aby o niej mówić. Sloan sam jeszcze nie zdołał jej zgłębić. - Sądziłem, że dziś w nocy pilnujesz Joeya.

Danny położył się i starannie wygładził kołdrę.

- Joey śpi jak suseł. - Z zadowoleniem użył określenia często stosowanego przez ojca.

- A ty chciałbyś spać tutaj? - Sloan uśmiechnął się, bo zadał zdecydowanie retoryczne pytanie.

W spojrzeniu Danny'ego błysnęła nadzieja.

- Mógłbym zostać na trochę? - Wiedział, że do rana już blisko, ale na dworze wciąż panowały ciemności, a obecność taty gwarantowała, że w pobliżu nie pojawią się żadne upiory.

- Dobrze. - Sloan położył się na boku. - Dobranoc, chłopie.

- Dobranoc. - Przez krótką chwilę w pokoju panowała cisza. - Tato?

Może jednak należało wstać, pomyślał Sloan. Nadzieja na sen zdawała się oddalać.

- Słucham.

- Czy ty w salonie całowałaś Caroline?

W pierwszym odruchu Sloan chciał zaprzeczyć, ale to rzeczywiście był pocałunek. Nie dało się nazwać tego inaczej, a synów uczył, że nie wolno kłamać. Dzięki temu mógł im ufać i oni o tym wiedzieli. Gdyby zaczął okłamywać Danny'ego i Joeya, chłopcy straciliby do niego zaufanie. W żadnym wypadku nie zamierzał dopuścić do takiej sytuacji. Dlatego zawsze mówił im prawdę, nawet jeśli była dla niego kłopotliwa.

- Tak.

Danny wlepił wzrok w plecy ojca.

- Dlaczego? Lubisz ją? Sloan odwrócił się do syna.

- Jasne, że lubię Caroline. - Nie chciał stwarzać wrażenia, że chodzi o coś nadzwyczajnego. Zresztą wcale tak nie było. Chyba nie? - Podobnie jak ty.

- Uhm. - Danny uśmiechnął się, przekrzywił głowę i przez chwilę się zastanawiał. - Czy ja mogę pocałować ją tak samo jak ty?

Czy Danny miał prawo podkochać się w Caroline? Sloan nie zamierzał mu tego zabraniać. Tylko tego brakowało, aby Danny uznał, że obaj konkurują o jej względy.

- Jesteś za niski.

Danny zaakceptował tę odpowiedź, ale się nie zniechęcił.

- A gdy podrosnę?

On naprawdę traktuje tę sprawę poważnie, pomyślał Sloan. Oparł się na łokciu i uważnie popatrzył na syna.

- Od kiedy podobają ci się dziewczyny?

Danny zaczerwienił się. Wiedział, że okazywanie sympatii koleżankom to dla chłopaka kompromitacja. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że lubi jeść wątróbkę i brukselkę. Chociaż ostatnio dziewczynki nie wydawały mu się takie okropne jak dawniej. Zwłaszcza Cindy Tyler była bardziej miła niż kiedyś. Miała śliczny uśmiech, a gdy podczas przerwy biegała po placu zabaw, jej długie włosy tak ładnie falowały. Ale Danny za żadne skarby świata by nie przyznał, że jest tym zachwycony.

- Wcale mi się nie podobają - odparł z naciskiem. Tacie najwyraźniej się podobały. Pocałował Caroline. Danny dobrze się im przyjrzał. - Caroline to nie dziewczyna. Ona jest inna niż wszystkie. - Ojciec nie odpowiedział, więc Danny także oparł się na łokciu i spojrzał mu w oczy. - Prawda?

- Prawda. - Sloan oznajmił to z całym przekonaniem. Jednocześnie zerknął na budzik stojący na nocnej szafce obok łóżka. Czwarta. O dziewiątej musiał być w szkole na kolejnej próbie. Zostało więc najwyżej dwie godziny na sen. Sloan sformułował obowiązujące syna zasady. - Zamknij oczy i usta, po czym spróbuj szybko zasnąć albo pójdiesz do swojej sypialni.

Chłopiec posłusznie wykonał polecenie. Położył się na wznak i zacisnął powieki.

- Już są zamknięte - zakomunikował. Sloan parsknął śmiechem i przytulił syna.

Nigdy więcej żadnych potknięć, obiecał sobie w myśli.

- Jak czuje się mój ulubiony pacjent? - spytała Caroline.

Gdy nazajutrz rano zadzwoniła do drzwi, otworzył je nie Sloan, lecz Danny. Zaprosił ją do środka i zawołał brata. Caroline zastanawiała się, czy od dziś jej kontakty ze Sloanem będą nacechowane niezręcznością. Bardzo pragnęła, aby tak się nie stało. Zjawiła się tutaj ze względu na Joeya, a nie

Sloana i powinna o tym pamiętać. Podeszła do kanapy i położyła na niej pakunek, który przyniosła.

- Boli, ale wytrzymam. Sama mówiłaś, że ma prawo trochę rwać. - Joey co chwila spoglądał na owinięte w papier pudełko. - Czy to dla mnie?

- Możliwe.

- Na pewno dla mnie! - zawołał podekscytowany. - Co to takiego?

- Rozpakuj i sam zobacz.

Nie musiała tego powtarzać. Przytrzymał pudło zagipsowaną ręką, a drugą rozdarł papier.

- Pomogę ci - zaproponował Danny.

- Dam sobie radę. - Joey nie chciał, aby traktowano go jak malucha. Był zbyt niezależny, żeby na to pozwolić.

Nieodrodny syn swojego ojca, pomyślała Caroline. Nie skorzysta z cudzej pomocy, nawet jeśli jej potrzebuje. Joey rzucił papier i zaczął oglądać podarunek. Była to gra planszowa.

- Ponieważ przez pewien czas nie będziesz mógł grać za pomocą klawiatury komputera, więc może spodoba ci się coś bardziej staroświeckiego.

- Staroświeckiego? - powtórzył, ze zmarszczonymi brwiami studiując obrazek na kartonowym opakowaniu.

- Będziesz musiał ręcznie przesuwac pionki. - Żadnych dzwonek, gwizdów ani smoków wyskakujących z cyberprzestrzeni. Wyłącznie własna wyobraźnia i garść kolorowych figurek.

Joey otworzył pudło i zajrzał do środka. Na złożonej planszy leżały cztery plastikowe woreczki z pionkami. Każdy komplet był w innym kolorze.

- Grałaś w to kiedyś?

- Mnóstwo razy, gdy byłam w twoim wieku.

Chłopcu to w zupełności wystarczyło. Podniósł roziskrzony wzrok na Caroline.

- Zagrasz ze mną?

Sloan, który wszedł do pokoju, przyglądał się im z pewnej odległości.

- Synku, Caroline nie ma czasu na zabawy z tobą.

Na dźwięk jego głosu serce zabiło jej niespokojnie. Tylko nie daj nic znać po sobie, ostrzegła samą siebie. Przecież postanowiłaś zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Instynktownie czuła, że tylko dzięki temu ich przyjaźń może przetrwać.

Odwróciła się z uśmiechem.

- Skąd wiesz, jak wygląda rozkład zajęć Caroline? - spytała żartobliwym tonem. - Tak się składa, że dziś rano mam czas - oznajmiła chłopcom. - Zaczynam dyżur dopiero za cztery godziny.

Sloan nie dysponował wolnym przedpołudniem.

- Niestety, musimy wyjść, gdy tylko obejrzysz Joeya. Jedziemy na próbę.

- Zabierasz ich ze sobą? - Po tym, co stało się wczoraj? - dodała w myśli.

Zrozumiał, co oznaczało zdziwienie w głosie Caroline, ale nie miał wyboru.

- Moja matka nadal uprawia hazard w Vegas, a ja nie zdołałem znaleźć żadnej opiekunki. - Przez cały ranek wydzwaniał do znajomych, ale wszyscy byli zajęci.

W jednej sekundzie podjęła decyzję.

- Właśnie zdobyłeś nianię.

- Ciebie? - Ponad jej głową zobaczył, jak rozjaśniają się buzie synów. Pozostawienie chłopców z Caroline byłoby idealnym rozwiązaniem, ale nie powinien wciąż tak jej wykorzystywać. Zwłaszcza nie po tym, co stało się wczoraj wieczorem.

- Nie mogę prosić cię o taką przysługę.

- Wcale mnie nie prosiłeś. Zgłosiłam się na ochotnika. Poza tym muszę im wyjaśnić zasady gry. - Posłała mu znaczące spojrzenie. - Ty prawdopodobnie nie pamiętasz tego na tyle dobrze, żeby ich nauczyć. Chętnie to zrobię, a ty idź popracować ze swoimi aktorami. Ja zajmę się mniej ambitnymi sprawami.

Wypchnęła go za drzwi i zamknęła je, zanim zdążył zaprotestować. Usłyszał jeszcze śmiech Caroline, której zaraz zawtórowali Joey i Danny.

Caroline potrafi przejąć dowodzenie, pomyślał, idąc do samochodu. Niewątpliwie bardzo się zmieniła od czasów szkolnych.

Uśmiechał się, gdy przekręcał kluczyk w stacyjce.

ROZDZIAŁ 7

Sloan z uśmiechem kiwał głową w takt muzyki wykonywanej przez szkolną orkiestrę. To co widział, było dobre. Naprawdę dobre. Szybko zrobił notatkę na temat kostiumów.

Po wczorajszych zmaganiach nie myślał o premierze z optymizmem, ale dzisiejsza próba mile go rozczarowała. Czyżby czasem zdarzały się cuda? Sloan nie uważał, żeby poprawa jakości aktorskich popisów uczniów była jego zasługą. Kazanie, które im palnął przed wypadkiem Joeya, na pewno przyczyniło się do tego tylko w niewielkim stopniu. Raczej wynikała ona z faktu, że uczniowie poprzez swoje zaangażowanie pragnęli wyrazić, jak bardzo przejęli się tym, co spotkało chłopca. Joeya i Danny'ego już od dawna traktowano jak maskotki zespołu teatralnego.

Chwile strachu zaowocowały przynajmniej czymś pozytywnym. Teraz, gdy Joey na własnej skórze przekonał się, jakie bywają konsekwencje braku ostrożności, może się zastanowi, zanim znowu zrobi coś ryzykownego.

Chociaż kto wie, pomyślał, podziwiając porywającą finałową piosenkę w wykonaniu Allison i pozostałych członków zespołu. Człowiek nie zawsze wyciąga ze swoich doświadczeń odpowiednie wnioski. Sam mógł służyć za przykład takiej postawy.

Wydawałoby się, że jako dorosły mężczyzna mający za sobą tragiczne przejścia i jednocześnie ojciec samotnie wychowujący synów, najpierw pomyśli, zanim zacznie całować kobietę.

Tymczasem...

No właśnie, co takiego brał pod uwagę? Intymny związek z Caroline? Przecież nie wchodziło to w rachubę. Sloan nie miał pojęcia, dlaczego coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy. Caroline uznałaby, że zwariował, gdyby tylko napomknął o ewentualnej randce.

Była przecież jego starą przyjaciółką, a także przyjaciółką Julie. Musiałby stracić rozum, żeby ryzykować utratę tej cennej przyjaźni.

A jednak...

Jednak byłoby lepiej, żeby bardziej interesował się tym, za co mu płacą, zanim uczniowskie przedstawienie znów zacznie się sypać. Znał rezultaty braku pozytywnego sprzężenia zwrotnego. Czy sam nie miał takich nauczycieli jak on? Belfrów, dzięki którym marzył tylko o tym, aby wreszcie zostawić za sobą szkołę i naukę? Typów w rodzaju staruszka Cottona?

Sloan omal nie zakończył kariery ucznia w wieku szesnastu lat. Do tej pory pamiętał swoje cierpienia, gdy Cotton szydził z każdej jego odpowiedzi na lekcjach angielskiego. Zarówno południowy akcent Cottona, jak i jego złośliwości doprowadzały Sloana do szału. W końcu uznał, że dłużej tego nie wytrzyma. Wtedy właśnie Caroline przekonała go, że nie powinien porzucać szkoły.

Sloan uśmiechnął się nieco melancholijnie. Caroline dosłownie zarzuciła go danymi statystycznymi, przykładami i opowieściami o uczniach, którzy nie zdali matury i w ten sposób przekreślili swoją szansę na udaną przyszłość. Poddał się presji i zgodził zaakceptować staruszka Cottona i amerykańską literaturę.

No i proszę - obecnie sam był nauczycielem angielskiego, a na dodatek uwielbiał ten zawód.

Przypomniął sobie leżący na biurku stos czekających na sprawdzenie klasówek. Cóż, nie każdy aspekt tej pracy uważał za przyjemny, ale na ogół dawała mu ona satysfakcję. Gdyby przed laty postąpił impulsywnie, jego życie zawodowe nie ułożyłoby się tak dobrze. Nikt nie potrafił go namówić do dalszej nauki - ani rodzice, ani nawet...

Celowo zmienił kierunek swoich myśli. Pojawiła się w nich Caroline. To ona wtedy cierpliwie z nim dyskutowała i przedstawiała niezliczone argumenty.

Gdyby nie Caroline...

Caroline. Zawsze ona.

Uśmiecha się do mnie, pomyślała Allison. Ten szczególny uśmiech jest przeznaczony tylko dla niej. Nie żałowała długich godzin poświęconych na ćwiczenia tekstu, który potrafiłaby recytować nawet przez sen, skoro dzięki tym wysiłkom widziała, jak czule Sloan Walters na nią patrzy.

Właśnie przebrzmiały ostatnie nuty piosenki i Allison poczuła, że jej serce rozkosznie drży z powodu tłumionego podniecenia. Musiała wymyślić jakiś sposób, aby znaleźć się sam na sam z panem Waltersem. Powinien wreszcie zauważyć, że ona różni się od pozostałych dziewcząt, że jest kobietą.

Wystarczająco dojrzałą.

Uśmiechnęła się do niego słodko, żałując, że on nie może czytać w myślach. Gdyby to umiał, wiedziałby, ile dla niej znaczy. Zrozumiałby, że włada nie tylko jej umysłem, lecz także całą resztą. Aby ją mieć, musiał tylko po nią sięgnąć.

Pan Walters. Nie, nie pan Walters, tylko Sloan. Po prostu Sloan. Nie można być zakochaną w mężczyźnie i nazywać go panem Waltersem. To nie brzmi odpowiednio. A ona kochała się w nim tak bardzo, że z trudem nad sobą panowała.

- Panie Walters?

Sloan zamrugał i powrócił do rzeczywistości. Mina Matta Prescottta świadczyła o tym, że nastolatek zwraca się do niego już kolejny raz. Sloan pochylił się do przodu i wsparł dłonie o znajdujący się przed nim fotel.

- Słucham?

- Co pan sądzi o finale? Był dobry czy mamy go powtórzyć? - Za plecami Matta rozległ się zbiorowy pomruk. Młodociani aktorzy najwyraźniej nie chcieli eksperymentować z wersją, którą uznali za najlepszą.

Sloan wstał i wyszedł z trzeciego rzędu.

- Dobry? - powtórzył z należyтым i autentycznym entuzjazmem w głosie.
- To za mało powiedziane. - Zatrzymał się w pobliżu sceny i obrzucił wzrokiem uczniów. Świetne dzieciaki, pomyślał. Lubi z nimi pracować, chociaż próby czasem trwały bardzo długo. - Było fantastycznie. Zagrajcie tak na premierze, a publiczność oszaleje z zachwytu.

Matt przejechał dłonią po gęstych, czarnych włosach.

- Naprawdę?

Allison spojrzała na kolegę wyniośle, zdegustowana jego niedowierzaniem. A kiedyś uważała, że durzy się w Matcie. Co za głupota! Teraz szturchnęła go w bok.

- Oczywiście. - Posłała Sloanowi najbardziej uroczy uśmiech i z wdziękiem zeszła ze sceny. - Przecież pan Walters właśnie powiedział, że mu się podobało. - Podeszła do nauczyciela - Znalazł pan kwiaty ode mnie? - spytała przyciszonym tonem.

- Tak, dziękuję. Joey bardzo się z nich ucieszył.

Popatrzył na swoich podopiecznych. Na odległość wyczuwał ich młodzieńczą energię. Wiedział, że w tej chwili marzą tylko o tym, aby wyrwać się stąd i poszaleć w sobotnie popołudnie. Bynajmniej nie miał im tego za złe. W ich wieku podchodził do życia podobnie.

- W porządku, jesteście wolni.

Allison splotła ręce za plecami i lekko huśtała się na palcach i piętach.

- Zastanawiam się, czy pan... - Wyprostowała się, ściągnęła łopatki i prowokująco wypięła klatkę piersiową. - Czy przypadkiem nie potrzebuje pan trochę pomocy w domu? Teraz, gdy Joey jest w gipsie, może...

Dostrzegł błysk w oku dziewczyny i trochę się zmieszał. Znał żywiołowość Allison i dlatego obsadził ją w roli energicznej Annie Oakley. Ostatnio wydawało mu się jednak, że sporo entuzjazmu uczennicy kierowało się w nieodpowiednią stronę.

- Dzięki za dobre chęci, Allison, lecz wszystko jest pod kontrolą. - Nagle coś mu przyszło do głowy. - Powiem ci, co mogłabyś zrobić.

- Tak? - Króciutkie słowo jak westchnienie spłynęło z jej pełnych, obrysowanych czerwoną konturówką warg.

Pochylił głowę i zaczął mówić prawie szeptem, aby nie słyszał nikt oprócz Allison. Pamiętając przykrości doznane na lekcjach ze staruszką Cottonem, nie chciał zranić niczyich uczuć.

- Byłoby wspaniale, gdybyś zdołała wsączyć trochę swojej energii w Matta. Jego Frank Butler jest niezły, ale przy tobie wypada zbyt blado. Poćwicz z nim.

Z zachwytem stwierdziła, że pan Walters traktuje ją jak swoją powiernicę. Ciepły oddech cudownie muskał jej policzek i rozgrzewał serce. Chętnie objęłaby Sloana za szyję, ale przecież nie byli sami. Za najmniejszą pieszczotę zapłaciłby utratą pracy. Allison zdawała sobie z tego sprawę, lecz i tak pragnęła go dotknąć chociaż przelotnie.

Z trudem zapanowała nad sobą i przez ramię zerknęła na Matta. Dopiero teraz w pełni zrozumiała sens słów nauczyciela. Prosił, żeby popracowała z Mattem, a to wymagało czasu. Wolałaby spędzić go ze Sloanem. Albo przynajmniej o Sloana pomarzyć. Skrzywiła się, niezadowolona z obrotu sprawy.

- Spróbuję - odparła bez przekonania.

- W czym rzecz? Myślałem, że ty i Matt jesteście parą.

- Czyżby coś mu się pomyliło?

- Jesteśmy... eee... to znaczy byliśmy. - Zamierzała zerwać z Mattem, gdy zdecyduje, co dokładnie mu powiedzieć. - Ale...

- Znow spjrzała na niego uwodzicielsko błękitnymi oczami. Sloan nigdy w życiu nie widział bardziej wystudiowanego trzepotania rzęsami. - To jeszcze taki dzieciak, panie Walters.

- On jest dzieciakiem - przypomniał, siłą woli powstrzymując śmiech. Allison najwyraźniej uważała się za znudzoną światem Faye Dunaway.

Dziewczyna uśmiechnęła się triumfująco. Ona i Sloan myśleli podobnie.

- Właśnie. A ja lubię... mężczyzn bardziej dojrzałych. - Przysunęła się jeszcze trochę, ale nie tak blisko, jak by chciała. Znajdowali się na terenie szkoły i w każdej chwili mogła zobaczyć ich dyrektorka.

Ona mnie uwodzi, przemknęło Sloanowi przez głowę. Niemal napierała na niego jędrnymi młodymi piersiami i czarowała sugestywnym spojrzeniem, Allison po prostu go kusila. To nie ulegało żadnej wątpliwości.

Caroline miała rację.

Powoli stawało się dla niego jasne, że Caroline zawsze trafnie ocenia sytuację.

- Daj mu więcej czasu. - Włożył do teczki scenariusz i zrobione dzisiaj notatki. - On szybko nadrobi zaległości. - Kątem oka dostrzegł, że Matt ich obserwuje. Czy uważał nauczyciela za potencjalnego rywala? Jak, u diabła, do tego doszło? I kiedy?

Allison buntowniczo wysunęła brodę.

- Może ja wcale nie chcę, żeby on cokolwiek nadrabiał.

Sloan celowo odsunął się od dziewczyny, która najwyraźniej nie przejmowała się faktem, że w pobliżu stali inni uczniowie i lada moment mogli zwrócić uwagę na wychowawcę flirtującego z ich koleżanką.

- Nie sądzisz, że na Matta warto poczekać? My, faceci, w tym wieku jesteśmy dosyć nieporadni, ale później zmieniamy się na lepsze.

- Pan nigdy taki nie był.

Uznał, że Allison zanadto śpieszy się z dojrzwaniem. Dlaczego wydawało mu się to takie znajome? Parsknął śmiechem.

- Przy mnie z tamtych czasów Matt wyglądałby jak Cary Grant.

- Kto? - spytała zakłopotana. Przekrzywiła głowę na bok, a starannie ułożone, długie włosy zsunęły się z jej ramion.

Powinien pamiętać, że nie wszyscy uwielbiają stare filmy tak jak on.

- Aktor znany ze swojej uprzejmości i wyrafinowania. Allison nie interesowała historia starożytna. Liczył się dzień dzisiejszy. I Sloan.

- Nie uwierzę, że pan kiedykolwiek był taki dziecinny jak Matt.

- Lepiej w to uwierz. - Zamknął teczkę. - Wybacz, ale muszę już iść do domu. - Tymi słowami zakończył rozmowę i ruszył do wyjścia, zanim Allison znalazła pretekst, aby się przyłączyć. - Świetna robota - pochwalił, mijając kilka osób, które zwlekały z odejściem. - Pamiętajcie, spotykamy się tutaj we wtorek o piątej trzydzieści. Jestem z was dumny.

Szybko wyszedł na zewnątrz, żeby Allison nie próbowała mu towarzyszyć.

Gdy dwadzieścia minut później wchodził do domu, wciąż nie potrafił pojąć, dlaczego wcześniej nie zauważył uwodzicielskich zabiegów Allison. Po namyśle doszedł do wniosku, że przez kilka ostatnich tygodni niewiele wokół siebie widział. Jedyne, co go tłumaczyło, to nadmiar pracy i problemów. Jak zwykle.

Caroline i synów zastał w salonie. Wszyscy troje siedzieli po turecku na dywanie, a między nimi leżała gra. Na niskim stoliku stało kilka pustych miseczek z wielce wymownymi brązowymi śladami. Dowodziły, że niedawno raczono się tutaj czekoladowymi lodami.

- Cześć - powitała go Caroline. - Co się stało? - spytała na widok jego dziwnej miny.

Przysiadł na bocznym oparciu kanapy.

- Miałaś rację.

- Oczywiście - przyznała, przekonana o słuszności jego spostrzeżenia. - Ale na jaki temat? - Uśmiechnęła się szeroko, gdy Joey zachichotał. Nie знаła nikogo, kto śmiałby się bardziej zaraźliwie. Śmiech chłopca zawsze działał na nią rozweselająco.

- Mówię o Allison. Sądzę, że ona durzy się we mnie. - Czy rzeczywiście zabrzmiało to tak pompatycznie?

Joey właśnie przesuwał o kilka pól do przodu niebieski pionek. Z zachwytem zmiotł nim stojący na drodze pionek w kolorze żółtym.

- Przegoniłem cię! - zawołał do Caroline i spojrzał na ojca. - Co to znaczy „durzy się”?

Pomyślała, że Sloan wygląda na ogromnie zakłopotanego.

- To znaczy, że ktoś kogoś bardzo lubi - wyjaśniła Joeyowi.

- Tak jak tata ciebie? - wtrącił się Danny.

- Niezupełnie - odparła szybko, aby wybawić Sloana z kłopotu.

- Ale on powiedział, że cię lubi - nie ustępował Danny. Spojrzał na ojca, szukając u niego wsparcia. - Prawda, tato? Gdy w nocy leżeliśmy w łóżku.

- Spałeś dzisiaj z tatą? - Joey natychmiast się naburmuszył, zapominając o swoim zwycięstwie. - Przecież to ja zostałem ranny.

- Spałeś jak kamień - wyniośle oświadczył Danny.

- Wcale nie. Kamienie nie śpią, prawda, Caroline? Nie zamierzała brać czyjejkolwiek strony.

- Hej, przestańcie się sprzeczać, chłopaki. Chcę zapamiętać wasze uśmiechnięte buzie. - Podniosła ręce na wysokość twarzy, utworzyła z palców ramkę i udała, że robi chłopcom zdjęcie. - Właśnie tak - pochwaliła. - Muszę się zbierać.

- Och, Caroline. - Joey zerwał się z podłogi. - Zagrajmy jeszcze jeden raz.

- Wybacz, kochanie. Spróbuj namówić tatę. Mnie czeka dyżur w szpitalu.
- Zerknęła na zegarek. - Została mi niecała godzina. - Chciała wstąpić do domu i się przebrać. - A jeszcze trzeba tu posprzątać.

- Zrobimy to za ciebie - zaproponował Danny. Chwycił swoją miseczkę i ubiegł Joeya, który zamierzał wziąć miseczkę Caroline. Obaj chłopcy pognali do kuchni.

- Jak udało ci się to osiągnąć? - Sloan patrzył na Caroline z podziwem. Chłopcy rywalizowali ze sobą o prawo do zmywania. Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy.

Wstała i otrzepała kolana.

- Czarami - odparła - oraz częściowo za pomocą małego przekupstwa w postaci kubelka lodów z czekoladową pianką.

W kąciку ust miała odrobinę tej pianki. Sloan dostrzegł to, gdy Caroline odwróciła głowę w jego stronę. Niewiele myśląc, stał płamkę końcem kciuka.

- Właśnie się zastanawiałem, co to takiego.

Caroline przebiegł taki sam dreszcz, jaki zawsze odczuwała, gdy dotykał jej Sloan.

- W lodówce została nieduża porcyjka. Żałuję, ale nie mogłam się powstrzymać.

A on musiał się pohamować. Musiał, chociaż miał przemożną ochotę sprawdzić, czy na wargach Caroline pozostał smak czekolady.

Skąd, u licha, wziął się ten nieoczekiwany przymus całowania i dotykania Caroline? Dlaczego stawał się coraz silniejszy? To wszystko było dla Sloana zupełnie niezrozumiałe.

Wepchnął ręce do kieszeni. Wiedział, że lada chwila do pokoju wpadną chłopcy. Nie chciał, by zastali go w dwuznacznej sytuacji.

Caroline zdawała sobie sprawę z rosnącego napięcia. Siłą woli starała się panować nad sobą, żeby nie zrobić czegoś głupiego. Żeby, na przykład, nie pocałować Sloana. Wciągnęła głęboko powietrze i powolutku je wypuściła.

- Co w związku z nią zamierzasz uczynić?
- Z nią? - powtórzył pytająco, obserwując grę światła na jej ustach.
- Z twoją wielbicielek Allison. Wzruszył ramionami.
- Pewnie wkrótce przestanie się mną interesować. Dopóki to nie nastąpi, będę unikał ciemnych uliczek, żeby mnie nie przyparła do muru. - Spoważniał. - Jakim cudem się domyśliłaś, że ona się mną interesuje? Ja nigdy bym na to nie wpadł.

Caroline roześmiała się.

- Ponieważ ty, mój przyjacielu - musnęła dłonią jego policzek - w tej dziedzinie bywasz mało spostrzegawczy.

- Naprawdę? - Chwycił jej rękę. Zastanawiał się, czy ponosiła go wyobraźnia czy też słowa Caroline rzeczywiście zawierały sugestywną aluzję?

- Oczywiście. - Przeniknęło ją przyjemne ciepło. - Prawdopodobnie całe zastępy rozkwitających kobietek gryzmolą na lekcji twoje i swoje inicjały, zamiast słuchać nauczyciela geometrii. - Tak jak ja to robiłam, dodała w myśli.

A więc o tym mówiła. O jego uczennicach. A on przez chwilę sądził, że Caroline ma na myśli... Kiedy jego ego stało się takie wybujałe?

- Może powinienem cię wynająć, żebyś mnie chroniła!

- W charakterze stracha na wróble? Caroline Masters sieje trwogę w sercach wrażliwych nastolatek. Niezła rola. - Na twarzy Caroline pojawiło się rozbawienie. - Chyba jej nie zagram.

Potrząsnął głową.

- A co powiesz o roli mojej dziewczyny, z którą nawet nie przyjdzie im do głowy konkurować?

Zacisnęła usta, żeby ich nie otworzyć ze zdumienia. Opanowanie się zajęło jej całą sekundę.

- Sloanie Walters, udało ci się powiedzieć coś bardzo miłego.

Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Zdarzają mi się przebłycki geniuszu. - Z kuchni doleciały go niepokojące odgłosy. Chłopcy prawdopodobnie usiłowali włożyć brudne naczynia do zmywarki. Miał nadzieję, że nic się nie potłukło ani żadnemu z nich nie stało się nic złego. Nie miał akurat nastroju do kolejnej wizyty w izbie przyjęć.

Caroline nie usłyszała hałasu. Całą jej uwagę pochłaniał Sloan.

- Owszem - przyznała cicho. - Czasem mówisz do rzeczy.

- Naprawdę musisz już iść? - Ujął ją za rękę. Jeszcze nie był gotów do zgłębiania nowych emocji. Wiedział jednak, że lubi przebywać z Caroline. W jej towarzystwie wszystko układało się lepiej - chłopcy zachowywali się grzeczniej, problemy wydawały się łatwiejsze do rozwiązania, irytujące sprawy mniej dawały się we znaki. - Może spędzilibyśmy razem trochę czasu. Poszlibyśmy z chłopcami do kina. - Większe grono zapewniałoby poczucie bezpieczeństwa, którego nadal potrzebował. -

W Deerborn Complex grają jakiś dobry film dla dzieci. To niedaleko stąd.

Lubiła, gdy włączał ją do swoich planów, kiedy traktował ją jak kogoś bliskiego. Chętnie zaakceptowałaby jego propozycję, ale rzeczywiście czas naglił. Może pochopnie dała się namówić na tymczasowe zatrudnienie w szpitalu?

Tymczasowe, powtórzyła w myśli. To słowo najlepiej definiuje również jej kontakty ze Sloanem. Na pewno mają one tymczasowy charakter. Jeśli nawet tak jest, to pragnie wynieść z nich jak najwięcej.

- Wiem, gdzie znajduje się to kino, a twoja oferta jest bardzo kusząca, ale muszę jechać do szpitala. - Niechętnie uwolniła dłonie. - Jak by to wyglądało, gdybym nie zjawiała się już na drugim dyżurze?

Sloan skinął głową. Właściwie nawet się ucieszył z tej odmowy. Zaprosił Caroline i z tego powodu już ogarnęło go zakłopotanie. Nie chciał, aby ona sądziła, że się jej narzuca.

Co innego mogłaby pomyśleć?

Przecież właśnie to robił - narzucał się Caroline, prawda?

Kiedy, u licha, jego życie tak się pogmatwało?

- W niedzielę nie pracuję - oświadczyła. Czy przypadkiem nie zabrzmiało to nachalnie? Nawet jeśli tak, to nie szkodzi. Miała już powyżej uszu swojej bierności. - Może po prostu przełożymy nasze spotkanie?

- Chłopcy będą zachwyceni. - Sam też się ucieszył. Tak bardzo, że aż go to zastanowiło.

Krążymy wokół tematu, a Danny i Joey są wygodnym pretekstem, pomyślała.

- Nie wolno nam ich rozczarować - stwierdziła i dodała: - O wilku mowa...

Chłopcy nagle pojawili się w pokoju i podbiegli do niej.

- Włożyliśmy naczynia do zmywarki - piskliwie oznajmił Joey.

- To bardzo ładnie z waszej strony. - Otoczyła go ramieniem. Danny natychmiast wtulił się pod drugie.

- Przyjdiesz do nas dziś wieczorem?

- Tak, koniecznie! - zawołał Joey. Obaj zrobili smutne, wzruszające miny i spojrzeli najpierw na Caroline, a potem na ojca. Sloan z trudem zachował powagę.

- Nie naprzykrzajcie się Caroline.

- My się nie naprzykrzamy - zaprotestował Danny. - Tylko mówimy jej, że lubimy, gdy jest z nami.

- Dziewczynie zawsze podoba się takie oświadczenie. - Nie oparła się pokusie i zerknęła na Sloana. Następnie przeniosła uwagę na swoich wielbicieli.

- Może wasz tata ma inne plany.

Danny przecząco pokręcił głową.

- On nigdy nie ma żadnych planów, prawda, tato? Zupełnie, jakbym był żalonym odludkiem, pomyślał. Czy właśnie takie sprawiał na nich wrażenie?

- Prawda - przyznał. Popatrzył na Caroline i poparł prośbę synów. -
Wpadnij do nas, jeśli możesz. Nawet spróbuję sam coś upichcić.

On chyba żartuje, uznała.

- Lepiej nie. Bez obrazy, Sloan, ale przyjdę na obiad pod jednym warunkiem: jeśli to ja zajmę się gotowaniem.

Wyśmiewała jego zapędy kulinarne, a przecież nie miała okazji spróbować czegoś, co przygotował. Chociaż, niestety, w kuchni radził sobie kiepsko.

- Nie obraziłem się - odparł, przekrzykując piszczących z radości synów.

Razem odprowadzili Caroline do drzwi, a Danny nawet je otworzył i przytrzymał.

- Do zobaczenia. - Odwróciła się i pomachała im na pożegnanie. W obramowaniu drzwi wyglądali jak uroczy obrazek. Zapłaciłaby każdą cenę, żeby należał do niej.

No właśnie, znów marzyła o gwiazdce z nieba, a to poważny błąd. Nie powinna zapominać, gdzie jest jej miejsce. Przyjaciółka, a nie narzeczona czy kochanka. Tylko przyjaciółka. Wiedziała, co się stanie, jeśli będzie zachłanna. Straci wszystko.

Nie chciała aż tak ryzykować. Nie zaliczała się do nieustraszonych śmiałków.

Sloan nigdy by nie przypuszczał, że spodoba się mu film dla siedmiolatków. Dzisiaj zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Widocznie obecność Caroline uatrakcyjniła seans. Tak bardzo, że Sloan nawet się nie zdrzemnął w połowie projekcji, choć zazwyczaj to robił.

Po obu stronach Caroline usadowili się jego synowie, a przedtem przez pięć minut spierali się o miejsca. Na szczęście widownia była pusta i zaczęła się zapełniać dopiero tuż przed rozpoczęciem filmu. Joey i Danny nie przeszkadzali więc nikomu, walcząc o względy Caroline. Sloan stwierdził, że jego osoba właściwie jest zbędna.

Z tego powodu nie odczuwał najmniejszego żalu. Cieszył się, że chłopcy są zadowoleni.

Gdy zgasło światło, odniósł wrażenie, że razem tworzą rodzinę. Prawdziwą rodzinę. Tak jak kiedyś, gdy był naprawdę szczęśliwy. Zdecydowanie odmawiał, gdy ktoś z przyjaciół chciał bawić się w swaty. Sloan nie zamierzał poznawać ewentualnych kandydatek. Nie nadawał się do takich eksperymentów. Pozostał mężem. Mężem, który nie miał żony. Jakkolwiek nielogicznie by to brzmiało.

Muszę się z tym pogodzić, pomyślał, wpatrzony w profil Caroline, oświetlony migotliwą poświatą.

Jesteś tego pewien, Sloan? - zdobył się na szczerość wobec siebie.

Po filmie oczywiście poszli na lody z syropem, owocami, orzechami i bitą śmietaną. W domu chłopcy namówili Caroline na kilka rozgrywek. Z paru godzin nagle zrobiło się pół dnia. Niedziela minęła nie wiadomo kiedy i Sloan znów odprowadzał Caroline do samochodu.

To powoli staje się zwyczajem, przemknęło mu przez głowę, i to bardzo miłym.

- Sprawiałaś chłopcom wielką przyjemność tym wypadem do kina. - Plotę konwencjonalne bzdury, pomyślał. Ale to, co chciał powiedzieć, wydawało się szalenie ryzykowne. - I całą uwagę, jaką im poświęciłaś.

Uśmiechnęła się. Te kilka ostatnich dni śmiało mogłaby uznać za najbardziej udane w swoim życiu.

- To takie łatwe. Joey i Danny są sympatycznymi dziećmi.

- Co nie zmienia faktu, że dzięki tobie obaj spędzili wspaniałe popołudnie.

A ty, Sloan? Czy ty także spędziłaś wspaniałe popołudnie? Szkoda, że nie mogła zadać tego pytania. Musiała przecież liczyć się z konsekwencjami.

- Bardzo się z tego cieszę. - Wyciągnęła dłoń, aby otworzyć drzwiczki.

Wziął ją za rękę, a Caroline spojrzała na niego pytająco. Postanowił zaryzykować.

- Słuchaj, wiem, że już późno i nie chcę cię zatrzymywać, ale... Pamiętasz Mary Jenkins?

Na twarzy Caroline odmalowało się zdumienie. Sloanowi zebrało się na wspomnienia? O tej porze?

- Nauczycielkę geometrii? Twierdząco skinął głową.

- Jasne, że ją pamiętam. - Chuda, zawsze smutna kobieta, której całą egzystencję wypełniał wykładany przedmiot i uczniowie. Chodziły plotki, że w przeszłości przeżyła jakąś wielką tragedię. - Czemu o nią pytasz?

- W przyszłym tygodniu jest przyjęcie z okazji jej przejścia na emeryturę. Może zechciałabyś się wybrać? - W sobotę rano znalazł w swojej przegródce z zawiadomieniami informację o uroczystości. Od wczoraj zastanawiał się, czy zaprosić Caroline, aby mu towarzyszyła.

- Myślałam, że pani Jenkins przestała uczyć dawno temu.

- Caroline przywołała w pamięci twarz swojej dawnej nauczycielki. - Miała chyba ze sto trzy lata, gdy my chodziliśmy do szkoły.

Parsknął śmiechem.

- Była dużo młodsza. Przed świętami Bożego Narodzenia skończyła sześćdziesiąt pięć lat. Rada szkolna zamierzała już wtedy wysłać ją na emeryturę, ale Mary przekonała dyrekcję, żeby zatrzymali ją jeszcze na jeden semestr. - Doprowadził do tego upór dyrektorki, która nie chciała w środku roku szkolnego szukać nowego wykładowcy geometrii. Znalezienie kogoś na miejsce nauczyciela z doświadczeniem pani Jenkins nie jest łatwym zadaniem. - W planie jest również wielkie przyjęcie na jej cześć, które odbędzie się parę dni przed tegorocznym rozdaniem świadectw. Diane Palmetto wysyła zaproszenia do wszystkich byłych uczniów Mary Jenkins, których udało się zlokalizować. Natomiast w tym spotkaniu weźmie udział tylko kadra pedagogiczna.

- Przecież ja do niej nie należę.

- Nie, ale byłabyś moją... - Urwał. - Chyba dziewczyną - dokończył, gdy zdołał skłonić język do wymówienia tego słowa.

- Nigdy nie byłam „chyba dziewczyną” - odparła po chwili milczenia.

Spojrzała na niego z przekornym błyskiem w oku.

- Muszę przestrzegać jakichś norm postępowania? Na przykład chodzić dziesięć kroków za tobą?

Zawsze potrafiła go rozbawić. Z łatwością wносиła w jego życie radość.

- Wystarczy pięć. Udała, że się zastanawia.

- Zjedź do trzech i umowa stoi. Mam coś przynieść?

- Tylko siebie. - Już wpłacił dwudziestodolarową składkę, gdy przyjęcie było w stadium organizacji. Teraz obserwował grę księżycowego światła, nadającego ciemnym włosom Caroline złocisty odcień. - Wiesz, ona zawsze cię lubiła.

To prawda, pomyślała. Nauczyciele rzeczywiście ją lubili, a uczniowie mieli jej to za złe.

- Fakt - przyznała. - Byłam marzeniem każdego belfra. Rzeczywiście chciałam się uczyć.

- W przeciwieństwie do reszty z nas. - Dobrze pamiętał swój stosunek do nauki.

- Tak, w przeciwieństwie do reszty z was - zgodziła się.

- Ponieważ ja znajdowałam się jakby na zewnątrz. - Nie miała pojęcia, czemu to powiedziała.

Spojrzał na nią zdziwiony. Zawsze uważał, że Caroline należy do ich paczki.

- Dla nas to wcale tak nie wyglądało.

- Dlatego, że wy byliście wewnątrz. - I zbyt zajęci sobą nawzajem, aby czuć coś więcej niż miłosne uderzenia waszych serc, dodała w duchu, a głośno powiedziała: - Ja zawsze trochę od was odstawałam.

Obecnie wszystko wyglądało inaczej. Już nie trzymała się na uboczu, za co powinna być wdzięczna swojej przyjaciółce. To właśnie Julie za pomocą przykładu i perswazji przekonywała Caroline, że warto wysunąć się na pierwszy

plan, Julie pragnęła, aby Caroline dobrze się bawiła. Tworzyły dziwaczną parę. Julie - dusza każdego towarzystwa, pełna życia i bezpośrednia oraz Caroline - całkowite jej przeciwieństwo. Julie nie pozwalała

Caroline się izolować. Urabiała ją tak długo i cierpliwie, aż przyjaciółka zaczęła się zmieniać.

Może wtedy od nas odstawała, ale tę fazę ma już za sobą, pomyślał Sloan. Teraz Caroline imponowała swobodą i pewnością siebie. Usiadła za kierownicą, a on przykucnął obok otwartych drzwiczek.

- Sądysz, że moglibyśmy się umówić? - zapytał pod wpływem impulsu.

Serce zabiło jej szybciej, ale zignorowała to. Nie zamierzała zrozumieć opacznie słów Sloana.

- Jasne. Przecież właśnie umówiliśmy się na „chyba randkę”. Nagle zrozumiał, że to za mało. Chciał czegoś więcej.

- Myślałem o prawdziwej randce. Bez dokazujących chłopców ani tłumu gości na przyjęciu. Tylko we dwoje.

- Jasne - powtórzyła już mniej pewnie. Spojrzała Sloanowi w oczy i dostrzegła w nich coś, czego nie potrafiła do końca zdefiniować. A może obawiała się to zrobić, bo pomyłka oznaczałaby gorzkie rozczarowanie? Musiała jednak zapytać: - Jesteś gotów wypuścić się na szersze wody?

- Chyba tak. - Zarumienił się, nagle zakłopotany. Przecież rozmawiał z Caroline, z nią mógł być absolutnie szczery. - Tylko zastanawiam się, czy potrafię.

Ja też, pomyślała.

- Jakoś damy sobie radę. Musnął palcami jej włosy.

- Jak to jest, że nigdy nie muszę nic ci tłumaczyć? Ty i tak zawsze mnie rozumiesz.

Bo czekałam całą wieczność na twoje zaproszenie, odparła w myślach.

- Przecież wiesz, dlaczego. Czytanie w myślach to moja specjalność. A teraz wracaj do domu, zanim jeden z twoich synów wyskoczy z łóżka i zacznie cię szukać.

- Masz rację. - Przysunął się i pocałował ją. Po raz kolejny przekonał się, że jej bliskość działa na niego ekscytująco. - Jutro wieczorem? O siódmej?

- Siódma mi odpowiada. - Czy to ona właśnie wymówiła te trzy obojętne słowa? Cóż, chyba była bardziej opanowana, niż sądziła.

Sloan podniósł się.

- Do zobaczenia.

Bez wątpienia, odpowiedziała mu w duchu.

ROZDZIAŁ 8

Umówiła się na randkę ze Sloanem. Nie do wiary!

Nucąc radośnie, weszła do holu w domu rodziców i rzuciła torebkę na stolik obok drzwi. Kto by przypuszczał, że...

Nie dokończyła tej myśli, bo nagle spostrzegła przy oknie matkę. Wanda Masters miała na sobie szlafrok i była równie blada jak beżowa tkanina stroju, który luźno spowijał jej szczupłą sylwetkę.

Caroline ogarnęło złe przeczucie. O tej porze matka na ogół już spała.

- Cześć, mamó. - Schyliła się i musnęła ustami jej policzek. - Co tutaj robisz?

Wanda nerwowo splótła palce. Wygląda jak królik, który nie wie, w którą stronę uciekać, pomyślała Caroline.

- Czekam na twojego ojca.

Resztką uśmiechu znikła z warg Caroline. Było już po jedenastej, a ojciec chodził wcześniej spać. Przez całe życie codziennie wstawał o świcie, a po przejściu na emeryturę nie zrezygnował z tego zwyczaju.

- Dlaczego? Gdzie jest tato?

Wanda znów odwróciła się do okna, jak gdyby usiłowała zyskać na czasie. Odgarnęła firankę i wyjrzała na ulicę. W ciągu ostatnich dwóch godzin zrobiła to chyba ze sto razy. Nie zobaczyła jednak zbliżających się świateł samochodu, których widok podsyciłby złudną nadzieję. W tej chwili trzęsła się ze zdenerwowania, bo w mroku ulicy nie dostrzegła żadnego pojazdu. Opuściła firankę.

- Pojechał po pączki w czekoladowej polewie. Wiesz, że za nimi przepada. Tak samo jak ty. Oboje uwielbiacie czekoladę. Ty masz to po nim. Po swoim ojcu.

Matka odbiegła od zasadniczego tematu, a Caroline poczuła, że strach chwyta ją za gardło.

- Kiedy wyszedł?

Wanda spojrzała na stojący na kominku zegar, choć wcale nie musiała sprawdzać, która godzina. Od wyjazdu męża bez przerwy słyszała miarowe tykanie i liczyła każdą upływającą minutę.

- Dwie i pół godziny temu.

Przejazd przez całe Bedford i powrót nie trwał aż tak długo. Jeszcze mniej zajmował dojazd do jednego z kilku miejskich centrów handlowych.

Kolejna myśl wprowadziła Caroline w popłoch.

- Pojechał samochodem? - Ujęła matkę za ramiona i odwróciła ją twarzą do siebie. W pobliżu ich osiedla znajdował się mały supermarket. Ojciec mógł pójść tam piechotą, ale to także nie trwałoby dwie i pół godziny.

Wanda kiwnęła głową.

- I ty mu pozwoliłaś? - Patrzyła na matkę osłupiała. Wanda przycisnęła dłoń do ust, aby powstrzymać szloch.

W jej oczach zalśniły łzy. Czowała się taka bezradna. Chciała męża zatrzymać, prosiła go, prawie błagała, żeby dał sobie spokój z pączkami i został w domu, ale jej nie posłuchał.

- Co miałam zrobić! - wykrzyknęła obronnym tonem. - Schować kluczyki?

Czy matka nie zdawała sobie sprawy, że stan jej męża może być poważny? A jeśli ojciec gdzieś zemdlął? Lub zakreśliło mu się w głowie?

- Tak - odparła Caroline podniesionym głosem. - Powinnaś schować kluczyki.

W głębi serca Wanda czuła, że córka ma rację. Sytuacja była jednak bardziej skomplikowana, niż mogło się wydawać. W grę wchodziła przecież godność. Josh całkiem by się załamał, gdyby ją utracił.

- Nie mogłam tego uczynić. - Wanda usiłowała się uspokoić, ale strach jej na to nie pozwolił. - On jest bardzo dumnym człowiekiem.

Nie, to niemożliwe, pomyślała Caroline. Przecież matka nie jest głupia. Dlaczego nie wzięła pod uwagę ewentualnych konsekwencji swojej bierności?

- Wiem, ale czy wolałabyś go mieć dumnego i nieżywego czy zirytowanego i żywego? - Caroline zacisnęła wargi. - Przepraszam, nie chciałam na ciebie krzyżeć.

- Uznałam, że nic mu się nie stanie. - Głos Wandy brzmiał niewiele głośniejszy niż szept, a mimo to drżał. - Nigdy nie miał problemów z prowadzeniem samochodu.

Zabrzmiało to jak rozpaczliwa wymówka, błagalna modlitwa, aby się okazało, że Josh jest cały i zdrowy. Wanda wiedziała, że oszukuje samą siebie. Do niedawna siedziała tutaj przerażona, pełna najgorszych przeczuć, które teraz dręczyły także jej córkę.

- I nigdy nie zapominał o płaceniu świadczeń ani o tym, jaki jest jego ulubiony posiłek. - Caroline zacisnęła powieki, żeby się skupić i zacząć racjonalnie myśleć.

Gdzie mógł się podziewać ojciec?

W drodze do domu nie słyszała ani sygnału karetki pogotowia, ani syreny policyjnej, ale to słaba pociecha. Bedford już dawno przestało być miejscą o

trzech skrzyżowaniach. Obecnie prowadziły tędy dwie autostrady. Jeśli ojciec nieopatrznie wjechał na którąś z nich, to do tej pory dotarł Bóg wie gdzie.

Walcząc z ogarniającą ją paniką, Caroline poszła do kuchni, gdzie na ścianie wisiał telefon. Wanda pośpieszyła za córką i chwyciła ją za ramię.

- Dokąd idziesz?

Caroline siłą woli starała się narzucić sobie spokój. Liczyła na to, że jej opanowanie udzieli się matce, w której oczach widziała strach. Miała wrażenie, że to ona jest rodzicem, a matka - dzieckiem.

- Muszę zadzwonić na policję. Podam markę i numer rejestracyjny waszego samochodu. Może jakiś patrol go znajdzie i przywiezie tatę do domu. - Zanim spotka go coś złego, dodała w duchu.

- Przypuszczasz, że coś mu się stało? - spytała matka, jak gdyby czytała w myślach Caroline.

- Nie sędzę. - Caroline jakimś cudem zdobyła się na uspokajający uśmiech.

Nie wątpiła, że ojcu zdarzył się jeden z jego zaników pamięci. W najlepszym przypadku Josh Masters zablądził lub zapomniał, dokąd jedzie, i wstydził się wrócić. W najgorszym przypadku zapomniał, kim jest.

Chociaż to wcale nie byłoby najgorsze. Ojca mogło spotkać coś straszniejszego, lecz Caroline nie zamierzała teraz rozpatrywać tej ewentualności. Nie potrafiła się na to zdobyć. Jej matka także - wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz.

- Może po prostu spotkał kogoś znajomego i się zagadał.

- Może. - Matka natychmiast uchwyciła się tego banalnego wytłumaczenia, jak tonący przysłowiowej brzytwy.

Caroline sięgnęła po słuchawkę i w tym momencie telefon zadzwonił. Gwałtownie cofnęła dłoń, jak gdyby się sparzyła.

O, Boże, niech to będzie tato, pomyślała.

- Halo?

- Caroline?

Przytrzymała słuchawkę obiema rękami, żeby z wrażenia jej nie upuścić. Skinieniem głowy odpowiedziała na nieme, rozpaczliwe pytanie, które widziała w oczach matki.

- Tato, gdzie jesteś?

- Spytaj, jak się czuje. - Wanda złapała ją za łokieć.

- Mama pyta, jak się czujesz.

- Chyba tak jak... - odparł z wyraźnym znużeniem. Na chwilę umilkł i dodał: - Caroline, jestem w centrum handlowym.

Rozległy się niewyraźne odgłosy. Czyżby upuścił słuchawkę?

- Tato? Tato, jesteś tam? - Napięcie stawało się trudne do zniesienia.

Znow rozległy się trudne do zdefiniowania dźwięki.

- Tak - odparł głośniejsz. Chyba mówił prosto do mikrofonu. -

Sprawdzałem, czy zobaczę nazwę tego miejsca. Wygląda mi na Heritage Shopping Center. Ja...

Wyczuła jego udrękę, ale nie zamierzała tracić czasu na słowa pocieszenia. Musiała odnaleźć ojca, zanim przyjdzie mu do głowy samodzielny powrót.

- Poczekaj tam na mnie, tato. Już po ciebie jadę. - Zawahała się. Nie chciała traktować go jak dziecka, ale nie mogła sformułować inaczej tego, co musiała powiedzieć. - Obiecuj, że nigdzie się stamtąd nie ruszysz.

- Obiecuję.

Usłyszała w jego głosie rezygnację i szybko odłożyła słuchawkę. Oby tylko dotrzymał obietnicy. Znajdował się niedaleko. Późnym wieczorem dojeżdżało się tam w pięć minut.

- Mam pojechać z tobą?

Caroline odwróciła się. Prawie całkiem zapomniała o matce.

Wanda miała na sobie negliż i na pewno chciałaby się przebrać. Caroline uznała, że nie wolno marnować cennych minut. Poza tym matka chyba wolałaby nie widzieć zakłopotania ojca.

- Nie. Będzie lepiej, jeśli pojedę sama. Wanda z ulgą skinęła głową i ścisnęła dłoń córki.

- Dziękuję, kochanie.

Caroline rozumiała uczucia matki i zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, aby pomóc obojgu rodzicom.

- Może przygotujesz mi gorącą czekoladę? Z odrobiną likieru amaretto.

- Jego ulubiony napój. - Na wargach Wandy zaigrał uśmiech wyrażający zarówno nadzieję, jak i odrobinę smutku.

- Tak, jego ulubiony - przyznała Caroline. O ile tata o tym nie zapomniał, dodała w myśli.

Centrum handlowe znajdowało się najwyżej pięć kilometrów od domu rodziców. Było jednym z pierwszych tego typu kompleksów powstałych w Bedford i w ciągu ostatnich dwudziestu lat przebudowywano je trzykrotnie. Za każdym razem przybywało kilka nowych sklepów, których powierzchnia pochłaniała kolejną część terenu. Jeśli ojciec cierpiał na chorobę Alzheimera i pojechał do tego centrum, które pamiętał z dawnych czasów, łatwo mógł się zgubić.

Czy właśnie tak się stało, tato? Szukałeś miejsca, które często odwiedzaliśmy, kiedy byłam małą dziewczynką? Czy wpadłeś w panikę, gdy go nie znalazłeś?

Skreśliła do centrum, jadąc boczną uliczką, prowadzącą prosto do cukierni - jednej z placówek, która oparła się wszelkim zmianom. Sąsiadowała z pizzerią, gdzie ojciec także lubił zaglądać. Dzisiaj chyba tutaj nie przyjechał. Caroline nigdzie go nie widziała. Była bliska rozpaczy.

O tej porze na dużym parkingu stało niewiele samochodów.

Wysokie uliczne latarnie o wielkich kloszach jakby rodem z „Podróży Guliwera”, dotrzymywały towarzystwa uśpionym sklepom. Oświetlały drogę każdemu, kto miałby ochotę na spacer o północy.

Caroline zaczęła powoli krążyć samochodem po kolejnych sektorach parkingu. Wypatrywała ojca, musiał być gdzieś tutaj. Zgasiła radio, ponieważ ją rozpraszało. Teraz słyszała więc tylko głośnie kołatanie swojego serca.

- Och, tato, gdzie jesteś? - szepnęła. - Proszę, zaczekaj na mnie. Nie próbuj sam nigdzie jechać.

I nagle, bliska obłądu, dostrzegła samotną postać.

Ojciec stał oparty o maskę auta. Wyglądał na zagubionego.

Nacisnęła pedał gazu i ruszyła szybciej, niż powinna na tym terenie. Nie musiała obawiać się, że spomiędzy zaparkowanych pojazdów wybiegnie jakieś dziecko, bo parking świecił pustkami. Po tej stronie mieścił się butik z przecenioną odzieżą dżinsową i sklep z częściami zamiennymi do importowanych samochodów, lecz obie placówki już dawno zamknięto.

Zatrzymała samochód, zastanawiając się, jak powitać ojca. Najchętniej po prostu powiedziała mu, że bardzo go kocha i mocno objęła. Dlaczego los postanowił tak okrutnie potraktować bliskiego jej człowieka...

Podeszła do ojca, niepewna, co zobaczy, gdy spojrzy mu w oczy. On chyba na razie jeszcze jej nie zauważył.

- Tatusiu?

Podniósł głowę. Caroline z ulgą stwierdziła, że popatrzył na nią całkiem przytomnie. Zamiast spodziewanego zamroczenia ujrzała we wzroku ojca tylko cień pogardy dla samego siebie.

- Zabłądziłem - oznajmił bez żadnych wstępów. Rozejrzał się wokół, jakby zdumiony własnymi słowami. - Mieszkam w tym mieście od urodzenia. Brałem udział w budowaniu jednej czwartej wszystkich centrów handlowych i jednej dziesiątej domów, a dzisiaj tu zabłądziłem. - Popatrzył na córkę, targany gniewem i poczuciem bezradności. - Co się ze mną dzieje, Caroline?

Wtedy go objęła i przytuliła, chociaż sama chętnie znalazłaby się w jego ramionach. Chciała się w nich schronić i rozplakać, ponieważ życie okazało się niesprawiedliwe. Nie potraktowało ich uczciwie - nikogo z nich. Jak mogło spotkać jej ojca coś takiego. Przecież był jej podporą, źródłem siły. Zawsze wierzyła, że ojciec się nie zestarzeje, nie zachoruje, że nie załamie się na jej oczach jak małe, przestraszone dziecko.

Ale to nie najlepiej wybrana chwila na formułowanie pretensji do losu, pomyślała Caroline i szybko się opanowała. Ojciec potrzebował pomocy, i tylko to się liczyło.

- Właśnie próbujemy to ustalić, tatusiu. - Wypuściła ojca z objęć i dodała:
- Jutro chyba dostaniemy wyniki badań. - Powinien poddać się im dużo wcześniej, ale przypominanie o tym nie miało sensu.

Josh skinął głową, ale w jego spojrzeniu nadal malowała się bezradność. Zamiast zniknąć, jeszcze się spotęgowała.

- Tak. - Spojrzał córce w oczy, gotów wesprzeć się na niej, zawstydzony, że tego potrzebuje. Przeszedł go zimny dreszcz. - Boję się, Carrie. Pierwszy raz w życiu się boję.

To wyznanie dużo go kosztowało, pomyślała. Pragnęła mu oszczędzić tej duchowej męki, ale wiedziała, że ojciec musi na głos wyrazić dręczące go obawy. A matka, mimo całej swojej miłości, nigdy go nie wysłucha.

- To zrozumiałe, tatusiu. Jestem przy tobie. I zostanę tutaj.

- Znów zamieszkaś z nami? - spytał ze zdumieniem i nadzieją w głosie.

- Dopóki będziesz mnie potrzebował.

To znaczy, że tylko na pewien czas, pomyślał. Oczywiście nie mógł domagać się więcej. Była młoda. Miała swoje życie. Pod wpływem mrocznego, przerażającego strachu zapytał:

- A jeśli nadal będę zapominał o różnych rzeczach? Jeśli pewnego dnia nie rozpoznam twojej twarzy?

Nie chciała o tym myśleć, ale już teraz знаła odpowiedź na jego pytanie.

- Nie bój się, tato. Ja cię nie zostawię. Obiecuję. Pomogło. Trochę.
- Dobra z ciebie dziewczyna, Carrie.
- Uczył mnie dobry nauczyciel. - Wyprostowała się, wzięła go pod rękę i pociągnęła w stronę swojego samochodu. - Zawiozę cię do domu.
- A co z moim autem?
- Nie martw się, nikt go nie ukradnie. - Otworzyła drzwiczki od strony pasażera. Ojciec wyglądał na zbyt zmęczonego, aby prowadzić, nawet gdyby jechał za nią. - Wrócimy po niego jutro rano, gdy poczujesz się lepiej. Chodź, mama już ci szykuje gorącą czekoladę z amaretto.
- Mój ulubiony napój. - Wsiadł i zerknął na córkę. - Widzisz, nie zapomniałem - dodał z uśmiechem. Był to smutny uśmiech.

Nazajutrz Caroline zadzwoniła do doktora Weisemana. Ojciec zamierzał spotkać się z nim tuż przed dwunastą, aby zapoznać się z wynikami badań. Caroline wolała jednak porozmawiać z lekarzem wcześniej i tylko w cztery oczy. Gdyby wyniki były złe, musiała mieć trochę czasu, aby się zastanowić, jak powiedzieć o nich ojcu.

Jako przyjaciel rodziny i lekarz domowy Waltersów, doktor Weiseman zgodził się bez wahania. Przyszedł z samego rana i od razu zaprowadził Caroline do swojego gabinetu. Przez chwilę czekała, aż lekarz przejrzy materiały, które o piątej wrzucił do skrzynki szpitalny gońiec.

Po kilku minutach poznała prawdę.

Przyjęła ją jak żołnierz. Musiała. Nie było nikogo, z kim mogłaby dzielić jej ciężar. Absolutnie nikogo. W ciągu ostatnich kilku dni wzięła na siebie obowiązki opiekunki obojga rodziców.

Caroline siedziała odrętwiała, wpatrzona w grafikę Normana Rockwella na ścianie za plecami Weisemana, gdzie wisiała od trzydziestu lat. W swoim malutkim pokoiku w klinice Caroline miała taką samą.

To dziwne, pomyślała, co człowiekowi się przypomina w takich chwilach.

- Czy to stuprocentowo pewne? - spytała.

- Tak, Caroline, ale to dobra wiadomość. Twój ojciec nie ma Alzheimerera. Ale miał co innego. Coś potencjalnie bardziej niszczącego. I mogącego szybciej zabić.

- Nigdy bym nie sądziła, że guz mózgu to lepsza ewentualność.

Weiseman dobrze rozumiał, co czuje jego rozmówczyni. Wystarczająco długo był lekarzem. Musiała jednak dostrzec pozytywne strony sytuacji.

- Tak jest w przypadku guzów nadających się do zoperowania - zapewnił.

- Trzeba się śpieszyć, ponieważ twój ojciec ma w głowie bombę zegarową. - Przerzucił karty notatnika i wyjął wizytówkę, którą niedawno tam włożył. - Proszę. - Podał jej bilecik. - Aleks Shaffer. Pracuje w naszym szpitalu od stycznia, ale ma doświadczenie i wspaniałą reputację zawodową. W pełni zasłużoną. Twój ojciec nie mógłby trafić na lepszego chirurga.

- Mógłby po prostu nie mieć guza - odparła sucho i natychmiast się zaczerwieniła. Przecież Weiseman starał się pomóc. - Przepraszam. Wiem, że robi pan wszystko, co w pańskiej mocy. Jestem trochę zaszokowana, dlatego mówię głupstwa. Nigdy nie przypuszczamy, że usłyszymy coś takiego. Zakładamy, że złe rzeczy zdarzają się innym ludziom. - Na jej ustach pojawił się na moment skruszony uśmiech. - Dla kogoś obcego mój ojciec pewnie jest tym „kimś innym”. - Wzięła się w garść. Gdyby się rozkleiła, jej rodzice na pewno by sobie nie poradzili. - Kiedy, pana zdaniem, doktor Shaffer mógłby zająć się tatą?

- Zobaczę, co się da zrobić. - Podniósł słuchawkę telefonu i zaczął wybierać numer.

Wydarzenia potoczyły się z szybkością światła. Późnym popołudniem Josh Masters został przyjęty na oddział, aby przejść niezbędne badania. Termin operacji wyznaczono na siódmą trzydzieści następnego dnia, bowiem czas naglił.

Caroline szybko załatwiła formalności, starając się konkretnym działaniem zniwelować natłok wszelkich „gdyby”. Na razie nie chciała niczego

analizować. Nie chciała przyznać, nawet sama przed sobą, że coś może pójść źle. Już sam widok ojca, zawsze takiego silnego, a teraz wyglądającego na szpitalnym łóżku jak duże, zagubione dziecko, był aż nadto bolesny.

Ojciec trzymał jej rękę w swoich dużych dłoniach. Na jego przegubie znajdowała się plastikowa identyfikacyjna bransoletka.

- To wszystko dzieje się tak szybko, Carrie.

Czy przypadkiem za bardzo się nie pośpieszyła? Czy nie pozbawiła ojca tych minut życia, które mogły być jego ostatnimi? Siłą woli odpędziła tę myśl i posłała ojcu serdeczny, dodający otuchy uśmiech. Taki sam, jakim obdarzyła przerażonego Joeya, gdy zakładała mu gips.

- Dzięki temu nie zdążysz się pomartwić. Za tydzień ta sprawa wyda ci się czymś z odległej przeszłości. A co ważniejsze, znów będziesz w dobrej formie. - Mrugnęła do niego porozumiewawczo, choć czuła, jak ściska się jej serce. - Może nawet sobie przypomnisz, gdzie zostawiłeś okulary do czytania.

Skoro córka była w stanie pokpiwać sobie z niego, Josh postanowił wziąć się w garść.

- Mężczyzna musi mieć jakieś wady.

- Tobie nie wolno, Josh. - Wanda usiłowała powstrzymać łzy. - Zawsze byłeś chodzącym ideałem.

- Hej - odparł z udawanym niezadowoleniem - nie mów o mnie w czasie przeszłym. Przecież ciągle tu jestem. I nie zamierzam nigdzie odejść. - Spojrzał na córkę i jego uśmiech nieco zbladł. - Prawda, Carrie?

Powiedział to żartobliwym tonem, lecz Caroline wiedziała, że prosił ją o porcję optymizmu. Dała mu ją bez wahania. Nic więcej nie mogła mu ofiarować.

- Oczywiście, tato. Zostaniesz tu przez parę dni. - Zerknęła na drzwi i zobaczyła analityka z tacą pełną probówek i buteleczek. - Musimy już iść, bo przeszkadzamy. - Łagodnie odsunęła na bok matkę. - Ten pan pobierze od ciebie trochę krwi.

- Znowu? - Josh skrzywił się z niesmakiem. - a nie może użyć tej, którą ze mnie wypompowano w piątek?

- Wykorzystano ją do zrobienia tamtych testów. - Uśmiechnęła się i pocałowała go w czoło. - Nie kłóć się i nie przynieś mi wstydu. Pamiętaj, że ja tu pracuję, więc zachowuj się odpowiednio, słyszysz?

Josh znów chwycił rękę córki. Popatrzył na nią z miną człowieka, który nie wie, co go czeka.

- Będiesz tu jutro rano? Wzruszenie zaczęło dławić ją w gardle.

- Na pewno będę. Obiecuję. Przyjdę, żeby życzyć ci szczęścia. Nie bój się, nie zaczną beze mnie. - Ujęła matkę za łokieć i wyprowadziła ją z pokoju. Na progu Wanda odwróciła się i posłała mężowi całusa. Obie wyszły na korytarz, a analityk usiadł przy łóżku i przystąpił do pobierania krwi, aby ustalić jej grupę.

Dzwonek zabrzączał trzy razy, zanim Caroline zdążyła podejść do drzwi. Wanda Masters siedziała w salonie z kilkoma przyjaciółkami. Caroline zaprosiła je, aby matka trochę się rozerwała i nie myślała o jutrzejszej operacji.

- Sloan?

Jest chyba zmęczona i zdziwiona, pomyślał. Czyżby pomylił dni?

- Przyszedłem nie w porę? Nie umówiliśmy się na dzisiaj?

Z chłopcami została jego matka. W Vegas więcej wygrała, niż przegrała. Jej wspaniały nastrój gwarantował chłopcom udany wieczór. Dzięki temu łatwiej przyjęli wiadomość, że dzisiaj tata nie przywiezie do domu Caroline.

- Tak, rzeczywiście. - Zupełnie zapomniała o tej randce. Przez chwilę była w rozterce. Miała ochotę wyjść ze Sloanem, ale wiedziała, że powinna dotrzymać towarzystwa matce. Chociaż, gdyby jedna z jej koleżanek została trochę dłużej...

Nie, to nie to samo, uznała po krótkim namyśle. Matka jej potrzebowała.

- Strasznie mi przykro, Sloan, ale nie mogę z tobą wyjść. Coś się wydarzyło.

Zauważył przecinającą jej czoło głęboką zmarszczkę.

- Coś złego?

Wolała nie mówić o dręczącym ją problemie.

- Nie, ale...

Nie zamierzał dać się spławić. Dobrze znał sztukę trzymania ludzi na dystans i wynikające z tego konsekwencje. Nie chciał, aby udziałem Caroline stało się poczucie przeraźliwej pustki. Niewątpliwie cierpiała i musiał jej pomóc.

- Przecież widzę, że czymś się gryziesz. I to od twojego powrotu do Bedford. Powiedz, jesteśmy przyjaciółmi?

Spojrzała mu w oczy.

- Tak.

- Przyjaciele powinni umieć ze sobą rozmawiać, prawda? - Delikatnie dotknął jej policzka, co podziałało na nią niesłuchanie kojąco.

Niepewna, i przez moment milcząc, zastanawiała się, co zrobić. Następnie wyszła na ganek i przytknęła drzwi.

- Matkę odwiedziło kilka przyjaciółek. Zaprosiłam je, żeby z nią posiedziały.

Próbował czytać między wierszami, lecz niewiele mu to dało.

- Gdzie jest twój ojciec? Odetchnęła głęboko.

- W szpitalu.

Wypadek samochodowy, pomyślał i natychmiast zaatakowały go straszne wspomnienia. Ledwie nad nimi zapanował.

- Mów, co się stało!

Ta krótka prośba zerwała tamę milczenia. Caroline poczuła pod powiekami łzy.

- Odwiozłam go dzisiaj po południu. Jutro rano ma operację.

- Chcesz opowiedzieć mi wszystko od początku? - Ujął ją za rękę.

Nie, wcale nie chciała o tym rozprawić. Pragnęła mieć to za sobą. Oddałaby wiele, aby życie znów stało się takie jak przedtem.

- Przyjechałam z Albuquerque, ponieważ pewnej nocy zadzwoniła do mnie matka. Była roztrzęsiona, popłakała się. Ojciec podobno zachowywał się dziwnie, miewał zaniki pamięci, zmienne nastroje i inne niepokojące objawy. Ich kompleksowość wskazywała na chorobę Alzheimera.

- Och, Caroline, tak mi przykro. - Nie wiedział, co powiedzieć, ale miał pewność, że nie powinna sama dźwigać ciężaru tego cierpienia. - Dlaczego nic o tym nie wspomniałaś?

- Z uwagi na ojca. Wolał nie robić z tego problemu. Prawdę mówiąc, nie chciał przyjąć do wiadomości, że coś mu dolega. Z trudem wymusiłam na nim zgodę, by poddał się badaniom.

- Można za pomocą testu wykryć chorobę Alzheimera?

- Nie. - Ze współczuciem pomyślała o wyboistej drodze, czekającej innych ludzi. Ale ta, na której znalazł się ojciec, mogła okazać się równie niebezpieczna. - Do tej diagnozy dochodzi się poprzez proces eliminacji.

- Czy on ma Alzheimera?

Podniosła wzrok na iskrzące się gwiazdami niebo. Wyglądało jak obraz. Ile to razy marzyła, aby stać pod takim niebem wraz ze Sloanem? Zakrawało na ironię, że jej marzenie spełniło się właśnie w tak dramatycznych okolicznościach.

- Nie. Ma guz mózgu. Taki, który szybko się powiększa. - Zacytowała słowa neurochirurga: - „Naciska na płat czołowy i może zatopić się w tkance, skąd już nie będzie można operacyjnie go usunąć. Dlatego musimy działać błyskawicznie”. Musimy - powtórzyła, przedrzeźniając samą siebie i westchnęła bezradnie. - Ja nie jestem w stanie nic pomóc. Mogę tylko powtarzać: „Oczywiście, tato, zgódź się na operację”, „Nie martw się, mamó, tata z tego wyjdzie”, „Wszystko będzie dobrze”. - Spojrzała na Sloana, czując się jak

hipokrytka. - Ale nie jest dobrze. Ojciec może umrzeć i ostatnią rzeczą, którą zapamięta, będą moje zapewnienia, że nic złego go nie spotka, że go okłamałam.

Niepotrzebnie tak się zadreczęła, Sloan był o tym przekonany. Przecież to, co robiła, miało sens. Czy nie. zdawała sobie sprawy, że w tej kryzysowej sytuacji okazała się podporą swoich rodziców? Zawsze była altruistką, pomyślał. Dobrze pamiętał, jak próbowała koić jego ból, chociaż sama bardzo cierpiała. Odepchnął ją, ponieważ sądził, że nikt nie zdoła złagodzić jego udreki. Teraz nie zamierzał pozwolić Caroline, aby postąpiła tak samo.

- Wcale go nie okłamałaś - zapewnił. - Staralaś się dodać mu otuchy, żeby nie obawiał się tego, co go czeka.

- Tak, to potrafię. Przecież jestem panna Słoneczko. - Potarła ramiona rękami, bo nagle poczuła chłód, który przeniknął ją do szpiku kości. - A co gorsza, nie mogę płakać. To znaczy nie mogę sobie na to pozwolić. Moja matka jakoś trzyma się tylko dzięki mnie, a mój tato - mój duży, silny ojciec, który zawsze potrafił stawić czoło wszelkim przeciwnościom - chce, żebym karmiła go kłamstwami. Gdybym zaczęła płakać lub w inny sposób okazała słabość, oboje uznaliby, że boję się tak samo jak oni. Nie wolno mi do tego dopuścić. Uzewnętrznienie mojego strachu to luksus, na który mnie nie stać. Ale to nie zmienia faktu, że się boję - szepnęła. - Och, Sloan, jestem przerażona. - Zamrugła, aby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. - Mam już dosyć swojej dzielności, dosyć wskazywania drogi, której sama nie znam. Jestem tym wszystkim potwornie zmęczona. Co mam robić?

- Wesprzyj się na mnie. - Otoczył ją ramieniem. Wiedział, jak to jest, gdy trzeba zmierzyć się z czymś samotnie. Kiedy człowiek zbuduje wokół siebie mur, podświadomie pragnie, aby świat ten mur zburzył. Nie pozwoli, żeby Caroline znalazła się w takiej pułapce. - Teraz możesz płakać. - Wziął ją w ramiona i przytulił.

ROZDZIAŁ 9

Chyba tego nie zniosę, Caroline - szepnęła Wanda Masters. Kurczowo ścisnęła córkę za ramię, wpatrzona w elektronicznie zamykane drzwi, za którymi mieściły się sale operacyjne. Przed chwilą do jednej z nich wwieziono Josha Mastersa. Caroline i jej matka towarzyszyły mu aż do wejścia. Idący z nimi neurochirurg w niebieskim czepku i niebieskim płóciennym stroju miał ponurą minę. Wchodząc na salę, suchym tonem poinformował je, że zobaczy się z nimi po zabiegu. Weiseman uprzedził Caroline, że sposób bycia doktora Shaffera pozostawia wiele do życzenia.

- Przecież nie chodzi o to, aby elegancko się wysławiać. Najważniejsze, że jest doskonałym chirurgiem - orzekł Weiseman.

Caroline przyznała mu rację. Mogła się obyć bez zapewnień wyrażonych w kwiecistym stylu. Wystarczyło jej przeświadczenie, że o życie jej ojca walczy ktoś obdarzony iskrą Bożą.

Stojąca obok niej matka ledwie trzymała się na nogach i przeraźliwie pobladła. Wpijała palce w rękę córki.

- Chyba tego nie zniosę - powtórzyła jękliwie.

Caroline nie zamierzała patrzeć obojętnie na roztrzęsioną matkę. Wiedziała jednak, że samo werbalne wsparcie to za mało. Nadszedł czas, aby Wanda wykrzesła z siebie trochę siły.

- Posłuchaj, mamó, na pewno to zniesiesz. - Wanda zaczęła kręcić głową, usiłując zaprzeczyć w ten milczący, łzawy sposób. Caroline nie miała zamiaru zrezygnować z przekonania matki.

- Jesteś o wiele silniejsza, niż sądzisz, a tata cię bardzo potrzebuje. Musisz mu pomóc - tak jak obiecałaś. Nie wolno ci pozwolić sobie na załamanie. On powinien wiedzieć, że może na ciebie liczyć.

W niebieskich oczach Wandy zabłyśły łzy, gotowe natychmiast spłynąć po policzkach.

- A jeśli on nie... jeśli nie... - Głos jej się załamał, jakby odmawiając wyartykułowania tych przerażających słów.

Caroline usiłowała dostrzec w spojrzeniu matki jakąś oznakę hartu ducha, odrobinę życiowej odporności, którą mogłaby wzmocnić odpowiednią dawką perswazji.

- Tata przeżyje - oświadczyła stanowczo. - Operuje go wspaniały chirurg, ma zapewnioną najlepszą opiekę medyczną. Poza tym jest urodzonym wojownikiem i nigdy się nie poddaje. Bez wątplenia z tego wyjdzie. Musisz w to wierzyć, słyszysz? - poleciła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Zdawała sobie sprawę z tego, że od wczorajszego ranka myślała dokładnie o tym samym, czego obawiała się matka, ale zadreczanie się mogło tylko pogorszyć ich samopoczucie.

Wanda tępo skinęła głową.

- Dobrze - mruknęła, a jej głos zabrzmiał ochryple. - Wierzę.

Wcale nie wierzy, pomyślała Caroline, ale na początek dobre i to.

Rozejrzała się po korytarzu. Wnętrze szpitala zaprojektowano tak, aby sprawiało wrażenie miłego miejsca, gdzie ludzie przychodzą, aby odzyskać zdrowie, a nie umrzeć. Mimo to Caroline uznała, że należy matkę stąd wyprawić. Tutaj wszystko kojarzyło się jej z najgorszymi ewentualnościami. Otoczyła matkę ramieniem i łagodnie skierowała ją w drugą stronę korytarza, byle dalej od elektronicznie zamykanych drzwi.

- Ta operacja potrwa dosyć długo - przypomniała. - Od czterech do sześciu godzin. Jeśli chcesz, wezwę dla ciebie taksówkę. Powiem kierowcy, żeby zawiózł cię do Friedy. - To była najbliższa przyjaciółka matki. Frieda obiecała, że w razie potrzeby zajmie się Wandą podczas trwania zabiegu.

Wanda usiłowała skupić uwagę na słowach Caroline, ale otumaniony strachem umysł nie mógł sobie poradzić z kojarzeniem faktów.

- Taksówkę? - spytała niepewnie. - A gdzie ty będziesz?

- Tutaj, mamo. - Już postanowiła, że zostanie aż do końca operacji, żeby zaraz po jej zakończeniu dowiedzieć się o wynik.

- Zadzwoń do ciebie, gdy ojca przewiozą do sali dla rekonwalescentów. Nie ma sensu, żebyśmy obie tu siedziały. - Wyszły do obszernego holu, minęły kiosk z upominkami i zatrzymały się przy rzędzie wiszących na ścianie automatów telefonicznych.

- Takie bezczynne czekanie jeszcze bardziej cię rozstroi. Tata by tego nie chciał.

- Sala dla rekonwalescentów - powtórzyła Wanda. - Jaka ładna nazwa. Caroline ścisnęła lodowatą dłoń matki.

- Owszem - potwierdziła. - Ładna.

Na dworze mżył deszcz. Caroline pomyślała, że pogoda dostosowała się do ich minorowego nastroju. Zaczekała z matką przed szpitalem na taksówkę, która przyjechała po dwudziestu minutach, a następnie podała kierowcy adres i wcisnęła matce do ręki czterdzieści dolarów na opłatę za kurs i napiwek. Jeśli dobrze znała swoją matkę, to miała ona przy sobie najwyżej jakieś drobne.

Caroline z pewną ulgą odprowadzała wzrokiem odjeżdżający samochód, po czym wróciła do szpitala.

Miała przed sobą długie godziny niepewności. Woląa usiąść, toteż skierowała się do obszernej poczekalni, przeznaczonej dla przyjaciół i rodzin operowanych pacjentów.

Gdy w ramach ostatnich zmian wyposażenia wewnątrz urządzano to duże pomieszczenie, kierowano się wygodą. Usunięto twarde, niewygodne foteliki z pomarańczowego plastyku. Ich miejsce zajęły trzy długie kanapy o skórzanej tapicerce. Otaczały szeroki, niski stolik, na którym leżało sporo ilustrowanych czasopism. Ich strony zapewne przewracano wielokrotnie, lecz prawdopodobnie mało kto cokolwiek czytał.

Wygodna sala tortur, pomyślała Caroline. Zerknęła na wiszący nad atrapą kominka zegar z wyraźną tarczą. Było oczywiste, że trepanacja czaszki potrwa kilka godzin. Dopiero po zabiegu okaże się, czego można się spodziewać. Nie pozostawało nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. Caroline z zadowoleniem stwierdziła, że pokój jest pusty. Nie miała ochoty na banalną pogawędkę z obcymi ludźmi.

- Wszędzie cię szukałem.

Drgnęła i odwróciła się. Przez ułamek sekundy sądziła, że ma przywidzenia. Ale on rzeczywiście tam stał. Jak odpowiedź na modlitwę, której nie zmówiła.

- Sloan. Co tu robisz?

- Rozglądam się za tobą. - Siadł obok niej na kanapie. - Obszedłem cały parter i wjechałem na pierwsze piętro, żeby zajrzeć do pokoju twojego ojca. Poinformowano mnie, że go operują, więc nie pomyliłem się co do terminu.

Patrzyła na niego z wyjątkowo głupią miną i wciąż nie rozumiała, po co tutaj się zjawił.

- Ale jakim cudem... Przecież dzisiaj jest wtorek, prawda? Nie powinieneś teraz być w szkole?

- Już zdałem maturę. - Mrugnął porozumiewawczo, uśmiechając się ciepło. Dobrze, że przyjechałem, pomyślał, przyglądając się Caroline.

Potrzebowała towarzystwa. - Wziąłem wolny dzień - wyjaśnił.

- Dlaczego? - Jej umysł nadal pracował na zwolnionych obrotach.

Czy naprawdę musiała pytać?

- To proste. Uznałem, że w takiej chwili nie możesz być sama. Zamierzam trzymać cię za rękę.

Nie była dzisiaj odpowiednim towarzystwem. Poza tym miała sobie za złe, że wczoraj wieczorem tak się przy Sloanie rozkleiła.

- Przecież masz swoje sprawy. Chłopcy, przedstawienie, lekcje... -

Urwała, bo nie wiedziała, co jeszcze dodać.

Mogła próbować się go pozbyć, ale on nie miał zamiaru jej zostawić.

- Już ci mówiłem, że dziś nie pracuję. Premiera jest dopiero za dwa tygodnie, a próba odbędzie się o czwartej. Chłopcy są pod opieką matki. - Cierpliwie zbił po kolei wszystkie argumenty. Zadowolony z siebie dodał: - Teraz posiedzę tu z tobą, bo to najważniejsza rzecz, jaką powinienem zrobić. - Patrząc w oczy Caroline, przekonał się, że od dawna nie powiedział nic bardziej trafnego. Trochę go to zdziwiło.

- Jak się trzymasz?

- Doskonale, naprawdę świetnie. - Zabrzmiało to fałszywie nawet w jej własnych uszach. Uśmiechnęła się z ironią, świadoma swojej hipokryzji. - Chciałabym ścisnąć twoje palce, dobrze?

- Proszę. Ściskaj do woli, jeśli to ci pomoże.

- Najbardziej pomaga mi twoja obecność. Wiem, jak na ciebie działa szpitalna atmosfera. Dlatego jestem ci jeszcze bardziej wdzięczna. - Słowa, które wypowiadała, wydały się jej beznadziejnie banalne.

Ponieważ nie wzięła jego ręki, więc on ujął jej dłoń. Palce miała zimne jak lód, chociaż w poczekalni było przyjemnie ciepło. Przykrył te zmartwiałe w bolesnym oczekiwaniu palce swoją drugą ręką.

- Mamo? - Caroline osłoniła ucho, żeby nie słyszeć hałasu dochodzącego z kiosku z upominkami.

- Caroline? - Matka bez tchu wymówiła jej imię, a każda jego sylaba emanowała strachem. - Co się stało? Mam przyjechać? O, Boże - jęknęła płacząco - Josh nie żyje, prawda?

Caroline wyrzucała sobie, że nie poprosiła Friedy, aby uspokoiła matkę, zanim poda jej słuchawkę. Była jednak taka podniecona, że nie myślała logicznie.

- Nie, mamo, tata żyje. Operacja się udała. - Zamrugnęła, aby strząsnąć z rzesz łyzy ulgi. - Doktor Shaffer powiedział, że usunęli cały guz. Tata wyzdrowieje.

- Nie będzie zapominał? - Wanda już pozwoliła sobie na myśli o najgorszym i teraz prawie bała się uwierzyć w dobrą wiadomość.

Caroline parsknęła śmiechem. Ojciec czasem zapominał o urodzinach i rocznicach.

- Nie bardziej niż zwykle - odparła i zerknęła za siebie.

Sloan stał przy kiosku, żeby jej nie krępować. Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Gdyby już go nie kochała, to zakochałaby się w nim właśnie dzisiaj. Był taki miły, troskliwy i zdołał ją rozweselić, choć przysięgłaby, że to absolutnie niemożliwe. Nie pomyliła się, gdy wiele lat temu uznała go za miłość swojego życia. Okazał się wspaniałym człowiekiem.

- Mamo, może jeszcze trochę posiedzisz z Friedą? Wolałabym tu poczekać, aż przewiozą tatę do jego pokoju.

Wanda zawahała się, niepewna, co powinna zrobić.

- Nie chcesz, żebym przyjechała? Ojciec się zdziwi, że mnie nie ma.

- Nie, zostań z Friedą. - Caroline sądziła, że dla wszystkich zainteresowanych będzie lepiej, jeśli matka zobaczy ojca dopiero wówczas, gdy odzyska on przytomność. - Doktor mówił, że tata naprawdę obudzi się dopiero wieczorem.

- Czy ty coś przede mną ukrywasz? - W głosie Wandy znów zabrzmiał strach.

Tym razem nie, mamo - odparła w duchu, a głośno zapewniła:

- Skądże. Po prostu trochę cię zastępuję. - Tak jak zawsze, dodała w myśli. - Jest ze mną Sloan - powiedziała po chwili. - Sądziłam, że...

W pewnych sytuacjach Wanda mogła być dumna ze swojego wyczucia.

- Zawsze lubiłam tego chłopca.

Oświadczenie matki rozbawiło Caroline. Sloan skończył trzydzieści dwa lata. Już dawno przestał być chłopcem.

- Masz dobry gust, mamo. Zobaczymy się później.

- Kocham cię, Caroline.

Ta deklaracja całkiem ją zaskoczyła. Caroline nie nawykła do takiej wylewności matki, ale dzisiejszy dzień pod wieloma względami zaliczał się do wyjątkowych.

- Ja też cię kocham, mamo - powiedziała i odwiesiła słuchawkę.

Sloan natychmiast pojawił się obok.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Matka właśnie stwierdziła, że zawsze cię lubiła - oznajmiła nie wiadomo dlaczego.

Na jego wargach przez chwilę igrał uśmiech.

- Twoja matka to mądra kobieta. - Z zadowoleniem zauważył, że w oczach Caroline już nie widać przygnębienia. Niewiele myśląc, otoczył ją ramieniem. Wykonał ten gest tak swobodnie, jak gdyby robił to od zawsze. Lekko odciągnął ją od rzędu telefonów. - Masz ochotę uczcić dobre wieści?

Już i tak czuła się pijana ulgą i euforią. Uroczyste celebrowanie chyba byłoby przesadą. Caroline spojrzała na Sloana, nagle bardzo świadoma jego bliskości. Teraz, gdy najgorsze minęło, wreszcie mogła nacieszyć się tym, że zadał sobie trud, aby ją wesprzeć.

- Jasne. - Prowadził ją do wyjścia, ale zmieniła kierunek i ruszyła w stronę wind znajdujących się na tyłach szpitala. - Tutejsza stołówka serwuje całkiem przyzwoite kanapki z szynką i żółtym serem.

Właśnie mijali kiosk z upominkami. Na małej wystawie leżały pluszowe zwierzaki w jaskrawych kolorach i jedna gustowna koszula nocna.

- No nie - jęknął Sloan. - Stołówka?

Caroline jadała tu podczas dyżurów i z całym przekonaniem mogła polecić te posiłki.

- Zdziwisz się. Ten szpital jest nadzwyczajny pod wieloma względami. - Sloan nadal się wahał, więc wzięła go pod ramię. - Słuchaj, przecież miejsce nie ma znaczenia. Liczy się towarzystwo. Poza tym wiem, ile zarabia nauczyciel. Nawet taki wspaniały jak ty.

Musiał przyznać, że Caroline nigdy nie była snobką. I miała rację. Nie chodziło o jedzenie, tylko o towarzystwo. Lubił z nią przebywać, przy niej czuł się doskonale, nawet jeśli to on ją wspierał.

- Dobrze, niech będzie ucztą w stołówce. W razie konieczności płukania żołądka szybko znajdziemy specjalistów. - Zatrzymali się przy windach i Caroline nacisnęła przycisk. Sloan przesunął wzrokiem po jej twarzy. - Wiesz, że wyglądasz kwitnąco?

- To dlatego, że jestem taka szczęśliwa - odparła. Przez moment szukała odpowiednich słów. Jak dziękuje się komuś za to, że pomógł nam przetrwać trudne chwile? - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Sama dałabyś sobie radę, tak jak zawsze. - Drzwi windy właśnie się rozsunęły. Poczekali, aż ludzie wyjdą, i wsiedli. Byli w niej tylko we dwoje. Winda ruszyła w dół, do piwnicy. - Wydajesz się kwintesencją kruchości, ale jesteś najsilniejszą osobą, jaką znam.

- Kwintesencja kruchości? - powtórzyła ze zdziwieniem.

- Owszem. - Obejrzał ją od stóp do głów. - Masz jakieś sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i ważysz ze czterdzieści osiem kilogramów. W moim pojęciu to oznacza małego kurczaka.

- Mam sto pięćdziesiąt trzy centymetry wzrostu i ważę tylko czterdzieści sześć kilo, ty mądrało.

Parsknął śmiechem.

- Ale różnica, jeden centymetr!

Stała na palcach, żeby udowodnić, jaka jest wysoka. Była rozradowana jak nigdy.

- Jeden centymetr to bardzo dużo. - Kiwnęła głową dla podkreślenia wagi tych słów. - Radzę ci o tym nie zapominać.

To stało się tak szybko, niemal bez jego wiedzy. Nagle górę wzięł instynkt. Usta Caroline znajdowały się bardzo blisko. Byłyby jeszcze bliżej, gdyby pochylić głowę...

Sloan zrobił to i delikatnie dotknął ich wargami. Nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło. Może tak podziałało jej szczęście. Może zapragnął uszczknąć odrobinę dla siebie. Wiedział tylko tyle, że przed chwilą dzielił z nią jej radość, a teraz rozkoszował się słodkim smakiem jej ust.

Zatracił się w tej pieszczocie. Całowanie Caroline stawało się zwyczajem. Bardzo uzależniającym zwyczajem.

- Bratamy się z klientką?

Caroline szybko odsunęła się od Sloana i rozejrzała, zdezorientowana. Pocałunek magicznie przeniósł ją do nowego miejsca w czasie i przestrzeni. Przez moment przebywała ze

Sloanem w cudownej próżni. Tam nie istniały drzwi, które otwierały się w najmniej odpowiednim momencie.

Do windy wszedł doktor Weiseman. Końce jego siwiejących wąsów unosiły się w świadczącym o rozbawieniu uśmiechu.

- Właśnie wypilem kawę, żeby uczcić udaną operację twojego ojca. Doktor Shaffer przekazał mi wiadomość, że wszystko poszło znakomicie. - Weiseman przeniósł wzrok z Caroline na Sloana. - Widzę, że każde z nas cieszy się na swój sposób.

Drzwi windy zaczęły się zamykać. Caroline wreszcie zapanowała nad sobą i szybko nacisnęła przycisk, który je otwierał.

- Doktorze Weiseman, to jest Sloan Walters... eee... mój przyjaciel..

- Miło mi pana poznać, panie Walters... przyjacielu.

Sloan uprzejmie skinął głową i wyszedł za Caroline na korytarz.

- Nie będę mówił, żeby pan o nią dbał, bo chyba już pan to robi. -

Weiseman posłał im porozumiewawczy uśmiech. - Jeszcze jedno, Caroline. - Wsunął dłoń między zasuwające się drzwi. Natychmiast znów się rozsunęły. - Nie musisz wieczorem przychodzić. Pozwoliłem sobie porozmawiać z Paulette. Już wie, że twój ojciec był operowany. Życzy mu dużo zdrowia, a ty masz dzisiaj wolne.

Paulette zajmowała się ustalaniem dyżurów w izbie przyjęć. Wyglądało na to, że Weiseman zna cały personel.

- Dziękuję, ale nie musiał pan aż tak iść mi na rękę.

- Hej, przecież jestem waszym lekarzem rodzinnym - przypomniał. - Powinienem się starać. - Drzwi znów zaczęły się zamykać. - Później zajrzę do twojego taty - obiecał. - Nieoficjalnie.

- Miły człowiek - przyznał Sloan, gdy ruszyli korytarzem w stronę stołówki.

- Wspaniały. - Jej uśmiech podzielał na Sloana podniecająco. Podobnie jak jej pocałunek, przemknęło mu przez głowę. Rezultat był równie oszałamiający. - Nie on jeden.

- Na pewno tego chcesz? - spytał jeszcze raz, gdy wysiadali z jego samochodu. Przywiózł ją ze sobą, lecz nadal miał wątpliwości. - To przecież twój wolny wieczór. - Teraz, gdy stan jej ojca wydawał się stabilny, może wolałaby trochę odpocząć.

Ten wieczór należał do niej i zamierzała spędzić go tak, jak jej się podobało. Wygładziła spódnicę i poczekała, aż Sloan obejdzie maskę auta. Razem ruszyli w stronę schodów prowadzących do budynku szkoły.

- Mój ojciec odpoczywa pod dobrą opieką, matka plotkuje z najbliższą przyjaciółką, a ja jestem winna przysługę swojemu najlepszemu przyjacielowi. Powiedziałeś, że potrzebujesz bezstronnego widza, który oceni waszą sztukę. Gwarantuję ci absolutny obiektywizm.

Otworzył drzwi i przytrzymał je, przepuszczając ją przed sobą.

- Prowadzimy rejestr przysług?

- Nie. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Dopóki ja nie mam w tej dziedzinie zaległości.

Zawsze czuła się niezręcznie, jeśli nie zrewanżowała się za czyjąś uprzejmość. Gdy Sloan napomknął o swoich wątpliwościach dotyczących

obiektywnej oceny uczniowskich wysiłków, uznała, że teraz ma okazję zrobić coś dla niego.

Wiedział, że lepiej się z nią nie spierać.

- Uparciuch z ciebie.

- Podobno - przyznała wesoło. Rozejrzała się wokoło. Wszystko wydawało się takie znajome. Poczula przyływ nostalgii. - Niewiele się tu zmieniło, prawda?

- Owszem. Zamki w szafkach wciąż się zacinają, a potężny brzuch pana Hacketta nadal wisi nad paskiem. - Miał na myśli ich dawnego nauczyciela wychowania fizycznego. - Ale głowa pana Hacketta trochę posiwiiała.

- A pan Cleary wciąż nosi tę okropną peruczkę?

- Już nie. Świeci łysą czaszką. Żona mu powiedziała, że łysina jest bardziej seksowna. Może to prawda. - Sloan był skłonny się z tym zgodzić. - Ale nie w przypadku Cleary'ego. - Otworzył jedno skrzydło czarnych, wyciszonych drzwi prowadzących do sali teatralnej. - Tylko pamiętaj, że próbowałem wyperswadować ci ten pomysł.

- Nie podam cię do sądu, jeśli usnę - zapewniła żartobliwie.

Allison odwróciła się na dźwięk otwieranych drzwi. Siedziała w sali już godzinę. Czekala. Miała nadzieję, że pan Walters przyjdzie na tyle wcześnie, iż w końcu będą mogli być sami. Te plany stały się nierealne, gdy przed kilku minutami zaczęli się schodzić uczniowie. Mimo to Allison ucieszyła się, kiedy Sloan wreszcie się zjawił. Niestety, nie był sam.

- Chyba masz konkurencję - szepnęła Dorothy, jej najlepsza przyjaciółka.

- Co ty tam wiesz - prychnęła Allison i odrzuciła głowę do tyłu, urażona tym komentarzem, ale jej pewność siebie doznała uszczerbku.

Allison przywołała na twarz najbardziej uwodzicielski uśmiech i ruszyła przejściem w stronę przybyłej pary. Z wdziękiem zwinnego kociaka zręcznie wślizgnęła się między Sloana a kobietę.

- Panie Walters, pańska siostra może się rozczarować naszą grą. Musimy jeszcze sporo poćwiczyć.

Sloan trochę wyprzedził dziewczynę. Uznał, że tak będzie bezpieczniej.

- Nie doceniasz swoich osiągnięć - rzucił przez ramię. - A ta pani nie jest moją siostrą. To doktor Masters. Uprzejmie zgodziła się wyrazić opinię na temat naszej inscenizacji.

Postawił teczkę na jednym z foteli pierwszego rzędu. Patrzył na znajdujących się na scenie uczniów, toteż nie zauważył spojrzenia Allison.

Nie umknęło ono uwagi Caroline. Natychmiast je rozpoznała. Przed laty widziała takie samo, gdy patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Nie byłaby istotą ludzką, gdyby nie zrobiło się jej odrobinę żal nastolatki.

- Ty jesteś Allison, prawda? Dziewczyna zerknęła na nią podejrzliwie.

- Tak. Skąd pani wie?

- Pan Walters opowiadał mi o tobie.

Podejrzliwość wyraźnie się wzmogła, czego dowodziła głęboka zmarszczka na czole Allison.

- Podobno świetnie grasz w tej sztuce - wyjaśniła Caroline. - Jego zdaniem, masz wrodzony talent.

Allison przygryzła dolną wargę. Chętnie udowodniłaby Sloanowi, jak bardzo jest utalentowana. Komplement tak czy owak mile polechtał jej próżność.

- Naprawdę tak powiedział?

- Oczywiście. Wspomniał też o tym, że pomagasz Mattowi wejść w jego rolę. - Caroline usiadła na miejscu sąsiadującym z fotelem, na którym leżałateczka Sloana. - Jak ci idzie?

Allison nie potrafiła zdecydować, jak reagować na ten szczery przejaw sympatii.

- Chyba nieźle.

Sloan rzeczywiście mówił jej o tym, że Allison jest dobra oraz o staraniach Matta Prescottta pragnącego stanąć na wysokości zadania, aby nie zawieść Allison.

- Może jesteś zbyt skromna?

Dziewczyna zarumieniła się, trochę zakłopotana.

- Raczej nie... ja...

- Ludzie, na miejsca! - zawołał Sloan. Spojrzał przez ramię. - Ty też, Allison. Przećwiczmy całą sztukę.

- Ale ja nie znam wszystkich moich kwestii - zaprotestowała stojąca z przodu rudawa blondynka.

- Jakoś sobie poradzisz. To przecież nie próba generalna. Po prostu chciałbym nabrać wyobrażenia o całości, przekonać się, które sceny wymagają dopracowania. Jeśli zapomnisz jakieś zdanie, nikt nie postawi cię pod ścianą i nie zastrzeli. - Uśmiechnął się do nich szeroko. - Jeszcze nie - dodał i spojrzał na dziewięcioosobową orkiestrę. - Zaczynamy od uwertury.

Caroline rozsiadła się wygodnie w oczekiwaniu na miłe spędzenie czasu.

ROZDZIAŁ 10

Sloan poczekał, aż wszyscy uczniowie wyjdą z sali. Po próbie omówił te fragmenty sztuki, które należało doszlifować. Podczas przedstawienia często odwracał się w stronę Caroline, aby zobaczyć jej reakcję na niektóre sceny. Za każdym razem wydawało mu się, że jest zachwycona. Niewątpliwie śmiała się w odpowiednich momentach. Uczniowie chyba to zauważyli i dali z siebie wszystko.

Znał Caroline. Może po prostu starała się być uprzejma. Tak czy owak, chciał poznać jej opinię.

- Co o tym sądzisz?

Czy nie zdawał sobie sprawy z tego, że nikogo nie oszuka tą udawaną obojętnością? Sztuka była dla niego bardzo ważna. Właśnie to Caroline zawsze w nim kochała - zaangażowanie, pozytywne podejście do obowiązków i do ludzi.

Cieszyła się, że nie musi kłamać, aby nie sprawić mu przykrości.

- Sądzę, że masz ukryte talenty.

- Pytałem o naszą inscenizację - odparł zaskoczony.

- Właśnie o niej mówiłam. - Poszła za nim bocznym przejściem do tylnych drzwi. - Doskonale obsadziłeś każdą rolę. Jeszcze trochę ćwiczeń i to amatorskie, szkolne przedstawienie nabierze cech profesjonalnej produkcji. - Na twarzy Sloana odmalowała się taka ulga, że Caroline chętnie by go uściskała. - Przecież sam o tym wiedziałeś.

- Nie, miałem tylko nadzieję, że tak będzie. To wielka różnica. - Przytrzymał dla Caroline drzwi. - Czasem najciemniej jest pod latarnią.

Święte słowa, pomyślała.

Parking przed szkołą był prawie pusty. Przy końcu chodnika zatrzymała się jasnozielona furgonetka, do której wsiadły trzy dziewczyny. Caroline

zobaczyła stojącą na schodach Allison. Rozmawiał z nią nastolatek grający Franka Butlera, ale uwaga dziewczyny najwyraźniej była skierowana na nauczyciela.

- Wiesz, co jeszcze myślę? - Caroline wsiadła do samochodu i czekała, aż Sloan zajmie miejsce za kierownicą.

- Co takiego? - Sloan zapiął pas.

Gdy ruszyli, ledwie dostrzegalnie skinęła głową w kierunku Allison.

- Myślę, że ta panna naprawdę się w tobie kocha.

Skrzywił się niezadowolony. Caroline potwierdziła jego obawy. Ostatnio wmawiał sobie, że się myli, że ponosi go wyobraźnia.

- Tak uważasz?

Tu nie było o czym dyskutować.

- Jestem tego pewna.

Na skrzyżowaniu zapaliło się czerwone światło. Sloan z westchnieniem zahamował.

- Może powinienem z nią porozmawiać.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Zwariował czy co? Nie, po prostu jak zwykle górę wzięła jego uprzejmość. Prawdopodobnie wierzył, że łagodną perswazją wybije Allison z głowy romansowe zapęły. Był wspaniałym, przystojnym i wartościowym mężczyzną, lecz musiał jeszcze dużo nauczyć się na temat kobiet.

- I co jej powiesz? Że pochlebia ci jej zainteresowanie? Że gdyby miała o dziesięć lat więcej i nie była twoją uczennicą, to sprawa wyglądałaby inaczej?

Z jej tonu wywnioskował, że nie tędy droga.

- Mniej więcej, chociaż innymi słowami.

- Bardzo złe posunięcie.

- Dlaczego? - Jemu wydawało się całkiem racjonalne. Usiadła wygodniej, bo światło zmieniło się na zielone.

- Ponieważ za niecałe dwa miesiące, po maturze, Allison przestanie być twoją uczennicą. I wówczas zapewni cię, że różnica wieku nie ma dla niej znaczenia. Wtedy wpadniesz w tarapaty. Radziłabym ci po prostu ignorować jej awanse. - Zerknęła na niego z dziwnym uśmiechem. - Bądź sobą. Nie zauważaj, co się dzieje.

Przez chwilę walczył z wielką ciężarówką - chłodnią o miejsce na pasie. Chłodnia wygrała, ale zaraz ją wyprzedził.

- Sugerujesz, że nie widzę różnych rzeczy?

Jej śmiech był odpowiedzią, zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić.

- Jesteś typem, który nie zobaczy w lustrze swojego nosa, jeśli akurat nie będzie go szukał. - Osobiście doświadczyła słuszności tego stwierdzenia. Znała go, zanim pojawiła się Julie. Kochała go, zanim pokochała go Julie. Ale on nie miał o tym pojęcia. Poznał miłość dopiero wtedy, gdy pojawiła się przed nim w całej swojej krasie - z falistymi, czarnymi włosami i przejrzystymi, zielonymi oczami o najdłuższych rzęsach, jakie kiedykolwiek Caroline widziała.

- Dzięki - prychnął. Przemknęli przez kolejne skrzyżowanie, tuż przed zmianą świateł. - Ciekawe, kiedy stałaś się takim ekspertem w dziedzinie młodzieżowych romansów?

To pytanie nie powinno jej zaskoczyć. Skierowała wzrok przed siebie i powiedziała lekkim tonem:

- Dawno. Sama kiedyś podkochałam się w pewnym panu.

- Kątem oka dostrzegła, że spojrzał na nią, najwyraźniej zaciekawiony. Pewnie sądził, że wie o niej wszystko. Co właśnie dowodziło, jak mało wiedział.

- W kim?

Zbyła go nonszalanckim wzruszeniem ramion.

- To bez znaczenia.

- Nie dla mnie. - Zwolnił, usiłując przypomnieć sobie wszystkich nauczycieli, którzy uczyli ich w średniej szkole. Żaden nie wydawał się odpowiednim kandydatem. - Przyznaj się, Caroline, który belfer przyprawił cię

o przyspieszone bicie serduszka? - Nie odpowiadała, więc celowo wymienił tego, którego nie wybrałaby żadna dziewczyna. - Pan Hackett?

- Daj spokój. - Nigdy nie zdołała pojąć, jakim cudem ten człowiek znalazł kobietę, która zechciała za niego wyjść. Co prawda, nie wiadomo, jak wyglądała pani Hackett. Może z nich dwojga to on był tą piękniejszą połową. - Poza tym nie chodziło o nauczyciela.

Dlaczego, do diabła, palnęła takie głupstwo? Sloan powinien mieć przeświadczenie, że nie różniła się od Allison.

- Ach, nieszczęśliwa miłość. To jeszcze bardziej interesujące. - Skręcił i wjechał na swoją uliczkę.

- Skądże - zapewniła. Dobrze wiedziała, jakie pytania kłębią się teraz w jego głowie. Z ulgą wskazała dłonią dom Sloana.

- Jesteśmy na miejscu. - W samą porę, dodała w myśli.

Sloan nie zamierzał się poddać.

- Hej, Caroline, powiedz mi, kto to był? - Wsiadł z samochodu i czekał na nią. - Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

- Jeśli chcesz, żebyśmy nimi pozostali, to przestań mnie o to pytać. - Wskazała kciukiem wejście. - Otwieraj, żebym mogła powitać moich fanów.

Wyjął pęk kluczy i zaczął szukać tego do frontowych drzwi. Caroline miała za sobą ciężki dzień. Chyba raczej powinna wrócić do siebie i trochę odpocząć.

- Na pewno to zniesiesz? - spytał. - Może lepiej odwiozę cię do domu?

- Teraz? Gdy dwaj mali mężczyźni za chwilę rzucają mi się na szyję i oświadczą, że za mną tęsknili? - Wyjęła mu klucze z ręki i wsunęła jeden z nich do zamka. - Nie ma mowy. Wiem, co ci chodzi po głowie. Chcesz sam cieszyć się nimi jak ostatni egoista.

Większość ludzi szybko czuła się zmęczona towarzystwem chłopców. Nawet jego matka po jednym dniu z nimi bywała wykończona, chociaż potrafiła

trzymać ich w ryzach. A Caroline nie mogła się doczekać, kiedy ich zobaczy. Ten fakt wzruszył Sloana bardziej, niż chciałby przyznać.

Położył dłoń na palcach Caroline, gdy zaczęła przekreślać gałkę. Spojrzała na niego pytająco.

- Wiesz, że jesteś zadziwiająca?

- Ciągłe mi to powtarzasz.

A pewnego dnia, jeśli będzie miała bardzo, bardzo dużo szczęścia, on zapewni ją o tym jeszcze jeden raz. Wtedy powie to inaczej, ponieważ będzie ją podziwiał nie za to, że ona tak wspaniale radzi sobie z dziećmi, nie za to, że potrafi zachować spokój w trudnej sytuacji, ani nawet nie za to, że stała się asertywna w wieku osiemnastu lat. On powie te słowa, ponieważ zobaczy w niej kobietę o wielu zaletach, za które ją pokocha.

Marzenia...

Nagle drzwi otworzyły się na oścież, pociągnięte od środka. Joey zagipsowaną ręką odepchnął Danny'ego i pierwszy uwiesił się u talii Caroline. Nawet nie zauważył, że niechcący ją potrącił.

- Psysłaś do nas!

- A ty seplenisz. - Ujęła go pod brodę i zajrzała do buzi. Jej podejrzenia okazały się słuszne. - Zgubiłeś ząbek, Joey,

Przecząco potrząsnął głową i sięgnął do kieszeni.

- Nie, nie zgubiłem. Jest tutaj. Zobac. - Z dumą uniósł ząb, który przedtem sam opłukał.

Danny skrzywił się z niesmakiem.

- Szczęściarz - mruknął.

Zwabiona zamieszaniem, pojawiła się Joan Walters.

- Joey i jego gips byli w centrum uwagi - wyjaśniła. Pieszczotliwie zmierzwiła włosy drugiego wnuka. - Dlatego Danny czuje się dzisiaj trochę ignorowany. - Powitała uśmiechem kobietę, którą przyprowadził syn. Uśmiech

wyglądał identycznie jak ten na ustach Sloana. Poza tym rodzinne podobieństwo prawie nie istniało. - Dzień dobry, Caroline. Jak miewa się twój ojciec?

Caroline doceniła to zainteresowanie.

- Dziękuję, doskonale. Lekarze twierdzą, że całkiem wyzdrowieje. - Cudownie, że mówiąc te słowa, mogła w nie wierzyć. - A co do ciebie, młody człowieku... - Spojrzała na Danny'ego, objęła go i przytuliła. - To chyba wiesz, że nigdy nie jesteś ignorowany? Starsi bracia zawsze są bardzo ważni. Przypomnij sobie, jak zadbałeś o Joeya po wypadku. Myślisz, że to się nie liczy?

- Dla kogo?

Zanim odpowiedziała, spojrzała na Sloana.

- Dla wszystkich, którym na tobie zależy. - Drugą ręką przyciągnęła do siebie Joeya. - A teraz, moi mili, chodźmy sprawdzić, co mamy w lodówce dla waszego taty. Był dzisiaj naprawdę dobrym harcerzykiem.

- Nie wiedziałem, że tata jest harcerzem - zdziwił się Danny.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha i przez ramię zerknęła na Sloana. Rzeczywiście bardzo jej dzisiaj pomógł. Fakt, że miała przy sobie kogoś bliskiego i mogła trzymać go za rękę, wiele znaczył.

- Mówię w przenośni - dodała.

- Co to znaczy? - zapiszczał Joey. Ruchem głowy wskazała kuchnię.

- Chodźcie mi pomóc, to wam wyjaśnię. - Wyprowadziła obu chłopców z pokoju.

- Trudno uwierzyć, że to Caroline Masters. - Joan włożyła sweter, szykując się do wyjścia. - Zapamiętałam ją jako szarą myszkę. Ludzie się zmieniają.

Sloan podał matce torebkę.

- Chyba tak - przyznał.

Jacy ci mężczyźni są ślepi, pomyślała Joan, słysząc tę banalną uwagę. Sloan prawdopodobnie nawet się nie domyślał, że Caroline jest w nim zakochana. Oby w końcu przejrzał na oczy. Jeśli tak się nie stanie, to będzie

trzeba mu pomóc. Joan zamierzała popchnąć go w odpowiednią stronę. W życiu Sloana powinna pojawić się taka kobieta jak Caroline.

Caroline pociągnęła kolejny łyk ponczu. Jego moc sugerowała, że przygotowująca go osoba uznała rum za ważny składnik napoju. Podobnie zdarzyło się kiedyś podczas szkolnej potańcówki. Dyrektorka przeprowadziła śledztwo, ale winowajcy lub winowajców nie udało się wykryć. Ich wyrób smakował prawie tak samo dobrze jak ten.

- Naprawdę zamierzasz to zrobić? - spytał Sloan.

Pozwoliła ponczowi spłynąć wzdłuż gardła i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Chyba pobiję rekord najkrótszej kariery w izbie przyjęć Szpitala im. Harrisa. Oczywiście pozostanę członkiem personelu - odstawiła szklanke na blat bufetu za swoimi plecami - ale nie będę dyżurować w izbie przyjęć. Chyba że ktoś mnie o to poprosi - dodała.

Pracowała w szpitalu niewiele ponad tydzień. W tym czasie z powodu operacji ojca wzięła jeden wolny dzień i złożyła w dyrekcji podanie. Podjęła ważną decyzję dotyczącą swojej przyszłości. A przynajmniej jej części.

- To znaczy, że zostajesz w Bedford na stałe? Skinęła głową.

Sloan zastanawiał się, czy ciepło, które poczuł, miało jakiś związek z odpowiedzią Caroline, czy z drugą szklanką ponczu, którą właśnie wypił. Podejrzewał raczej to pierwsze. Trochę go to zaniepokoiło, choć nie wiedział, dlaczego.

- Co skłoniło cię do zmiany planów? Między innymi ty, głuptasie.

- Moi rodzice się starzeją - wyjaśniła z najbardziej obojętną miną, na jaką mogła się zdobyć. - Więc wolę mieszkać w pobliżu, niż rzucać wszystko i jechać przez dwa stany za każdym razem, gdy coś się wydarzy.

Co prawda, nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie pojawią się jakieś problemy. Ojciec odzyskiwał zdrowie szybciej, niż przewidywał neurochirurg, choć wolniej, niż sam by sobie życzył. Ale ojciec zawsze wiele od

siebie wymagał. W miarę jak poprawiał się jego stan, matka także radziła sobie coraz lepiej. Dzisiaj Caroline skłoniła ją do samodzielnego zbilansowania książeczki czekowej. Na niwie domowej wszystko rzeczywiście układało się znakomicie.

Ta niemal modelowa sytuacja sprawiała, że Caroline zaczynała tęsknić za domem już na samą myśl o wyjeździe.

- Poza tym powrót do Bedford uświadomił mi, że to miejsce ma dla mnie ogromne znaczenie. Lubię Bedford. Podoba mi się kierunek, w którym się rozwija. Chcę móc to obserwować, żeby za dziesięć lat nadal rozpoznać każdy kąt.

- To wspaniale! - Sloan nie pamiętał, kiedy jakaś wiadomość sprawiła mu tak wielką przyjemność.

Caroline łatwo mogłaby dać się ponieść jego entuzjazmowi, ale nie pozwoliła sobie na to. Musiała panować nad emocjami. Trudniej znieść rozczarowanie, gdy spada się z wysoka. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, aby troszkę Sloana wybadać.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście. Danny i Joey będą zachwyceni. Bardzo do ciebie przylgnęli. Nikt nigdy nie przypadł im do gustu tak bardzo jak ty.

Danny i Joey będą zachwyceni. To jej nie zaskoczyło. Teraz zaś chętnie by się dowiedziała, co o jej planach sądzi ich tatuś. Przygryzła wargi, żeby natychmiast go o to nie spytać.

- Cóż, przecież nie jestem dla nich kimś obcym. Sloan miał na ten temat inne zdanie.

- Do tej pory byłaś prawie obca. Po maturze odwiedziłaś Bedford najwyżej kilkakrotnie.

Ze wzrokiem utkwionym w taneczny parkiet wzruszyła ramionami. Zespół składający się z osób tworzących kiedyś szkolną orkiestrę właśnie grał składankę romantycznych melodii. Pan Hackett obracał w tańcu panią Jenkins.

Trzymał ją na tyle blisko, na ile pozwalał mu jego brzuch. Pani Jenkins zносиła to ze stoickim spokojem, a jej partner świetnie się bawił. Można by pomyśleć, że to przyjęcie na jego cześć.

- Nie liczyłam, ile razy.

Dziesięć. Byłam tu dziesięć razy, z czego raz na twoim ślubie, dodała w myśli. Później jej wizyty stały się jeszcze rzadsze. Na ogół odwiedzali ją rodzice. Większość świąt spędziła z ojcem i matką w Los Angeles. Wolała takie rozwiązanie.

Nie próbował uściślić jej odpowiedzi.

- Cóż, najwyżej kilka. Joey i Danny nigdy nie mieli okazji lepiej cię poznać. Poza tym dawniej byłaś dużo bardziej nieśmiała.

Skoro zwróciłeś uwagę na moją nieśmiałość, to dlaczego nie zauważyłeś, że byłam w tobie zakochana, zanim ty pokochałeś Julie? - tę uwagę wygłosiła w duchu.

To są jałowe rozważania, pomyślała. Nie zmienisz przeszłości, powiedziałaaby matka. Sloan ani wtedy, ani teraz nie zdawał sobie sprawy z tego, że Caroline, szkolna koleżanka, nieprzytomnie się w nim kocha. Pocałował ją, ale nawet to nie uświadomiło mu, jak na nią działa.

Westchnęła, zła na siebie. Niepotrzebnie się zamartwiała, roztrząsając sprawy, na które nie miała żadnego wpływu. Widocznie to miejsce wywierało taki wpływ. Ożywiało wspomnienia.

Miejsce wybrała pani Jenkins, gdy dowiedziała się, że grono pedagogiczne zamierza urządzać dla niej pożegnalne przyjęcie. Oświadczyła wówczas stanowczo, że przyjdzie tylko pod jednym warunkiem - jeśli przyjęcie odbędzie się w sali gimnastycznej. Przez wiele lat siadywała tu na drewnianych ławkach. Zawsze dopingowała do walki zespół koszykarski Bedford Panthers, gdy rozgrywał mecze na swoim boisku. Jej osoba była stałym elementem wszystkich sportowych rozgrywek. I tak miało pozostać, czy się to komuś

podobało, czy nie, ponieważ międzyszkolne zawody, koncerty i przedstawienia bez reszty wypełniały jej życie.

Sloan żałował, że nie można otworzyć okna. W sali panował tłok i pewnie dlatego brakowało powietrza. Tylko w ten sposób mógł wytłumaczyć fakt, że miał pewne trudności z oddychaniem i czuł się trochę oszołomiony.

A może należało winić za to perfumy Caroline? Ich aromat kojarzył się Sloanowi z kwiatami na łące. Otumaniał umysł i zmysły, aby mężczyzna nie mógł zebrać myśli.

Muzyka nie stanowiła zagrożenia. Sloan zawsze doceniał jej uroki. I od bardzo dawna nie tańczył. Spojrzał na Caroline.

- Chcesz pokreć się po parkiecie? - zapytał. Niepewnie zerknęła na kilka par.

- Mówisz o tańcu?

- Chyba że wolałabyś podryblować i parę razy rzucić piłkę do kosza.

Z tym nie miałyby kłopotów. Brat jej koleżanki z akademika dorabiał jako koszykarz znanej drużyny. Nauczył siostrę i jej przyjaciółkę niektórych zagrań.

- Lepiej drybluję, niż tańczę.

- Czyżby znów nieśmiała Caroline? - Sloan uniósł brwi z udawanym zdziwieniem. Ujął ją za rękę. - Chodź, to żadna sztuka. - Wziął ją w ramiona. - Ja poprowadzę.

Za każdym razem, gdy ją obejmował, odnosiła wrażenie, że jej miejsce jest właśnie w jego ramionach. Złudzenia, pomyślała. Słodkie złudzenia...

- Miałam nadzieję, że to zrobisz.

Położył dłoń na talii Caroline i zaczął się poruszać w wolnym rytmie melodii. Zupełnie nie zwracał uwagi na to, co wyczyniają jego nogi. W tej chwili ważne było tylko to, co wyczynia z nim bliskość lekko przytulonej Caroline.

Położył jej dłoń na swoim torsie.

- Widzisz, jakie to łatwe?

Niezupełnie, uznała, ponieważ przenikało ją rozkoszne ciepło. Jej ciało delikatnie ocierało się o ciało Sloana, kiedy kołysała się w takt muzyki wsączającej się we wszystkie zakamarki duszy.

Czyje serce biło tak głośno? Jego czy jej?

Prawdopodobnie moje, stwierdziła.

- Rzeczywiście łatwizna - powiedziała cicho i spojrzała mu w oczy.

Ciekawe, czy ona także to czuje. Czy zdaje sobie sprawę z tego iskrzenia, które zawsze dawało o sobie znać, ilekroć znajdowali się tak blisko siebie? A może to tylko wytwór jego wybujałej wyobraźni?

A w ogóle co go dzisiaj opętało? Całował ją, szukał pretekstów pozwalających trzymać ją w objęciach... To wszystko zupełnie do niego nie pasowało.

Na miłość boską, przecież to tylko Caroline. Zna ją od tylu lat. Jest przyjaciółką. Jest...

Nieoczekiwanie uświadomił sobie, że jest piękna. Miała na sobie prostą, szaroniebieską sukienkę, końce brązowych włosów muskały odsłonięte ramiona, a zapach perfum przyprawiał o zawrót głowy. Tak, Caroline jest piękna.

Dlaczego nigdy tego nie zauważył?

Nagle przypomniał sobie, co niedawno powiedziała: „Jesteś osobnikiem, który nie zobaczy w lustrze swojego nosa, jeśli akurat nie będzie go szukał”. Czyżby tak wyglądała prawda? Czyżby potrafił coś dostrzec tylko wtedy, gdy się za tym rozglądał?

Ale teraz przecież niczego nie szukał. Owszem, czuł się samotny, ale na pewno nie pragnął znaleźć nowej miłości. Przeżył jedną - idealną - i to mu wystarczyło.

Powinno wystarczyć.

Muzyka nabrała tempa, więc kilkakrotnie obrócił Caroline i przyśpieszył. Z zadowoleniem skonstatował, że świetnie dała sobie radę i dotrzymała mu kroku.

Skoro nic nie chciał zmieniać w swoim życiu, to dlaczego chodziły mu po głowie te wszystkie myśli? Dlaczego niespodziewanie pojawiały się te niezrozumiałe pragnienia, które działały na niego zniewalająco? Dlaczego całowanie Caroline wprawiało go w stan takiej szczęśliwości, że za każdym razem chciał jeszcze więcej?

Skoro był taki zadowolony, to dlaczego wciąż się zastanawiał, co by się działo, gdyby całkiem w niej się zatracił? Gdyby wdychał aromat jej włosów, gdyby powoli pokrywał pocałunkami każdy centymetr jej ciała, gdyby kochał się z nią tak długo, że w końcu przestałby go dręczyć ten dojmujący głód.

Patrzył na nią tak dziwnie.

- O czym myślisz? - spytała.

Pytanie przerwało jego zadumę. Sloan odchrząknął, bo całkiem zaschło mu w gardle i trochę się speszył. Czy Caroline dostrzegła coś w jego oczach? Chyba nie. Gdyby wyczytała z jego spojrzeniu targające nim rozterki, to z pewnością zażartowałyby na ten temat. Caroline nigdy nie pomyślałaby o nich dwojgu jako o porze. Nie mówiąc już o kochankach.

Niedorzeczny pomysł. Naprawdę tak sądził.

Szybko odzyskał mowę.

- Właśnie pomyślałem, że szybko się uczysz.

Oczywiście. A ona przez jedną króciutką, bezcenną sekundę przypuszczała... miała nadzieję, że... Znow okazała się idiotką.

- To jeden z wielu moich talentów - zaszcebiotała. I natychmiast się odwróciła, żeby ukryć smutek, który nią owładnął. - O, tam stoi pani Jenkins. Chodźmy zamienić parę słów z honorowym gościem.

Pociągnęła go za sobą, zanim zdążył odpowiedzieć. Musiała to zrobić. Była to kwestia przetrwania. Bliskość Sloana okazała się bowiem i niebem, i piekłem. Niebem, ponieważ znajdował się tuż obok, a piekłem, bo nie ulegało wątpliwości, że on z własnego wyboru na zawsze pozostanie tylko przyjacielem.

Czy to nie powinno wystarczyć?

Nie, zapewniło jej podniecone ciało.

Pani Jenkins właśnie odesłała pana Hacketta do jego małżonki. Caroline popatrzyła na nią i bardzo się zdziwiła.

Żona trenera okazała się śliczną, drobną kobietką. Caroline uśmiechnęła się do siebie. Widocznie pan Hackett miał wiele ukrytych zalet. Lekko dotknęła ramienia swojej dawnej nauczycielki.

- Pani pewnie mnie nie pamięta, ale...

Mary Jenkins spojrzała na nią ponad wąskimi szklami okularów.

- Caroline Masters. Trzeci rząd, środek. Wyładniałaś. - Zerknęła na młodego mężczyznę, któremu kiedyś wystawiła fatalną, lecz zasłużoną opinię. Dojrzał, pomyślała zadowolona, jak gdyby przyczyniła się do tego. - Prawda, Sloan?

Całkowicie się z nią zgadzał.

- Wyjęła mi to pani z ust - odparł z uśmiechem.

Ta odpowiedź wprawiła Caroline w zakłopotanie. Należało szybko wziąć się w garść, toteż skupiła uwagę na pani Jenkins. Ta kobieta potrafiła człowieka zadziwić.

- Powinnam albo zarumienić się z powodu tego komplementu, albo podziwiać pani wspaniałą pamięć.

Nauczycielka wybrała za nią.

- Oczywiście tylko podziw ma sens. Rumieniec to kompletna strata czasu - odparła, machnięciem ręki wyrażając lekceważenie dla tego zjawiska. - Chyba że rumienisz się w towarzystwie mężczyzny, któremu się to podoba. - Zerknęła na Sloana.

Już miał powiedzieć, że na nim rumieniec kobiety nie robi wrażenia, ale się nie odezwał, ponieważ minąłby się z prawdą. Lubił, gdy kobieta się czerwieni, a szczególnie kiedy robi to Caroline.

Starsza pani przekrzywiła głowę. Przez chwilę w milczeniu przyglądała się Caroline. Przypominała teraz ptaka, który wpatruje się w szyszkę pełną smakowitych nasionek.

- Słyszałam, że jesteś pediatrą. Bedford obfituje w małe dzieci. - Po jej twarzy przemknął cień smutku. - Dzieci, których już nie będzie mi dane uczyć. - Nie odrywała jastrzębiego spojrzenia od Caroline. - Co o tym sądzisz?

- Proszę? - Czyżby czegoś nie dosłyszała?

- W klasie twoja uwaga zawsze była bez zarzutu, ale powtórzę pytanie. Co sądzisz o powrocie do Bedford i podjęciu praktyki lekarskiej tutaj?

Caroline wyraźnie się zmieszała. Sloan natychmiast przyszedł jej z pomocą.

- Prawdę mówiąc, Caroline poważnie zastanawia się nad takim posunięciem.

Ta wiadomość ucieszyła panią Jenkins. Kiwnęła głową z takim entuzjazmem, jaki okazywała niezmiernie rzadko.

- Doskonale. - Posłała Sloanowi wiele mówiące spojrzenie. - Dobrze się spisałeś.

- To nie moja zasługa - oświadczył z przekonaniem. Mina pani Jenkins dobitnie świadczyła o tym, że nauczycielka ma odmienne zdanie.

- Skoro tak uważasz, Sloan. - Znów popatrzyła na Caroline. - Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek pogodziłaś się z faktem, że dwie linie równoległe łączą się ze sobą w nieskończoności?

Caroline już dawno zapomniała, że kiedyś ten koncept spędzał jej sen z powiek. Kontrowersyjna teza stała się jednym z nielicznych powodów kwestionowania przez Caroline mądrości nauczycieli.

- Jeszcze nie - przyznała - ale oswajam się z tą myślą. Pani Jenkins skinęła głową.

- To wystarczy. Postaraj się też maksymalnie wykorzystać życie, które ci dano. Jest niesłychanie cenne i równie ulotne.

Caroline i Sloan milczeli, zakłopotani. Mary Jenkins przez kilka sekund studiowała ich twarze. W końcu podjęła decyzję.

- Czy kiedykolwiek zastanawialiście się, dlaczego tyle czasu spędzałam w szkole?

Caroline zerknęła na Sloana. Oboje poczuli się trochę niezręcznie.

- Chyba dlatego, że lubiła pani uczniów - zaryzykowała Caroline.

- Oczywiście. Ale zasadniczą przyczyną był fakt, że w domu nikt na mnie nie czekał. W młodym wieku straciłam męża i jedyne dziecko. - Nie rozwinęła tego tematu. Szczegóły musiały pozostać tylko w jej sercu. - Nie powiedziałam tego po to, żebyście mi współczuli - dodała szybko, zjeżona wyrazem, który dostrzegła w ich oczach. - Ze wszystkich uczuć najbardziej nie znoszę współczucia. Potraktujcie moje słowa jako przestrożę, aby kiedyś nie okazywano go wam. Lub, co gorsza, abyście nie zaczęli uważać się sami nad sobą. Maksymalnie wykorzystajcie dane wam życie - powtórzyła. - Starajcie się chwycić nawet to, co wydaje się poza waszym zasięgiem. - Wyprostowała się, zadowolona z tego, że wyraziła swój punkt widzenia. - A teraz wybaczenie, że was zostawię. Pójdę zanudzić kogoś innego. - Obróciła się na pięcie i odeszła.

ROZDZIAŁ 11

Sloan bawił się na pożegnalnej imprezie znacznie lepiej, niż przypuszczał. On i Caroline pozostali prawie do końca przyjęcia. Byli jedną z trzech ostatnich wychodzących par.

Byli jedną z par. Dziwnie to brzmiało, nawet przy założeniu, że to tylko okazjonalna sytuacja. Może dlatego poczuł się taki zaskoczony, gdy dzisiaj ktoś nazwał ich parą.

Zrobił to Ed Hackett, zanim porwał Caroline do tańca.

- Nigdy nie sądziłem, że ujrzę was dwoje jako parę - oświadczył. - Chyba dlatego, że dawniej nie wyglądałaś tak jak teraz. - Nauczyciel wychowania fizycznego zachichotał, zerkając na nią.

Potraktowała go ze swobodą salonowej lwicy. Sloan nie mógł się nadziwić. Caroline nigdy nie radziła sobie dobrze w szerszym gronie. Kiedy nabrała tej imponującej towarzyskiej ogłady? Zastanawiał się nad tym, gdy Hackett pociągnął ją na parkiet. Poza tym chyba nie był zadowolony z faktu, że trener przytula ją do siebie. Tak, to Sloana rzeczywiście zirytowało. Sam nie wiedział, dlaczego. Ostatnio często sam siebie nie rozumiał. Zaczęło się to wtedy, gdy po raz pierwszy spotkał Caroline po jej przyjeździe do Bedford.

Teraz, gdy wycofywał samochód ze szkolnego parkingu, przypomniał sobie słowa Hacketta. Sloan Walters i Caroline Masters. Para.

Odrzucił tę niedorzeczną ideę, ale nie tak szybko jak poprzednim razem. Nie tak szybko, jak chyba powinien to zrobić.

Dlaczego?

Czy dlatego, że przez krótką chwilę podobało mu się, że jest połową pary? Połową harmonijnej całości? Od tak dawna był połową samotną i pragnienie, aby znów do kogoś należeć i przestać cierpieć, nie zmniejszyło się ani na jotę. Po prostu nigdy nie chciał tego przyznać, nawet przed samym sobą.

Westchnął i skręcił, bo zapaliła się zielona strzałka. Podskakujące przed maską żółto-białe światła oświetlały tablicę rejestracyjną samochodu z odległego stanu. Hawaje. Nawet ludzie mieszkający w raju chcieli pojechać gdzieś indziej, aby się przekonać, czy tam nie jest lepiej. Może istniało więcej rajów niż jeden. Czy to możliwe?

Zerknął na Caroline.

Tymczasem ona cieszyła się, że przyjęła propozycję Sloana i wzięła udział w przyjęciu. Marzyła, aby nigdy się nie skończyło. Czy tak czuł się Kopciuszek, zanim na zegarze wybiła północ? Prawdopodobnie. Ona dziękowała losowi za ten dzisiejszy krótki wieczór.

Pragnęła jednak więcej.

To przejaw niedoskonałości ludzkiej natury, pomyślała z filozoficznym spokojem. Człowiekowi zawsze wszystkiego mało. Trudno mu dogodzić.

Milczenie w towarzystwie Caroline nigdy mu nie wadziło. Tym razem domagało się odrobiny muzyki. Sloan nacisnął przycisk włączający radio. Rozległ się ogłuszający pisk, więc błyskawicznie zmniejszył natężenie głosu.

- Joey znów zmieniał stacje - wyjaśnił. Na moment oderwał wzrok od drogi. Wyszukał ulubioną stację i wyregulował głośność. Wnętrze auta wypełniła wpadająca w ucho, rytmiczna melodia. Niemal zapraszała do tańca.

Sprawiła, że pomyślał o tej, którą grano wtedy, gdy podszedł do nich pan Hackett. Sloan parsknął śmiechem.

- Co cię tak rozbawiło? Czy to tajemnica?

Spojrzał na nią, ciągle chichocząc. Hackett i ona tworzyli na parkiecie naprawdę zabawny duet. Zupełnie do siebie nie pasowali.

- Warto było zapłacić składkę, żeby zobaczyć w tańcu ciebie z Hackettem.

Nie obrazila się z powodu tej uwagi.

- Nie miałam pojęcia, że moje ramiona mogą się aż tak rozciągnąć. - Dosyć lubiła trenera. Natomiast jako lekarka mogła niepokoić się jego zdrowiem. - On rzeczywiście nie wygląda jak wzór sportowca.

- Nie jest sportowcem, tylko trenerem. Cholernie dobrym, nawiasem mówiąc. Poza tym właściwie nie ma nadwagi, tylko ten niesamowity brzuch psuje mu sylwetkę. - Pokiwał głową. Fizyczna budowa niektórych ludzi daleko odbiegała od klasycznego piękna.

Caroline nagle przypomniała sobie rozmowę, którą przed laty przypadkiem podsłuchała.

- Czy Hackett nadal zachęca uczniów do boksowania jego brzucha, aby się przekonali, jak jest twardy? - Trener chyba też wkraczał w wiek emerytalny i nie powinien za bardzo ryzykować.

- Czy zachęca? - Sloan znów się roześmiał. Hackett kusił nawet jego, ale Sloan odmówił. Powiedział Hackettowi, że mu wierzy na słowo. Inni nie dawali się długo prosić. - Do licha, on wręcz prowokuje. To dla niego powód do dumy. Hackett chce udowodnić wszystkim młodzikom, że nadal trzyma formę. Trzeba przyznać, że to prawda. Nie chciałbym stanąć mu na drodze.

Duma i mężczyźni, pomyślała Caroline. Zawsze wszystko sprowadzało się do dumy. Ojca prawie kosztowała życie, ponieważ nie pozwalała na wizytę u lekarza. Matka nie chciała nadwerężyć tej dumy, więc nie nalegała. A przecież ta głupia duma nie nadawała się na substytut życia człowieka lub jego zdrowia.

Jaka ona milcząca, pomyślał Sloan. Dlaczego? Czyżby wyczuła powody jego zadumy? Chyba nie. Przecież dobrze ją znał. Na pewno powiedziałyby coś na ten temat.

Zerknął na nią, wdzięczny losowi za to, że zjawiała się w Bedford i że ją spotkał. Ostatnio dręczyły go trudne do sprecyzowania wątpliwości. Często miał wrażenie, że nie wie, gdzie jest jego miejsce. Dokuczało mu to nawet bardziej niż tuż po... Nie dokończył tej myśli. Wiedział tylko tyle, że było mu trudno odnaleźć się we własnym życiu, dopóki nie wkroczyła w nie Caroline.

- Dzięki, że poszłaś dziś ze mną. Bez ciebie ten wieczór na pewno nie sprawiłby mi takiej przyjemności.

Powiedział to szczerze, uznała, ale podziękowanie nie zawierało żadnego obiecującego podtekstu. Sloan po prostu wyraził zadowolenie, ponieważ uznał jej towarzystwo za miłe. Czy to nie powinno jej wystarczyć?

Nie. Chcę czegoś więcej.

Te słowa stworzyły uwodzicielską aurę, podziałały na zmysły jak powiew ciepłego powietrza. Należało uzbroić się przeciwko temu nastrojowi i jednocześnie zbagatelizować wdzięczność Sloana.

- Nic takiego nie zrobiłam. Beze mnie przyjęcie byłoby dokładnie takie samo.

Nie mógł pojąć, dlaczego ona wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, że swoją obecnością upiększa czyjś dzień. Sprawia, że ktoś czuje się lepiej. Miała ten dar nie tylko jako lekarka, lecz również jako kobieta. Nie zauważała tego.

- Ale mnie nie sprawiłoby tyle radości. - Święta prawda, pomyślał. Caroline zawsze umiała go rozweselić i wprowadzić w lepszy nastrój. - Rzeczywiście jesteś jak słoneczko. Potrafisz wszystko rozjaśnić.

Słoneczko. Czy celowo wybrał to określenie? Poczula, że jej puls przyśpieszył. Dopiero po chwili spostrzegła, że Sloan skręcił w prawo, a nie w lewo,

- Hej, zwiadowco - odezwała się żartobliwym tonem. - Jedziesz w stronę swojego domu, nie mojego.

- Wiem. Chciałem zaprosić cię do siebie na kawę. Masz ochotę?

Oparła się wygodniej o fotel i przeciągnęła jak wygrzewający się na słońcu kot. Idealne zakończenie wspaniałego wieczoru, pomyślała.

- Oczywiście - zapewniła. - Przecież jeszcze nie dostałam zwyczajowej porcji mieszanki Danny plus Joey.

- Dzisiaj będziesz musiała obejść się bez niej. Chłopcy są u mojej matki. - Zauważył pytające spojrzenie Caroline. - Suczka mojej matki, Beatrix - zawsze uważał, że to dziwaczne imię dla psa - wczoraj miała operację i matka wolała nie zostawiać zwierzaka samego. Uwielbia go i niańczy jak małe dziecko.

Zgodziła się zająć wnukami tylko pod warunkiem, że zawiozę ich do niej. - Przyhamował na podjeździe i nacisnął przycisk pilota. Drzwi garażu automatycznie się otworzyły. Wjechał do środka i przez chwilę ich nie zamykał. Odwrócił się do Caroline. - Mają tam spędzić noc - powiedział i stwierdził, że wstrzymuje oddech. Powolutku wypuścił z płuc powietrze, wpatrzony w oczy Caroline.

Znów bezpodstawnie wyobraziła sobie Bóg wie co. A Sloan po prostu wspomniął o tym, kto zajmuje się jego dziećmi. Nie mówił jej, że będą sami. Że postarał się, aby móc zostać z nią sam na sam. Ta sytuacja nie była rezultatem planowania lub aranżowania. Wynikła z rodzinnego układu.

Miała równie naturalny charakter jak codzienny wschód słońca.

- Sądysz, że twoja mama da sobie z nimi radę?

To nigdy nie ulegało wątpliwości. Jego matka dysponowała wystarczającym doświadczeniem. Wychowała Sloana i jego starszego brata.

- Jak znam moją matkę, to pozwoli im się wyszaleć. W końcu padną i prawdopodobnie we trójkę usną na kanapie przed telewizorem, z psem na honorowym miejscu. Rano, gdy się obudzą, matka nazwie tę noc biwakowaniem na miejski sposób.

Caroline wzruszyła ta wizja.

- Dobrze, że jutro sobota.

- Owszem, dobrze - przyznał. Zapalił światło i zamknął garaż. Wziął Caroline za rękę i przez wewnętrzne drzwi razem weszli do salonu. Włączył lampę, a Caroline rozejrzała się po pokoju. Wydawało się prawie oczywiste, że Joey i Danny natychmiast powinni się na nią rzucić.

- Zdziwiająco spokojnie - mruknęła.

Sloan wziął od niej torebkę i położył na niskim stoliku. Odniósł wrażenie, że Caroline jest leciutko zdenerwowana. A może to on był podekscytowany?

- Też to czujesz, prawda?

Czuję nie tylko ten spokój, Sloan, ale o tym nie mogę ci powiedzieć, odparła w duchu.

Poszła za nim do kuchni. Woląla zastąpić go przy ewentualnym parzeniu kawy. Sloan robił za mocną.

- Zazwyczaj panuje tu sympatyczny hałas - stwierdziła. Cisza sprawiała, że dom wydawał się bardziej obszerny i pusty.

Pamiętała, że Sloan wrócił tu po pogrzebie. Sam. Ona zabrała chłopców i zajęła się nimi. Wszyscy pojechali do jego matki, a Sloan przyjechał tutaj, żeby cierpieć w samotności. Westchnęła. Niepotrzebnie się łudziła. Jak mogła mieć nadzieję, że znajdzie dla siebie miejsce w jego sercu, skoro nadal wypełniał je ktoś inny?

- Czasem - odezwał się Sloan - miło jest usłyszeć swoje myśli.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Dostrzegła w jego oczach dziwny wyraz. Taki, którego nie potrafiła zdefiniować.

- A o czym myślisz? - Usłyszała swój głos i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, że szepcze.

Nie przypominał sobie, aby do niej podszedł, ale widocznie to zrobił, ponieważ stał tuż przy niej i patrzył na nią.

- Teraz?

Nagle zaschło jej w gardle. Ledwie wydobyła z siebie głos.

- Na przykład teraz.

Czy się nie mylił? Czy rzeczywiście mógł zacząć wszystko od nowa? Czy był gotów podjąć taką decyzję?

Nie wiedział.

Ostatnio nie wiedział wielu rzeczy, ale to, co w samochodzie powiedział Caroline, było prawdą. Potrafiła rozjaśnić jego życie, ilekroć znalazła się w pobliżu.

Spytała, o czym myśli.

- Właśnie pomyślałem, że nie mam ochoty na kawę - odparł szczerze.

Musiała zapytać. Nawet, jeśli czekało ją rozczarowanie. Nigdy by sobie nie wybaczyła, gdyby nie zapytała.

- A na co masz ochotę, Sloan?

Delikatnie, samym wnętrzem dłoni przesunął po jej nagich ramionach. Chyba przeszedł ją dreszcz. A może leciutko zadrżała? Różnica była ogromna.

- Na ciebie. Pragnę cię. - A ponieważ chodziło o Caroline, mógł dodać: - Czy ja zwariowałem?

Jeśli zwariował, to ona jeszcze bardziej.

- Chyba tak - przyznała cicho. Przymknęła powieki, bo zaczął na nią działać jego dotyk. Starła się zachować go w pamięci na zawsze. Rozkoszować się nim. - Nie jesteś w tym odosobniony. - Po raz pierwszy tylko krok dzielił ją od wyznania Sloanowi, że go kocha.

Nie chciała, aby na tym się skończyło. Byli tylko we dwoje. Taka sytuacja prawdopodobnie nigdy się nie powtórzy. Dlatego marzyła o kontynuowaniu tego, co właśnie rozpoczęli.

Ten jeden, jedyny raz postanowiła zaryzykować. Bez względu na konsekwencje musiała sprawić, aby zdarzyło się to, co zawsze wydawało się jej niemożliwe. Otworzyła oczy i w jego spojrzeniu zobaczyła pożądanie. Pożądanie i niepewność. Po swojemu zinterpretowała jej przyczyny.

- Nie obawiaj się, że wystąpię z roszczeniami, Sloan - zapewniła, aby go uspokoić. - Cokolwiek się wydarzy tutaj i teraz, jutro rano nie będę od ciebie niczego oczekiwać.

Oferowała mu siebie, nie prosząc o nic w zamian. Poczuł się upokorzony. Nie na tyle jednak, aby się wycofać. Nie z własnej inicjatywy. Caroline będzie musiała sama powiedzieć mu „nie”.

- Tak jak zawsze, Caroline? Żadnych wymagań, żadnego rewanzu za twoją przyjaźń ani za lojalność?

Wsunął palce w kasztanowe włosy i ujął jej twarz. W oczach Caroline nie płonął cygański ogień, jej rysy nie miały w sobie czegoś egzotycznego, co

doprowadzałoby mężczyznę do szaleństwa. Ale było w nich piękno - spokojne, klasyczne piękno. Rozpatrywana oddzielnie, każda część wydawała się prawie pospolita. Ich suma tworzyła nadzwyczajną zniewalającą swoim urokiem całość.

Pani Jenkins na pewno by się z tym zgodziła.

- Co cię rozbawiło? - spytała Caroline, widząc jego uśmiech.

- Nic. Pomyślałem o pewnym aksjomacie, który spodobałby się pani Jenkins. Coś w stylu dwóch linii równoległych spotykających się w nieskończoności. - Wiedział, że plecie bzdury. W ten sposób usiłował zapanować nad nerwami.

- Nigdy w to nie uwierzę - mruknęła, widząc jego wargi zbliżające się do jej ust.

- Wiem.

Pragnął jej. Nic nie umiał na to poradzić. Pragnął jej tak bardzo, że ledwie nad sobą panował. Cofnął głowę. - Caroline, gdybym cię skrzywdził...

- Cicho - szepnęła uspokajająco. - Tak się nie stanie. Żadnych wymagań, pamiętasz? Żadnych oczekiwań. - Zauważyła w jego oczach niemy protest, zrodzony z poczucia winy. Z powodu Julie? Czy jej, Caroline? Nie zamierzała pozwolić, aby cokolwiek stanęło teraz na ich drodze. - Tak jest łatwiej - szepnęła. Kolejne słowa spłynęły z jej warg prawie niedosłyszalnie:

- Żadnych oczekiwań, żadnych rozczarowań.

Nigdy otwarcie by nie przyznała, ile rozczarowań ma za sobą. Tak bardzo gorzkich, że w końcu musiała wyjechać z Bedford, aby jakoś je przytłumić. Aby znosić cierpienie i mimo to pozostać przyjaciółką, ponieważ ta przyjaźń tak wiele znaczyła. Była taka cenna, że Caroline poświęciła dla niej swoją miłość.

Tym razem mogło zdarzyć się odwrotnie. Czy ceną za jedną miłosną noc miała być utrata przyjaźni? Nie chciała o tym myśleć.

Spojrzał jej w oczy i poczuł, że stopniowo traci kontrolę.

- Jesteś zachwycająca.

- Udowodnij mi to. - Jej sugestia podziałała na niego jak pieszczotliwy dotyk dłoni kochanki. Przynagliła go i podnieciła.

- Tylko ten jeden raz udowodnij mi, że naprawdę jestem taka, jak mówisz.
- Niemal hipnotyzowała go spojrzeniem, w którym widział ledwie dostrzegalne iskierki humoru. - Przekuj swoje słowa w czyn. Zaryzykuj.

Przyciągnął ją do siebie - tak blisko, że wyczuwał bicie jej serca.

Objął ją, a ona przyłgnęła do niego i całkiem zatraciła się w jego ramionach. Gdy ogarnął jej wargi swoimi, poczuła to każda komórka jej ciała.

Każda z nich zadrżała, rozdarta między chęcią ucieczki i pragnieniem przeżycia ekstazy. Zwyciężyło to drugie. Caroline zawsze wiedziała, że z tym mężczyzną doznałaby niewysłowionej rozkoszy.

Reszta odbyła się jak we śnie. We śnie pełnym żaru i pożądania. Oraz zadziwiającego uczucia - tak silnego, że owładnęło Sloanem bez reszty. Odniósł cudowne wrażenie, że wraca do domu.

Zgoda Caroline na ten zwrot w łączących ich stosunkach i jej całkowite oddanie uwolniły Sloana od dotychczasowej niepewności. Już nie mógłby odwrócić się i uciec.

Ruszył na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

Miał wrażenie, że otworzył drzwi, lecz za nimi nie ujrzał pokoju. Przekroczył próg i pograżył się w bezdennej otchłani. Spadał w dół, ale nie musiał się obawiać, że twarda podłoga zatrzyma ten lot. W tej otchłani coś takiego nie było możliwe. Zachwycało go oszalamiające tempo spadania i cudowne pulsowanie krwi w żyłach.

Najpierw tylko całował Caroline. Całował jej pełne, zmysłowe usta, a każdy kolejny pocałunek stawał się bardziej namiętny niż poprzedni. Bardziej podniecający i jednocześnie pełen słodkich obietnic. Wzmagał niesłychane uczucie zadowolenia, które splatało się z szalonym pożądaniem. Te zespolone emocje kierowały Sloanem.

Oboje osunęli się na kanapę, zbyt sobą zajęci, aby zważać na to, że za chwilę zaczną się kochać na podłodze.

Rozkosz z odroczonym terminem realizacji.

Ta zabawna myśl przywołała uśmiech na usta Caroline.

Sloan poczuł ich ruch pod swoimi wargami i spojrział na nią niepewnie, ale ona wcale nie śmiała się ani z niego, ani z nich obojga. Znał ten uśmiech. Ona zmieniła się tak diametralnie, ale ów uśmiech wciąż wyrażał to samo co dawniej. Zachwył.

Sloan wsunął jej za ucho kosmyk włosów, dziwnie ukojony faktem, że podczas miłosnego zbliżenia robi coś tak zwyczajnego.

- Dlaczego tak się uśmiechasz? Jak kot rozkoszujący się smakiem kanarka?

O, nie. Nie wyciągniesz tego ze mnie. Powiem ci wtedy, gdy będę na to gotowa. Może.

- Przyjaciele nie mają przed sobą tajemnic. - Uniósł się, aby jej zanadto nie przygniść swoim ciężarem.

- Owszem, mają.

Uprzedziła go i zrobiła coś oczywistego. Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie jego głowę. Musiała się śpieszyć. Musiała zaznać wszystkiego, zanim się obudzi i stwierdzi, że to znów był tylko sen.

Nie zamierzał mówić nic więcej. Zwłaszcza że już nie potrafiłby sklecić nawet jednego sensownego zdania. Słowa mogły się przydać do sformułowania przeprosin, ponieważ sądził, że wykorzystuje sytuację. Nie umiał się jednak pohamować. I nie chciał przeproszać. Chciał ją osiąść.

Ich ciała ciasno przylegały do siebie. Bliskość nie pozwalała nawet na głębszy oddech. Caroline czuła przenikające ją ciepło, którym emanował Sloan. Czuła dotyk jego ciała na całej długości swojego. Wygięła się w łuk, pragnąc, aby Sloan wziął ją gwałtownie, całkowicie i na zawsze. Miał być jej pierwszym mężczyzną. I na pewno ostatnim. Nie mogła należeć do nikogo innego.

W głębi serca należała do Sloana już od wielu lat.

Od dawna nie czuł się tak jak teraz. Jak niezręczny nastolatek z pierwszą dziewczyną. Przeżywał ciężkie chwile, a nostalgia tylko pogarszała sprawę. Zaklął w myśli, usiłując rozpiąć suwak sukienki. Obawiał się, że za moment zamek się zatnie na wciągniętym kawałku tkaniny. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby skaleczył Caroline w plecy.

Naprawdę miał kłopoty. Dlaczego wydało się jej to takie słodkie? Uznała, że należy troszkę mu pomóc. Sięgnęła rękami za siebie i jednym ruchem rozpięła cały suwak.

Nie miała na sobie stanika.

Odsunęła się nieco, uśmiechnęła pozornie opanowana, ale jej serce było jak szalone. Cienki jedwab sukienki opadł aż do talii. Wystarczyło tylko go zdmuchnąć. Pod nim biodra Caroline osłaniały jedynie skąpe koronkowe majteczki.

Znów wziął ją w ramiona i pocałował. Najpierw łagodnie, potem mocniej, aż w końcu namiętność wzięła górę. Niecierpliwie ściągnął jedwabną szmatkę i w ten sposób zlikwidował ostatnią przeszkodę. Miał ochotę jednym ruchem zerwać koronki, ale opanował się i delikatnie je zsunął.

Spojrzał na jej nagie ciało i wstrzymał oddech. Małe, twarde piersi niemal błagały, aby ich dotknąć. Płaski brzuch drżał ledwie dostrzegalnie. Sloan westchnął z zachwyty. Caroline była nieskończenie piękna.

Wypełnił nią swoje dłonie, gładził palcami jedwabistą skórę, równie gładką jak płatki róż.

Chciała poczuć go tak, jak on czuł ją. Chciała rozkoszować się jego ciałem, tak jak robił to on, gdy jej dotykał. Szarpnęła poły marynarki i zdjęła ją z jego ramion. Uniósł głowę i uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

- Chyba mam na sobie za dużo ubrania.

Zrzucił marynarkę, rozpiął koszulę i wyciągnął ją spod paska. Przez cały czas patrzył na Caroline i sycił wzrok jej widokiem. Wyglądała tak cudownie, że samo patrzenie na nią sprawiało rozkosz. Koszula wylądowała na podłodze.

Caroline poczuła dojmujące pragnienie. Domagało się zaspokojenia.

Sloan ujął jej dłonie i przysunął do klamry paska. Tylko lekkim uściskiem palców zasugerował, aby Caroline dokończyła dzieła.

Pierwszy raz w życiu była taka podniecona. Na medycynie i podczas praktyki lekarskiej wielokrotnie miała okazję zapoznać się z fizyczną budową człowieka. Doskonale знаła każdą część jego anatomii. Teraz nie chodziło o obcowanie z nagością podczas czynności zawodowych. Te sprawy Caroline zawsze traktowała profesjonalnie, po prostu jak lekarz. Nie dotyczyły jej jako kobiety.

Gdy rozbierała Sloana, ręce jej drżały.

Pragnie tego, pomyślał, naprawdę pragnie zespolenia. Obserwował ją z rosnącym podnieceniem, w którym po chwili całkiem się zatracił. Tylko dlatego sam nie pozbył się reszty ubrania.

Było bardziej słodko, gdy ona je z niego zdejmowała.

W końcu mogli już bez żadnych przeszkód poznawać swoje ciała - z zachwytem typowym dla dwojga ludzi, którzy po raz pierwszy dotarli do tej fazy zażyłości. Poznawali się nawzajem, a kumulowanie doznań odbywało się w coraz bardziej gorącej atmosferze. Aż wreszcie osiągnęło szczyt.

Sloan nie odrywał wzroku od twarzy Caroline. Obawiał się, że ona w ostatniej sekundzie zrezygnuje, przerażona szaleństwem, które ich ogarnęło. Nie ujrzał żadnego znaku, więc zaczął powoli się w niej zatapiać.

I nagle zamarł, ponieważ poczucie rzeczywistości przedarło się przez zniewalające go pęta przemożnego pragnienia.

- Caroline? - Za późno. Już nie potrafił się powstrzymać, przerwać tego, co oboje rozpoczęli.

Nie mógł teraz się zatrzymać. Chyba by tego nie zniosła.

Sama skierowała go tam, gdzie nawet teraz obawiał się dotrzeć bez jej przyzwolenia. Wiedziała, czego oczekiwać. Nie obawiała się bólu. Za to, co miała otrzymać, mogła zapłacić tę niewysoką cenę.

Już nie był w stanie uczynić tego, co powinien - zapanować nad sobą i się wycofać, choć tego wymagała przyzwoitość.

Caroline sprawiła, że stało się to niemożliwe. Przynagliła go ruchami bioder, spragniona jego reakcji, poruszająca się w rytmie, który wydawał się oczywisty.

Sloan znów odnalazł ustami jej wargi i dał się ponieść temu rytmowi.

Połączeni ze sobą, wspólnie dokończyli tę podróż. Tak jak Caroline zawsze widziała to w swoich marzeniach.

ROZDZIAŁ 12

Radość z powodu spełnienia zmaćło wkradające się poczucie winy. Otoczyło Sloana i ścisnęło go jak anakonda. W milczeniu zsunął się z Caroline, aby jej nie przygniatać swoim ciężarem.

Do licha, gdyby tylko wiedział... Ale kto mógł przypuszczać, że...

Odetchnął powoli i głęboko. Zastanawiał się, jak poruszyć ten temat. Jak powiedzieć, że jest mu szalenie przykro.

Nie miał pojęcia, jak to wyrazić.

A ona milczała, co bolało go jak cięcie zadane ostrym nożem. Sloan westchnął. Nie chciał stracić Caroline. Jej przyjaźń była dla niego niezwykle cenna. Przymknął powieki. Właśnie poświęcił ją dla przelotnej przyjemności.

Nawet się nie odezwał ani na nią nie spojrzął. Czy był zły? Rozczarowany? Żałował, że się na to zdecydował? - pytania niemal rozsadzały jej umysł.

Usiłowała wziąć się w garść. Niepewnie sięgnęła w bok i przyciągnęła leżącą na podłodze sukienkę. Następnie zebrała się na odwagę i spojrzała na Sloana.

Czuł na sobie jej wzrok, więc popatrzył na nią.

Czy w jej oczach ujrzał nieme oskarżenie? Nie, chyba nie. Zresztą to nie w stylu Caroline. Ona nigdy nie czyniła wyrzutów, nawet jeśli miała do tego prawo. Ale teraz na pewno cierpiała. Zawinił i zdawał sobie z tego sprawę. Skrzywdził Caroline. Fakt, że nie wiedział, wcale go nie usprawiedliwiał.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Zakłopotanie natychmiast odarło ją z błęgiego zadowolenia, które czuła jeszcze przed kilkoma sekundami.

- O czym? - Buntowniczo wysunęła brodę.

O czym? Jak mogła udawać, że nie wie, o co ją spytał?

- O tym, że jeszcze nigdy... że jesteś... - Język mu się plątał.

A więc o to chodziło. Sloan był rozczarowany, ponieważ uznał, że brakuje jej doświadczenia. Poczuli się tak, jak gdyby ktoś wylał na nią wiadro zimnej wody.

- Że co? Że nigdy nie jeździłam na nartach? Że mam grupę krwi AB Rh plus? - Ujrzała na jego twarzy wyraz zakłopotania i irytacji. - Widzisz, tego też o mnie nie wiedziałeś, ponieważ nigdy nie było powodu, aby o tym napomknąć.

- To co innego... - Urwał, zły na siebie.

- Naprawdę? A kiedy, twoim zdaniem, miałam podać tę informację? I jak? Może w ten sposób: „Słuchaj, Sloan, czy kiedykolwiek ci wspomniałam, że nadal jestem dziewicą?” - Czy naprawdę tak bardzo się myliła w ocenie Sloana? Właśnie oddała mu swoje serce i ciało, a on się wściekał, bo go nie ostrzeżono, że kobieta, z którą zamierzał się kochać, jest w tej dziedzinie nowicjuską? - Sloan, ten temat nigdy nie zaistniał w naszych rozmowach, a nie jest to sprawa, o której informuje się na tablicy ogłoszeń.

Wstała i cofając się, podniosła z podłogi swoje rzeczy. Marzyła tylko o tym, aby się ubrać i wyjść. Stąd mogła wrócić do domu na piechotę.

Jej słowa niczego nie zmieniły. Nie zneutralizowały poczucia winy, wywołanego faktem, że odebrał jej coś niesłychanie cennego.

- Dlaczego nie wspomniałaś o tym, zanim to się stało? Odwróciła się i posłała mu mordercze spojrzenie.

- Nie wiedziałam, że coś takiego się wydarzy. Łudziłam się nadzieją, ale nie wiedziałam, że do tego dojdzie, dodała w duchu. Przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć, choć było jej przykro. Nie chciała jednak w ten sposób zakończyć tego spotkania. Powinni rozstać się bez kłótni, jeśli jeszcze kiedykolwiek mieli spojrzeć sobie w oczy.

- Ty chyba też się tego nie spodziewałeś - dodała łagodniejszym tonem. Widząc jego minę, uznała, że ma rację. - I co teraz? Wlepisz mi dwanaście punktów karnych? - Uniosła wyżej ubranie, starając się nie upuścić pantofli. - Za beznadziejność?

Tak bardzo zaskoczyła go tym pytaniem, że przez moment gapił się na nią jak półgłówek.

- O czym ty mówisz?

Zrobiliśmy z tego niezły bigos, pomyślała, a powinno być tak cudownie. Sloan kochał się z nią. Po tylu latach wreszcie się doczekała.

- Przecież to jasne... - Zgarbiła się, nagle zrezygnowana. - Złóścisz się z powodu mojego „nietkniętego stanu”, bo po ponad rocznym celibacie właśnie się rozczarowałeś. - Przełknęła ślinę. - Ponieważ brak mi techniki.

Nie wierzył własnym uszom. O czym ona plecie? Dlaczego tak mylnie interpretowała jego reakcję? Czyżby w ogóle go nie znała?

- Gadasz głupstwa. Wcale nie szukam kogoś „z techniką”. Ja... - Urwał raptownie, bo przypomniał sobie coś, co przed chwilą powiedziała. - Skąd wiesz, że od ponad roku z nikim nie spałem?

Rozbawiło ją to pytanie. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Sloan do tej pory był wierny pamięci Julie.

- Bo taki jesteś, Sloan. Nigdy nie rozmieniałeś się na drobne. - Spojrzała na niego cieplej, ponieważ doznana przykrość stawała się mniej dojmująca. Wraz z nią malał gniew. Kocham tego człowieka, pomyślała. Kochała go niezależnie od jego uczuć dla niej. To nigdy się nie zmieni. - Twoje serce jest czyste, rycerzu Galahadzie, a siły masz za dziesięciu.

Czy cytowała fragment dzieła ze średniowiecza? Zawodowa ciekawość Sloana wzięła górę.

- Nie znam tego tekstu. Z czego to jest? Położyła dłoń na sercu.

- Stąd, Sloan. Prosto z tego miejsca.

Przyjął jej odpowiedź z pokorą. Ujął dłoń Caroline i mocno pocałował. Caroline zasługiwała na o wiele więcej, niż właśnie od niego dostała.

- Wybacz mi. Wcale nie złoścę się z powodu twojego dziewictwa. To absurdalny pomysł. - Dziwił się, że uznała go za takiego głupka. A może to nerwy, pomyślał. Dlatego uwierzyła, że brak mu wrażliwości. Myliła się i pragnął ją o tym przekonać.

- Zdenerwowałem się, ponieważ mnie nie uprzedziłaś. Ponieważ nie wiedziałem o tym, gdy cię brałem. - Jego spojrzenie wezbrało czułością. - Twój pierwszy raz powinien być naprawdę cudowny.

Ten chłopak okazał się jeszcze mniej spostrzegawczy, niż sądziła. I bardziej słodki.

- Dlaczego uważasz, że taki nie był?

Nie potrafił się jej oprzeć. Nawet gdyby miał serce z kamienia, nie potrafiłby oprzeć się Caroline i jej bezgłośnemu błaganiu, aby do niej podszedł. Mógł jedynie ofiarować jej wygodną furtkę.

- Caroline...

Nie zamierzała słuchać kolejnych przeprosin. W żadnej formie. Chciała znów poczuć smak jego ust, znów - choć tylko chwilowo - zaspokoić pragnienie, choć wiedziała, że ono wkrótce i tak zacznie ją dręczyć.

Upuściła trzymane w rękach rzeczy i położyła palec na wargach Sloana.

- Za dużo mówisz, profesorze. - Powoli zbliżała usta do ust Sloana.

Spotkał je w pół drogi.

Rozmowa straciła wszelki sens.

Liczyło się tylko to, co oboje czuli.

Caroline została na noc. Wiedziała, że pamięć o tej nocy zostanie z nią na zawsze. Nie dlatego, że znów kochali się długo i namiętnie. Najważniejsze okazało się to, co nastąpiło później. Nad ranem, gdy prześladują człowieka najbardziej mroczne obawy.

Tym razem strach się nie pojawił. Istniał tylko Sloan. Spał, a ona leżała w jego ramionach, wsłuchana w szmer jego regularnego oddechu. Brzmiał w jej uszach jak najśłodsza muzyka.

Dzięki tej jednej nocy mogła udawać, że minione siedemnaście lat także należało do niej, a nie do przyjaciółki, którą kochała jak siostrę. Chwilowo mogła również wmówić sobie, że należy do niej również serce śpiącego obok mężczyzny. Oraz jego dzieci.

Na tę jedną noc los obdarował ją zgodnie z jej marzeniami.

Ogrzana ciepłym oddechem i bliskością ukochanego, spowita kokonem swojego fantazjowania, wtuliła się w Sloana. Długo obserwowała grę świateł i cieni na suficie, aż w końcu oczy zaczęły się jej kleić. Tuż przed zaśnięciem pomyślała, że jeśli dopisze jej szczęście, to rano nadejdzie wyjątkowo późno.

Naprawdę miała zamiar zniknąć o świcie. Wolą nie ryzykować, że ujrzy w oczach Sloana choćby najmniejszy błysk żalu. Nie chciała, aby cokolwiek mąciło wspomnienie tej nocy.

Z całej doby zawsze najbardziej lubiła poranek, ale dzisiaj było inaczej. Wiedziała, że światło dnia potrafiło w przykry sposób wyeksponować rzeczy,

które powinny egzystować tylko w mroku. Nie chciała więc, aby w blasku dnia zbladło to, co niedawno się zdarzyło. Wiedziała, że i tak do tego dojdzie, ale pragnęła, aby nastąpiło to jak najpóźniej.

Słodko znużona przespala jednak moment, gdy pierwsze promienie słońca wsączyły się do pokoju. Przespala również hałaśliwą kłótnię dwóch srok, odbywającą się na trawniku przed domem.

Obudziła się dopiero wtedy, gdy poczuła, że Sloan wstaje z łóżka. Cały świat był jej obojętny, ale każdą komórką ciała reagowała na ruch ukochanego.

Teraz przez moment zastanawiała się, czy nie udać, że nadal śpi. Jeśli Sloan będzie myślał, że jest pogrążona we śnie, to nie wyrazi żalu z powodu swojego wczorajszego zachowania. Po namyśle uznała, że nie powinna postępować jak tchórz. Chowaniem głowy w piasek reagowała dawna Caroline. Ta, która zaistniała wczoraj, miała więcej odwagi.

Przeciągnęła się i pozwoliła sobie na ostatnią cudowną chwilę w łóżku Sloana. Ostatnią, słodką chwilę jako jego kochanka. Przyniósł ją tutaj, twierdząc, że zasługuje przynajmniej na odrobinę wygody.

Nie zależało jej na wygodzie. Pragnęła jedynie kochać się ze Sloanem, ale tego nie mogła powiedzieć. Nie mogła obarczyć go ciężarem swojej miłości. Dlatego dała się zanieść do jego sypialni i w jego pościeli znów cieszyła się jego pieczytami. I znów oddała mu się w uniesieniu.

Usłyszał szelest i odwrócił się. Nie zamierzał jej budzić. Wyglądała tak oszałamiająco spokojnie i pięknie. Wpadające przez okno światło skąpało ją w złocistej poświacie. Poczuł w lędźwiach znajome napięcie. Kiedy stał się taki nienasycony?

- Dzień dobry.

Usiłowała wyczytać coś z jego twarzy, ale stał w cieniu. Poczuli się jak linoskoczek balansujący na linie bez zabezpieczającej siatki.

- A jest dobry? - spytała.

Wiedziała, że niedawno napisano książkę dla kobiet lat dwięćdziesiątych. Zawierała szereg zasad, których należy przestrzegać w kontaktach z mężczyznami. Jej autorka wstrzymałaby oddech, obserwując tę scenę. Caroline była tego pewna. Niestety, sama nie nauczyła się zasad damsko-męskiej gry. Nie musiała. Do tej pory nigdy w nią nie grała.

Przecież to Caroline, pomyślał. Nie powinni zachowywać się tak dziwnie. Wciągnął na siebie wysłużone dżinsy i podszedł do łóżka.

- Na zewnątrz świeci słoneczko. - Usiadł obok Caroline i spojrzał jej w twarz. - A tutaj?

- Tutaj chyba też. - Czuła się tak, jakby siedziała na rozżarzonych węglach. Podciągnęła kołdrę i osłoniła nią piersi.

Chyba, powtórzył w myśli. A więc miała wątpliwości. Ujął jej dłoń.

- Jeśli chodzi o tę noc... - odezwał się z wahaniem.

- Nic się nie zmieniło - odparła szybko, pełna obaw, że jednak się zmieniło, i to na gorsze. Znow ogarnął ją paniczny strach, że straciła najlepszego przyjaciela.

Zmarszczył brwi, zaskoczony jej reakcją. Caroline była zbyt inteligentna, aby wierzyć w to, co właśnie oświadczyła.

- Oczywiście, że się zmieniło, Caroline. I to bardzo. Wiem na sto procent, że nie sypiasz ze wszystkimi przyjaciółmi.

Spuściła wzrok na ich złączone ręce. Z nerwów ssało ją w dołku, więc usiłowała się uspokoić.

- Możemy udawać, że to się nie zdarzyło.

Zupełnie jej nie rozumiał. Czyżby jednak żałowała, że spędziła z nim noc?

- Dlaczego mielibyśmy to robić?

Wzruszyła ramionami i przytrzymała opadającą kołdrę.

- Jeśli miałbyś czuć się przy mnie skrepowany... - Urwała i zaczęła jeszcze raz. - Nie chcę stracić przyjaciela...

Przysunął się bliżej, wzruszony jej szczerością i wrażliwością. Caroline imponowała mu wewnętrznym hartem, ale najbardziej pociągała go jej delikatność. Nie planował tego, co się stało, ale teraz, po fakcie, cieszył się, że to zaistniało. Cieszył się, że przeżył z Caroline chwile szczęścia.

- Nie stracisz go, Caroline. - Pieszczotliwie zmierzwił jej włosy. - Natomiast nie jestem pewien, czy cokolwiek zyskałaś. - Naprawdę nie miał pojęcia, co wyniknie z tej sytuacji i czy w ogóle coś wyniknie. - Muszę...

- Odebrać chłopców - dokończyła za niego. Wołała jeszcze nie rozmawiać o konsekwencjach tej nocy. Było za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski. Na razie liczyło się tylko to, że nie utraciła jego przyjaźni. To stanowiło wystarczająco dobry punkt wyjścia, gdyby uznali, że ich znajomość może przerodzić się w coś więcej.

Umknęła spojrzeniem w bok i szybko przesunęła się na drugą stronę łóżka. Wstała, dokładnie owinięta prześcieradłem. Czula się jak niezgrabny ślimak.

- I tak zamierzałam wyjść, zanim się obudzisz.

Przyglądał się jej sylwetce, ciasno opatulonej prześcieradłem. Spał pod nim niezliczoną ilość razy, ale nigdy nie uważał, by się prezentowało tak dobrze jak teraz.

- Żeby to wyglądało na sen?

Coś w jego głosie kazało jej się odwrócić.

- Sen? Czy właśnie tym była dla ciebie ta noc? - Czy jego słowa oznaczały, że wszystko skończone? Że odeszło w przeszłość jak sny, które rozplywają się w świetle poranka?

Skinął głową.

- W pewnym sensie. Przeżyliśmy piękny, zakazany sen. - Podeszedł do niej i znów wziął ją za rękę. Zastanawiał się, kim jest ta osoba, która niedawno wzburzyła krew w jego żyłach.

- Przyjaźnimy się od tak dawna, Caroline, ale chyba dobrze cię nie znam.
Jesteś zupełnie inna, niż sądziłem.

Świetnie, pomyślała, usiłując rozszyfrować wyraz jego oczu.

- To kwestia tych ukrytych talentów, o których ci wspominałam.

Wziął ją w ramiona i pocałował w skroń. Bliskość Caroline wydawała się czymś najzupełniej oczywistym.

- Są jakieś inne tajemnice, o których powinienem się dowiedzieć?

Znów go zapragnęła.

- Poinformuję cię, gdy coś mi się przypomni.

- Wiesz co? - Cmoknął ją w drugą skroń. - Moja matka w soboty lubi sobie pospać.

Odchyliła głowę, gdy jego wargi musnęły jej szyję. Oddychanie nagle stało się trudne. Myślenie również. Pozostawało więc rozkoszowanie się pieśczołą. Zresztą myślenie to przereklamowana czynność.

- Sądzisz, że chłopcy jej na to pozwolą?

Wsunął dłonie pod prześcieradło, ujął jej pośladki i przyciągał ją do siebie. Jęk rozkoszy podziałał na niego elektryzująco.

- To jej problem. Ja mam teraz pełne ręce roboty.

Dotknęła jego warg czubkiem języka. Ogarniało ją coraz większe pożądanie.

- Właśnie zauważyłam.

Miał wielką ochotę zedrzeć z Caroline prześcieradło, ale się pohamował. Bardziej podniecające było powolne działanie.

- A ty?

Szumiało jej w głowie. Oparła dłonie o jego tors i zaczęła gładzić imponujące mięśnie.

- Mogłabym znaleźć sobie jakieś miłe zajęcie. Uśmiechnął się, ponieważ go nie zrozumiała.

- Chodziło mi o to, czy nie musisz teraz gdzieś być.

- Tylko tu, gdzie się znajduję. - Nie zamierzała martwić się na zapas. Ten poranek należał do niej. Postanowiła wykorzystać go jak najlepiej.

- Znakomicie. - Ogarnął jej usta swoimi, a pożądanie jeszcze się wzmogło. Wystarczyła rozmowa z Caroline i świadomość, że pod prześcieradłem ma na sobie tylko parę kropli perfum, aby zapragnął się z nią kochać. Nigdy by nie przypuszczał, że po dzisiejszej nocy będzie do tego zdolny. Gdy odplynał w sen, trzymając Caroline w ramionach, był pewien, że jest całkowicie zaspokojony. Najwyraźniej się pomylił.

Ujął w dłonie twarz Caroline i zaczął całować jej usta. Jej bliskość doprowadzała go do szaleństwa. To wszystko działo się tak szybko. Dokąd zmierzało?

- Caroline... Nie wiem, co o tym myśleć... - przyznał szczerze.

Dlaczego zawsze usiłował analizować każdą sytuację? Dlaczego po prostu nie poddał się nastrojowi tej chwili?

- Spróbuj więc w ogóle o tym nie myśleć. Pani Jenkins kazała nam cieszyć się życiem. Nie powinniśmy kwestionować poleceń nauczycielki - odparła z uwodzicielskim uśmiechem.

Parsknął śmiechem i przez moment lekko skubał zębami jej dolną wargę, po czym czubkiem języka sprawdził zarys jej ust.

- Przydałby mi się w klasie z tuzin takich uczniów jak ty.

- Może wystarczy ci jedna uczennica? - Otarła się o niego sugestywnie.

O ile będzie to ona. Pożądanie stopniowo brało nad nim górę.

- Chyba tak.

Prześcieradło zsunęło się na podłogę, okrywając ich boscie stopy. Caroline spojrzała na nie i przesunęła wzrokiem po sylwetce Sloana. Nadal miał na sobie dzinsy.

- Znów ten nadmiar ubrania... - westchnęła ostentacyjnie.

Pragnął, aby go rozebrała. Chciał poczuć jej palce muskające jego brzuch, jej wargi na swojej skórze, rozpalające w nim ogień.

- Dlaczego jakoś nie rozwiążesz tego problemu?

Dreszcz wywołany perspektywą tego, co miało nastąpić był jeszcze rozkoszniejszy niż wczoraj.

- Jak już wspomniałam, trzeba wykonywać polecenia nauczyciela.

Zapanowała nad drżeniem rąk i rozpięła guzik dzinsów. Tym razem nie zachowała się jak nowicjuszka.

Dzinsy nadal trzymały się na biodrach Sloana. Tak jak tego chciała.

- Do tej pory zawsze kończyłaś to, co zaczęłaś - stwierdził prowokująco.

Tylko raz w życiu zdarzyło się inaczej. Jeden, jedyny raz. Zakochałam się w tobie i nie doprowadziłam tego do końca.

- Chyba nie powinnam w tym wieku zmieniać dobrych przyzwyczajzeń - zamruczała. Oparła dłonie na jego biodrach i zaczęła powoli zsuwać z nich dzinsy. Odchyliła głowę do tyłu, gdy przycisnął wargi do jej szyi.

Ledwie mogła skupić się na wykonywanej czynności, ponieważ jej myśli tańczyły jak świętojańskie robaczki, pojawiały się i znikały.

Przyjemnie chłodny dotyk jej dłoni rozpałał zmysły Sloana. Starania Caroline podniecały go w najwyższym stopniu.

Jeszcze bardziej niż wczoraj.

W jego umyśle nie pojawiły się żadne wątpliwości. Tym razem nie obawiał się, że popełnia błąd. Ani tego, że to ona się wycofa. Oboje dobrze wiedzieli, czego pragną.

A pragnęli tego, co oferował leniwy poranek. Mogli rozkoszować się tym do woli.

I właśnie tak zrobił. Zaczął rozkoszować się Caroline - jej aromatem, smakiem, ciepłym oddechu. Wielokrotnie powracał do tych samych miejsc, a mimo to chciał jeszcze więcej.

Więcej Caroline, więcej tego szaleństwa, które go ogarniało, ilekroć ją brał.

Więcej.

Pchnął ją z powrotem na łóżko. Przeciągnęła się jak kotka, sugerując tym ruchem, aby do niej dołączył. Nie zamierzał czekać na ponowne zaproszenie.

Promienie słońca pieściły jej ciało, zachęcając, żeby uczynił to samo. Chwycił ją w ramiona i pozwolił, aby zapanowały nad nim uczucia.

Miał w planie słodką powtórkę z tego, co już tak dobrze znał. Ale się pomylił. Powtórka okazała się niemożliwa, ponieważ nic nie było znajome. Blask słońca zmienił wszystko. Uczynił z każdego szczegółu coś wyjątkowego. Coś niesamowicie kuszącego.

Dlatego nie mógł robić tego powoli. Nie potrafił aż tak się hamować. Zaczął poruszać się szybko, w rytmie, którego nie słyszał, ale potrafił wyczuć. Zmierzał do niewidzialnej mety zgodnie z jego wymaganiami.

Znów stał się niewolnikiem swojego pożądania.

Miała rację. Poranki rzeczywiście są najśłodszą porą dnia. Słoneczne światło nie tyle wystawiało na pokaz, co podkreślało, rozgrzewało i pieściło łagodnym, czułym dotykiem. Równie delikatnym jak pieszczota dłoni, które głodziły jej ciało tej nocy.

Caroline pragnęła, aby Sloan czuł się tak jak ona. Aby kochając ją, stał się silniejszy. Aby dzięki niej był tak samo szaleńczo szczęśliwy, jak ona dzięki niemu. Aby oboje mogli sięgnąć aż do nieba.

Aby ona mogła wreszcie dostać wymarzoną gwiazdkę. Miłość Sloana.

„Ciagle ci mało” - odezwał się jakiś głos. Przysięgłaby, że go usłyszała. Zabrzmiało tak wyraźnie.

- Słucham? - Spojrzała na Sloana. - Mówiłeś coś? Przecząco pokręcił głową, a na jego wyrazistych ustach pojawił się uśmiech.

- Skądże. To byłoby niemożliwe.

- Dlaczego?

- Z twojego powodu. - Przesunął rękami po jej biodrach i położył ją na wznak. - Nie potrafiłbym teraz sklecić jednego sensownego zdania, które nie zaczynałoby się i nie kończyło na tobie.

Zdumiały ją te słowa. Tak bardzo chciała w nie uwierzyć.

- Nie widzę w tym nic złego - oświadczyła.

Z zachwytem obserwował, jak reaguje na dotyk jego ręki. Jak cała wtula się w niego. Zamierzał się z nią podroczyć, ale nie zdołał nad sobą zapanować.

Jej oczy zamglilo pożądanie. Źrenice stały się takie wielkie, że mógłby w nich zatonać.

Podniecał ją i sam stawał się coraz bardziej podniecony.

A więc tak wygląda sytuacja, gdy obie strony zwyciężają, pomyślał. Właśnie brał udział w takim zdarzeniu.

Co będzie później?

Teraz nie miało to znaczenia. Przytulił Caroline, bo tylko to się liczyło. Tylko ta chwila należała do nich. Niczego więcej nie należało się domagać.

Pragnął wejść w Caroline jak najgłębiej, ale powstrzymał się, aby nie sprawić jej bólu. Wziął ją słodko i delikatnie. A biorąc, sam się zatracił.

Z własnej woli.

ROZDZIAŁ 13

Chętnie pozostałby z Caroline. Była taka ciepła i kusząca, ale życie miało swoje wymagania. Toczyło się również poza pościelą, która nie wiadomo kiedy stała się taka skłębiona. Musiał wstać, aby podjąć swoje obowiązki. Pozwolił sobie na szybki, przelotny pocałunek i wyskoczył z łóżka.

- Dziś rano mam kolejną próbę.

Z półprzymkniętymi powiekami czubkiem języka oblizała wargi. Nadal czuła smak Sloana. Przepelniał ją jego aromat. Jak długo będzie trwał? Znała odpowiedź na to pytanie. Na pewno o wiele za krótko.

- Chciałabym wpaść do szpitala i zobaczyć, jak czuje się tata. Rokowania na razie są optymistyczne. Zdaniem doktora Shaffera, może już w poniedziałek

wróci do domu. - Do poniedziałku musiała sporo zrobić. Wynając dochodzące pielęgniarki, znaleźć odpowiednich fizykoterapeutów. Gdyby to było możliwe, uczyniłaby coś zupełnie innego. Spędziłaby resztę dnia tutaj, ciepła i bezpieczna w ramionach Sloana. Stając się rozpustna, pomyślała, a na jej ustach zaigrał uśmiezek.

- To wspaniale. - W milczeniu przyglądał się jej minie i zauważył sugestywny uśmiech. W łędźwiach poczuł znajomy skurcz.

- Caroline?

Coś w jego głosie sprawiło, że otworzyła oczy.

- Uhm?

Postanowił nie mówić tego, co przyszło mu do głowy. Wypowiedzianych słów nigdy nie dało się cofnąć. To, co czuł, niewątpliwie było tylko pozostałością po nocy, niczym więcej. Nie należało przeceniać tego doznania.

- Nic. - Ruszył do łazienki. - Wezmę szybki prysznic i pojedę po chłopców. Zapowiada się długi dzień. - Właśnie zamykał drzwi, gdy zadzwonił telefon. - Odbierz, dobrze?

- A jeśli to twoja matka? - Uznała, że to rozsądne pytanie. Czy Sloan chciał, aby jego matka wiedziała, z kim spędził tę noc?

Uśmiechnął się szeroko. Matka prawdopodobnie skakałaby do sufitu z radości, gdyby rzucił się w wir życia towarzyskiego. Usilnie namawiała go do tego już od prawie sześciu miesięcy

- Przedstaw się jako agentka firmy Avon i powiedz, że właśnie zapoznajesz mnie z nową linią wyrobów.

- To powinno się udać - mruknęła do siebie. Głęboki dźwięk jego śmiechu rozgrzał ją i jednocześnie podziałał kojąco. Kojarzył się jej z miękkim, ciepłym płaszczem noszonym w mroźny, zimowy dzień.

Znów odezwał się dzwonek telefonu, więc sięgnęła po słuchawkę. Podnosząc ją do ucha, usiadła i podciągnęła kolana pod brodę.

Chyba istnieje przepis prawny zabraniający takiego rozkosznego samopoczucia, pomyślała rozbawiona.

- Dom panów Waltersów. - Usłyszała czyjś głośny wdech i nic poza tym. Wyteżyła słuch i odniosła wrażenie, że po tamtej stronie cicho gra radio, ale nie była tego pewna. - Halo? Słucham.

W odpowiedzi ktoś z impetem odłożył słuchawkę na widełki. Caroline wzruszyła ramionami.

Z ciężkim westchnieniem opuściła nogi na podłogę i wstała. Wiedziała, że dla niej czas nie stanie w miejscu, choćby bardzo tego chciała. Zebrała więc swoją odzież i błyskawicznie się ubrała.

Właśnie zapięła suwak sukienki, gdy otworzyły się drzwi łazienki. Pojawił się obłok pary i Sloan. Jego mokre włosy lekko wiły się na szyi, a na nagim torsie lśniło kilka kropelek wody. Szczęśliwe kropelki, pomyślała. Biodra Sloan owinał ręcznikiem, który wyglądał tak, jakby zaraz miał się zsunąć.

Caroline przez całe życie potrafiła nad sobą panować. Jednak sytuacja, w jakiej się znalazła, wszystko zmieniła. Czowała się po prostu nienasycona. Sloan z roztargnieniem potarł jednodniowy zarost, pokrywający podbródek, a ona znów zapragnęła się kochać.

Mężczyzna, na którego patrzyła, stanowił idealne wcielenie seksu.

- Kto dzwonił? - Kąciki ust Sloana uniosły się w przekornym uśmiešku. - Moja matka?

- Nie wiem. Nikt się nie odezwał. - Zdziwiło ją to. Większość ludzi na ogół o kogoś pytała, zanim stało się jasne, że to pomyłka.

- Znowu to samo - mruknął. Zaczynało go to denerwować. Wrócił do łazienki i wziął grzebień.

Caroline poszła za nim, zbyt zaciekawiona, aby wycofać się, na przykład, do kuchni i zrobić śniadanie.

Sloan pachniał świeżością, mydłem i męską wodą kolońską o leśnym aromacie. Wszystko to razem sprawiło, że Caroline straciła głowę. Z trudem skupiła uwagę na kwestii, którą chciała poruszyć.

- Często zdarzają się te głuche telefony?

Szcesał włosy do tyłu i wyjął maszynkę do golenia oraz krem. Nie cierpiał się golić, ale druga możliwość też go nie zachwycała.

- W tym tygodniu kilkanaście razy. - Ktoś wydzwania w różnych godzinach, słucha jego powtarzanego kilkakrotnie „halo” i przerywa połączenie. - To staje się irytujące. - Namydlił jeden policzek i przejechał po nim maszynką. - Pewnie mam do czynienia z idiotą, który ciągle się myli, albo z trenującym zboczeńcem, który niestety nie wie, że telefonuje do całkiem nieodpowiedniej osoby.

Uważał, że to zabawne, ale ona miała inne zdanie. Aż kilkanaście pomyłek nie mogło być przypadkiem.

- Dlaczego? - spytała.

- Zboczeńcy prawie nigdy nie telefonują do mężczyzn. Wolą szokować zaskoczone kobiety. A płeć piękna nie bawi się w ten sposób. To przecież nie ma sensu.

- Co miałeś na myśli, mówiąc o trenującym zboczeńcu?

- Cóż, nie jest to profesjonalista z tej dziedziny. Żadnego sapania w słuchawkę ani schrypniętego szeptu. Może ten osobnik liczy na to, że w końcu odezwie się kobieta.

Caroline nie przekonało to proste wyjaśnienie.

- Dzisiaj ja odebrałam, więc ten ktoś powinien wpaść w ekstazę.

Tymczasem usłyszałam tylko trzask odkładanej słuchawki.

To mu się z czymś skojarzyło.

- Raz było właśnie tak - przyznał. - Wtedy, gdy pomyślałem, że może to ty telefonujesz.

Spojrzała na niego pytająco.

- Zapytałem: „Caroline, to ty?“, a tu łup. W uchu buczało mi potem przez dziesięć minut.

To musiała być kobieta. Kobieta, która się rozgniewała, ponieważ Sloan wymienił imię innej. Kobieta, która wpadła w pasję, słysząc głos potencjalnej rywalki. Albo zakochana dziewczyna.

Kawałki łamigłówek zaczynały do siebie pasować.

- Nie sądzisz, że to Allison?

Już skończył się golić. Opłukał maszynkę i strzepnął ją nad umywalką.

- Wątpię. - Nigdy nie przyszło mu do głowy, że nęka go osoba znajoma. - Poza tym - dodał, przerzucając ręcznik przez ściankę prysznicowej kabiny - nie zna mojego numeru. Jest zastrzeżony.

Caroline machinalnie zdjęła ręcznik, starannie złożyła go wzdłuż i powiesiła na wieszaku.

- Nigdy nie lekceważ talentów zakochanej kobiety.

Uśmiechnął się do siebie.

Caroline nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Całkiem nieświadomie zachowywała się jak żona. Od dawna brakowało mu tych wszystkich małych, lecz ważnych drobiazgów, które zmieniały dom w ognisko domowe. Sloan przygryzł wargi. Już kiedyś miał żonę. Ta część życia rodzinnego należała do przeszłości. Siłą woli skupił uwagę na aktualnej sprawie. Caroline wydawała się zaniepokojona. Jego zdaniem bezpodstawnie.

- Przecież Allison to jeszcze nie kobieta. Poza tym zgodziliśmy się, że ona tylko durzy się we mnie.

Chyba rzeczywiście nie pamiętał, jak to jest, gdy ma się kilkanaście lat i kocha się kogoś aż do bólu.

- My postrzegamy to jako niegroźne zadurzenie, ale ona uważa swoje uczucie za nieśmiertelną miłość.

Wzdrygnął się, słysząc to określenie.

- Jakim cudem zdobyła mój numer? - odparł zirytowany.

- Może pracuje na ochotnika w sekretariacie?

- Prawdę mówiąc, nie. Podczas przesłuchań, gdy wybierałem obsadę sztuki, Allison powiedziała mi, że zazwyczaj przebywa w szkole tylko wtedy, gdy musi. Zrobiła wyjątek, ponieważ podobno dzięki mnie „w budzie jest zabawniej”. - Dopiero teraz zrozumiał, że do tej pory rzeczywiście był ślepy. Nie dostrzegał oczywistych sygnałów, które dowodziły, że Allison za bardzo się nim interesuje. Ciekawe, czego jeszcze nie zauważył.

- A więc to źródło odpada - stwierdziła Caroline. - Mogła spytać o twój numer kogoś, kto go zna. Na przykład... - Ależ tak, pomyślała. To takie oczywiste! - Wspomniałeś, że podczas prób twoi uczniowie na zmianę zajmują się Dannym i Joeyem, prawda?

- Tak. - Do czego ona zmierza? - I co z tego? - I nagle na jego oczach Caroline zmieniła się w niewinną nastolatkę. Uśmiechnęła się serdecznie i pochylona nad wyimaginowanym dzieckiem zaszczebiotała:

- O, rany, ale z ciebie mądry chłopiec, Joey. Założę się, że znasz na pamięć nawet swój adres i numer telefonu. - Wyprostowała się i triumfująco spojrzała na Sloana. - Joey natychmiast podał jej dane, aby udowodnić, że jego mózg pracuje znakomicie.

Przez chwilę analizował jej słowa. Brzmiały sensownie. Jemu nigdy by nie przyszło do głowy coś takiego.

- Czy wszystkie kobiety są aż tak podstępne?

Z przekorną miną zahaczyła palcami o brzeg ręcznika wokół jego bioder. Przeszedł ją rozkoszny dreszczyk, gdy dotknęła napiętej skóry. Gdyby leciutko szarpnęła ręcznik, na pewno upadłby na kafelki. Z trudem oparła się tej pokusie. Przecież wkrótce każde powinno ruszyć w swoją stronę.

- Tak, w mniejszym lub większym stopniu. - Z nadludzkim wysiłkiem cofnęła rękę i odsunęła się, aby Sloan miał dostęp do szafy. - To nieodzowny element naszej kobiecości. Musimy być bardziej podstępne, ponieważ jesteśmy „słabą płcią”.

- Słaba płeć - mruknął. - Akurat.

Wyjął parę wygodnych dżinsów i rzucił je na łóżko. Za nimi poleciała jasnoszara koszula polo i bielizna. Bez cienia zakłopotania Sloan zdjął ręcznik, włożył slipy i dżinsy. Z rozbawieniem zauważył, że kobieta, która tej nocy zmieniała się w jego ramionach w ognistą kochankę, teraz dyskretnie odwróciła wzrok. Lub przynajmniej udała, że nie patrzy. Rzeczywiście stanowiła zagadkę.

- Jest wiele rzeczy, których wciąż o tobie nie wiem - dodał.

Spojrzała na niego przez ramię. Wyglądała jak wcielenie kusicielki.

- Dlatego uważasz mnie za taki interesujący okaz.

Sloan był w rozterce. Chciał znów wziąć ją w ramiona, lecz wiedział, że powinien odebrać chłopców i pojechać na próbę. Zaczął się wahać, co w ogóle nie leżało w jego charakterze. Zawsze przede wszystkim wykonywał swoje obowiązki.

Caroline widziała, co się z nim dzieje. Rozkoszowała się jego wahaniem jak czułymi słowami listu miłosnego. Gdy Sloan wyciągnął do niej rękę, aby ją objąć, zdecydowała za niego, choć jej także przyszło to z wielkim trudem.

- Twoja matka może się zniecierpliwic tym czekaniem i sama przywiezie chłopców. - Oparła dłonie na jego torsie. - Chyba nie chcesz, żeby nas tu zastała.

Przyznał jej słuszność. Przypuszczał, że matkę ucieszy zmartwychwstanie jego libido, ale prawdopodobnie wolałaby nie widzieć go w akcji.

- Masz rację. Twoje rozumowanie jest bez zarzutu. Chodź do kuchni, zrobię ci śniadanie.

- Wykluczone. - Pośpieszyła za nim. - Ja się tym zajmę. Roześmiał się i otoczył ją ramieniem.

- Miałem nadzieję, że to powiesz.

Szpitalny pokój ojca dzisiaj wyglądał dużo weselej niż przed tygodniem. Zmiana wcale nie wynikała z faktu, że wszędzie porozstawiano wazony z kwiatami. Brała się z innego nastroju pacjenta. Ojciec znów nabrał dawnej chęci do życia. Emanował dobrym humorem mimo bandaży ciasno spowijających

głowę. Pełen energii ojciec to kojący widok, pomyślała Caroline. Zerknęła na siedzącą przy łóżku matkę. Cudownie było widzieć ich oboje - trzymali się za ręce jak para nowożeńców.

- Może zostawić was samych? - Mrugnęła do nich i udała, że zamierza wyjść.

- Niezły pomysł. - Josh zachichotał. Zmrużył oczy i przez chwilę uważnie przyglądał się córce. Wiedział, że życie zawdzięcza właśnie jej i chirurgowi. - Wyglądasz jak kot, który dobrał się do śmietanki.

Akurat myślała o Sloanie, więc się zarumieniła, co tylko pogorszyło sprawę.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz, tato. - Czy to aż takie widoczne?

Josh i Wanda wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie tylko zjadł, ale wrócił po dokładkę. - Ojciec uśmiechnął się szeroko.

Uznała, że ta chwila nie jest odpowiednia do powiedzenia im o Sloanie. O ile w ogóle jest o czym mówić. Sytuacja nie należała do klarownych. Caroline wolała na razie nic na ten temat nie wspominać. Obawiała się, że jeśli komuś powie o tym, co się wydarzyło, to wszystko okaże się snem.

Wygładziła brzeg białego koca.

- Po prostu strasznie się cieszę, że wracasz do zdrowia. Josh prychnął.

- Nie próbuj mydlić oczu swojemu staruszkowi, dziecinko. W swoim czasie sam to robiłem. Potrafię się połapać, gdy ktoś usiłuje mnie zbyć. - Kochał swoją córkę, więc zamierzał przyjąć z otwartymi ramionami mężczyznę, który ją uszczęśliwił. Czekał na tę okazję już bardzo długo. - Kto jest odpowiedzialny za radość malującą się na twojej twarzy?

Mimo dręczącego ją niepokoju Wanda, jak się okazało, dostrzegała to, co się wokół niej dzieje.

- Caroline często spotyka się ze Sloanem - powiedziała.

Ta wiadomość najwyraźniej ucieszyła Josha. Zawsze lubił Sloana Waltersa.

- A więc to Sloan, tak?

Caroline naprawdę nie chciała o tym mówić. Jej rodzice przyjaźnili się z gronem ludzi, którzy przepadali za plotkami. Wszelkie interesujące wieści rozchodziły się lotem błyskawicy.

- Jesteśmy tylko przyjaciółmi, tato - zapewniła stanowczo. - To oczywiste, że się widzimy, wspominamy dawne czasy.

Nie zdołała go przekonać.

- A nie próbujecie zrobić czegoś z myślą o nowych czasach?

Westchnęła ciężko.

Gdy jej ojciec nabił sobie czymś głowę, nie sposób było go przekonać, że się myli. Caroline odwróciła się, aby przypadkiem nie wyczytał czegoś z jej oczu.

- Nie jest tak, jak ci się wydaje.

- Czyżby? - Chwycił ją za rękę i zmusił córkę, aby na niego spojrzała. -

Aha.

Jak na człowieka, który dopiero przed tygodniem przeszedł bardzo poważny zabieg, trzymał ją zadziwiająco mocno. Ucieszyła się, choć jednocześnie czuła się zakłopotana.

- Niby co ma oznaczać to twoje „aha”? - spytała obronnym tonem.

Josh już zdążył swoje zobaczyć, mógł czytać w twarzy Caroline jak w otwartej księdze.

- Lepiej niech on będzie dla ciebie dobry, Carrie. Zaslługujesz na najlepszego mężczyznę.

- Tato, przecież ci mówię, że nic nie łączy mnie z Sloanem. - Widziała, że jej protest to jak rzucanie grochem o ścianę.

Ojciec umiał wyczuć każdy fałsz. - A jeśli nawet, to ma przelotny charakter. Sloan nadal kocha Julie. - W tej konkurencji nie mogła wygrać. To było zbyt trudne. Wanda lekko dotknęła jej ramienia.

- Czy on ci to powiedział? Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Wcale nie musiał - odparła, a w myśli dodała: nigdy nie dopuścił do tego, aby rozmowa zeszła na temat Julie. Caroline dobrze знаła Sloana. Potrafiła ubrać w słowa jego niedopowiedzenia.

Josh usiadł. Zrobił to ostrożnie, ponieważ nadal miał podłączoną kroplówkę.

- Więc nie rób tego za niego, Carrie. Poza tym człowiek nie może żyć przeszłością. Zwłaszcza gdy ma małe dzieci, które wymagają opieki. - Josh wierzył, że Caroline bez trudu zdobędzie Sloana. Wydorosłała i stała się niezależną, silną, piękną kobietą. Mężczyzna musiałby być ostatnim głupcem, żeby z niej zrezygnować. - Sloan Walters nigdy nie sprawiał na mnie wrażenia odludka. A jeśli nawet trochę zakopał się w przeszłości, to pomóż mu się z niej wydobyć. Zrobisz mu wielką przysługę. Mnie także.

- Tobie? - spytała zdziwiona. - Dlaczego?

- Twój ojciec zawsze marzył o rozpieszczaniu wnuków - wtrąciła matka.

- Dajmy na to, że ty tego nie pragniesz. - Josh ujął dłoń żony.

Wanda pieszczotliwie pogłaskała go po rękę.

- Teraz marzę tylko o twoim powrocie do domu, żebym mogła cię rozpieszczać.

Josh lekko wychylił się w stronę żony.

- Trzymam cię za słowo, skarbie - oświadczył, komicznie ruszając brwiami.

Caroline właśnie tego pragnęła. Miłości. Taka miłość leżała u podstaw małżeństwa rodziców. Owszem, nie wszystko wyglądało w nim idealnie. Niektóre jego elementy należałoby poprawić. Ale to dawało się zmienić, ponieważ istniała miłość, która dodawała sił i pomagała przetrwać trudne chwile.

Każdy chciałby przeżyć taką małżeńską miłość. Caroline wiedziała, że i dla niej to uczucie jest najważniejsze. Ale czy mogła mieć nadzieję, że kiedyś stanie się ono jej udziałem? Chyba nie.

Rodzice znów gruchali jak dwa gołąbki. Tak jak wtedy, gdy weszła do pokoju. Uznała, że nawet nie zauważą jej zniknięcia, i cicho wyslizgnęła się na korytarz.

Pod wpływem impulsu pojechała nie do domu, lecz do szkoły. Przypuszczała, że Sloan nadal prowadzi próbę, i doszła do wniosku, że przyda mu się pomoc, ponieważ prawdopodobnie musiał zabrać ze sobą chłopców. Zamierzała wyświadczyć mu przysługę i zająć się nimi. Lubiła mu pomagać, poza tym wtedy była z nim i jego synami. Dzięki temu wyobrażała sobie, jak wyglądałoby jej życie rodzinne, gdyby miała męża i dzieci.

Szła do budynku szkoły pogrążona w myślach. Gdyby ktoś ją zapytał, odpowiedziałaby, że już dawno pogodziła się ze swoją samotnością. Marzenie o własnej rodzinie zamieniła na karierę zawodową. Ale wszystko zmieniło się po powrocie do Bedford. Tutaj miała okazję poznać, co nie stało się jej udziałem. Zajrzała przez okno do cudzego domu i zobaczyła, co mogłoby należeć do niej, gdyby Sloan kochał ją, a nie Julie.

Nie czas na sentymenty, skarciła się w myśli i otworzyła drzwi sali teatralnej.

Usłyszała głośną muzykę i natychmiast ją rozpoznała. Orkiestra grała przebój z reżyserowanego przez Sloana musicalu. Piosenka nosiła tytuł „Potrafię wszystko zrobić lepiej niż ty”. Moje życiowe credo, pomyślała z ironią Caroline. Skrzywiła się, słysząc sopran, który wyraźnie zafałszował. Brzmiał inaczej niż głos Allison.

Caroline powoli ruszyła w kierunku sceny. Po chwili stwierdziła, że solową partię wykonuje jedna z chórzystek. Teraz stała z przodu sceny wraz z Mattem. Czemu ta dziewczyna grała rolę Annie? Gdzie podziała się Allison?

Joey i Danny bardziej z konieczności niż rzeczywistej potrzeby bawili się w kowbojów i strzelali z plastikowych pistoletów będących rekwizytami aktorów. Nie słyszeli kroków Caroline, ale przypadkiem odwrócili się w jej

stronę w tej samej chwili. Ich buzie rozjaśniły się z radości. „Caroline!” - wykrzyknęli i natychmiast pognali wzdłuż przejścia.

Ostrzegawczo położyła palec na ustach.

- Szsz... - szepnęła, aby ich uciszyć.

Obaj posłusznie zacisnęli wargi i uwiesili się u jej paska.

- Gdzie byłaś? Nie widzieliśmy cię tak długo! - powiedział z wyrzutem Danny. Kucnęła, więc zaczął się do niej tulić, ale zaraz przestał. Przypomniawsobowiem, że takie pieszczoty kompromitują dużego chłopca.

- Strasznie długo! - zawołał Joey.

- Cicho - upomniała ich ponownie, ale jednocześnie mrugnęła do nich po przyjacielsku. - Wasz tata usiłuje się skoncentrować.

Z autentycznym wzruszeniem przytuliła obu chłopców. Musiała przyznać, że uwielbia ten dziecięcy entuzjazm. Rzeczywiście chwycił za serce. Uzależniał.

Prawie tak bardzo jak kochanie się ze Sloanem.

Na razie wołała nie myśleć o tym, że kiedyś będzie trzeba obejść się bez obu tych przyjemności. Teraz wszystko układało się idealnie. Co prawda, znała niebezpieczeństwo, jakie stwarza samozadowolenie i porywające poczucie szczęścia.

Właśnie doświadczała i jednego, i drugiego, ale nie zamierzała z tego rezygnować.

Muzyka umilkła i Sloan zarządził krótką przerwę. Miał zirytowaną minę.

- Co się stało z twoją gwiazdą? - spytała Caroline, gdy do nich podszedł.

- Zrezygnowała - oznajmił ponuro. Jeszcze tego mu brakowało. Dlaczego, u licha, w ogóle wyraził zgodę na reżyserowanie amatorskiego przedstawienia? Miał z tego powodu same kłopoty.

- Zrezygnowała? Allison sprawiała wrażenie bardzo zaangażowanej w przedsięwzięcie. Kiedy?

- Dzisiaj. Jedna z jej koleżanek przekazała mi karteczkę z wyjaśnieniem. Allison napisała, że nie jest wystarczająco dobra w tej roli. - Sloan wepchnął

ręce do kieszeni. Irytacja zaczynała brać nad nim górę. - A przecież była fantastyczna. Wszystko szło wspaniale. Nie wiem, co w nią wstąpiło.

Caroline domyślała się, w czym rzecz.

- Chłopcy, chciałabym porozmawiać z waszym tatą. - Spojrzeli na nią i niechętnie skinęli głowami. Caroline odeszła ze Sloanem. Gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu Danny'ego i Joeya, powiedziała: - Sądzę, że dziś rano telefonowała do ciebie Allison. Gdy ja odebrałam, zorientowała się, że z kimś się spotykasz i ona nie ma szans. Dlatego postanowiła się na tobie zemścić.

Najpierw uznał, że Caroline ponosi wyobraźnia, ale po krótkim namyśle zmienił zdanie.

- Mam tego dosyć!

Wiedziała, że bez względu na piętrzące się problemy Sloan doprowadzi do końca realizację powierzonego mu zadania. Dał słowo i na pewno go dotrzyma.

- Wygląda na to, że potrzebujesz Allison. Bez niej przedstawienie się nie odbędzie albo zrobi klapę. Chcesz, żebym z nią porozmawiała? Jak kobieta z kobietą?

Nie tędy droga, pomyślał, choć docenił dobre chęci Caroline.

- Jeśli się nie mylisz, to dla Allison jesteś „tą drugą kobietą”. Rywalką. Nic nie działośz.

- Pozwól mi przynajmniej spróbować.

- Nie, ale mam lepszy pomysł. Matt! Mógłbym zamienić z tobą parę słów?

Nastolatek zjawił się obok nich w jednej chwili. Był tak samo niezadowolony jak Sloan.

- To nie ma sensu, panie Walters - odezwał się przyciszonym tonem. - Jane naprawdę się stara, ale jej nie wychodzi.

Sloan też tak sądził, choć z uwagi na Jane nie wyraził tej opinii na głos.

- Chyba wiem, jak odzyskać Allison - oświadczył. Matt popatrzył na niego z powątpiewaniem.

- Naprawdę? Ona ostatnio zachowywała się dziwnie. Jeżeli pan chce, żebym z nią pogadał... - Zawiesił głos. - Wątpię, czy zdołam ją przekonać. Może raczej posłuchałaby pana...

Sloan nie zamierzał osobiście pertraktować z Allison. Wolał nie przebywać z nią sam na sam. Kto wie, co zadurzonej dziewczynie chodziło po głowie. Zamierzał zneutralizować młodzieńcze fantazjowanie zdrową dawką rzeczywistości. Jej ucieleśnieniem był młody, przystojny i - co najważniejsze - chętny zalotnik, czyli Matt.

- Nie sądzę, aby to odniosło pożądaną skuteczną. Natomiast ty, Matt, na pewno mógłbyś skłonić ją do powrotu. - Sloan otoczył chłopca ramieniem i cicho wyjaśnił Mattowi, czego od niego oczekuje.

Caroline nie słyszała słów. Zauważyła jednak, że Matt uśmiecha się z zadowoleniem. Widocznie to, co mówił nauczyciel, brzmiało przekonująco.

Joey pociągnął ją za rękaw.

- O czym oni rozmawiają?

Mały chyba czuje się opuszczony, pomyślała.

- O różnych męskich sprawach.

- Na przykład o tym, który zespół wygrywa i dlaczego? - spytał Danny.

Uznała, że w tym przypadku lepiej przytaknąć, niż wdawać się w wyjaśnienia.

- Coś w tym stylu.

- Chodź, Joey, pogadamy o męskich sprawach. - Danny wsunął kciuki za szlufki dżinsów i zaczął huśtać się na palcach i piętach. - Myślisz, że w tym roku Angels będą grać w mistrzostwach świata? - spytał z miną starego wyjadacza.

- Jasne - odparł Joey i poprawił na głowie czapkę z napisem „Angels”, której ojciec nie pozwolił mu nosić daszkiem z boku.

Caroline ledwie powstrzymała się od śmiechu. Z rozkoszą schrupałaby ich obu.

Rozdział 14

Caroline siedziała w kuchni Sloana. W dłoniach trzymała kubek z kawą. Niedawno ją zaparzyła, chociaż wcale nie potrzebowała kofeiny. Energii dodawało jej przebywanie w pobliżu ukochanego.

Na stole stało kilka prawie opróżnionych kartonowych pojemniczków z chińskim jedzeniem. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie posprzątać, ale zaraz uspokoiła swoje sumienie słowem „później”. Nie chciała niczym się rozpraszać w towarzystwie Sloana. Przywiózł obiad z chińskiej restauracji, aby uczcić realizację swojego planu. Allison zgodziła się grać rolę w przedstawieniu. Co prawda, to nie Sloan skłonił dziewczynę do zmiany decyzji, ale było w tym sporo jego zasługi.

Caroline patrzyła na niego z zachwytem. Wyglądał wspaniale nawet z miną świadczącą o przesadnym samozadowoleniu. Usiłowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jej się nie podobał. Nie zdarzyło się to chyba nigdy.

Oparła brodę na dłoni. Nie musiała udawać zainteresowania jego opowieścią.

- Jak do tego doszło?

- Matt zrobił dokładnie to, co mu zasugerowałem.

Sloan spojrzał Caroline w oczy i na moment się zadumał. Nie potrafiłby opisać kolejnych stadiów swojego zauroczenia. Wiedział tylko tyle, że wpadł po same uszy. Nie był pewien, co z tego powodu powinien odczuwać - radość czy strach? Wrócił do swojego opowiadania

- Matt zaniósł jej kwiaty i bombonierkę oraz zasypał Allison komplementami autorstwa doświadczonego starszego pana. I *voilà*. - Pstryknął palcami. - Dziewczyna ujrzała kolegę w zupełnie nowym świetle. - Splótł ręce z tyłu głowy i oparł się wygodnie o krzesło. Uśmiechnął się z satysfakcją. - Proste, prawda?

- Jak zwykle - odparła. Rozumiała przyczyny jego dobrego nastroju. Odzyskał gwiazdę przedstawienia i chyba już nie musiał się obawiać głuchych telefonów o dziwnych porach.

- To znaczy? - zapytał, unosząc brwi. Wzruszyła ramionami.

- Wszystko zazwyczaj bywa bardziej proste, niż się zdaje. Ludzie wykazują skłonność do komplikowania różnych spraw i sytuacji. To rezultat nadmiernego analizowania. - Dopiła kawę, ale nadal trzymała w dłoniach kubek. Przyjemnie ogrzewał palce. - A wiele rzeczy traci swój urok, jeśli ogląda się je pod mikroskopem. Lepiej widzieć je w ich naturalnej wielkości.

- Nie zawsze. - Uśmiechał się, gdy brał ją za rękę. - Jestem pewien, że gdybym wsadził cię pod mikroskop, zobaczyłbym dokładnie to samo co teraz.

Wyobraziła sobie tę scenę i parsknęła śmiechem.

- Najpierw musiałbyś znaleźć bardzo duży mikroskop.

- Wolę pooglądać cię gołym okiem. - Lekko pociągnął Caroline za rękę, zachęcając przyjaciółkę, by mu usiadła na kolanach. - Przekonałem się, że to o wiele przyjemniejsza metoda.

Chętnie zostałyby w jego ramionach na zawsze.

- Kiedy spodziewasz się powrotu Joeya i Danny'ego?

Udał, że się zastanawia, choć wyliczył czas, zanim zaprosił Caroline.

- Najwcześniej za trzy godziny. Po kinie drużynowy Małych Skautów zabiera ich na lody. Będzie się użerał z dwudziestoma trzema chłopcami, krzyczącymi jeden przez drugiego.

- Biedaczek - stwierdziła ze współczującą miną.

Sloan nie zamierzał tracić cennych minut na rozmowę o drużynowym. Chłop zgłosił się na ochotnika. Chyba wiedział, co go czeka. W przeciwieństwie do Sloana, który nie miał pojęcia, czego się spodziewać, gdy po raz pierwszy pocałował Caroline.

Wtulił teraz twarz w jej włosy, wdychał słodki zapach, który od niedawna kojarzył mu się z jej osobą. Mimo swojej ulotności działał niezwykle podniecająco.

- Byłoby szkoda, gdyby jego poświęcenie poszło na marne. - Skubał ustami jej dolną wargę, po czym przesunął po niej czubkiem języka. Caroline poruszyła się i cicho jęknęła. Z szelmowskim uśmiechem spojrzał jej w oczy. - Dlaczego w twojej obecności nie jestem w stanie trzymać rąk przy sobie?

Troszkę się opanowała i palcami przeczesła jego włosy. Uwielbiała ich dotyk, gdy muskały jej skórę.

- Znów zaczynasz analizować. Chyba doszliśmy do wniosku, że to bez sensu.

Powiedziała to lekkim tonem, ale była śmiertelnie poważna. Nie chciała, żeby Sloan zanadto rozmyślał nad swoimi uczuciami. Obawiała się jego poczucia winy. Mogło się odezwać i zabrać jej Sloana, a ona jeszcze nie była gotowa z niego zrezygnować.

Jeszcze, powtórzyła w myśli. Śmiechu warte. Dobrze wiedziała, że z własnej woli nigdy z Sloana nie zrezygnuje.

- Wybacz. - Bawił się końcami jej włosów. Widział, jak w jej oczach pojawia się pożądanie. Rozkoszował się dreszczykiem, który poczuł na plecach. - To skrzywienie zawodowe. Gdy mam do czynienia z poezją, zaraz muszę ją analizować.

Wtuliła się w niego. Przypuszczała, że za życia nie można odczuwać większej euforii niż ta, która ją ogarnęła.

- Czym teraz jestem? Poezją?

- W najczystszej formie. - Wciąż się uśmiechał, ale jego słowa zabrzmiały poważnie.

Przechyliła głowę i uczyniła ze swojego pytania metaforę. Tak było bezpieczniej.

- Uważasz mnie za odę czy limeryk?

Znów ją pocałował - tym razem trochę bardziej namiętnie. I w ostatniej chwili cofnął głowę, żeby nie dać się ponieść zmysłom.

- Oto, co mnie spotyka za kochanie się z kobietą, która miała same piątki z angielskiego - odparł ze śmiechem.

- Same piątki ze wszystkiego - przypomniała wyniośle.

Nie dał się nabrać na ten ton.

Caroline była ostatnią osobą na świecie, która by się przechwalała. I ostatnią, która by czegoś nie zauważyła - zwłaszcza tego, jak na niego działa. Musnął ustami jej wargi. Żartobliwie zwodził zarówno siebie, jak i ją.

- Co powiesz na poemat epicki?

Ogień, który wzniecał Sloan, sięgał coraz wyżej. Ujęła w dłonie twarz żartownisia i z ustami na jego ustach odpłaciła mu pięknym za nadobne.

- Może być - oświadczyła.

Gdyby nawet nie wierzyła w sens żartobliwego przekomarzania, to zawsze mogłaby udawać. Właśnie dzięki udawaniu osiągnęła aż tyle. Przecież udawała przed samą sobą, że Sloan traktuje poważnie ich przelotny związek. Wiedziała, że jest równie trwały jak słowa napisane na piasku, które zmiecie pierwszy powiew wiatru. Ale udawała, że jest inaczej.

Sloan zaczynał się przyzwyczajać do naglącej konieczności, która przejmowała władzę nad jego ciałem i umysłem. Pojawiała się za każdym razem, ilekroć przebywał z Caroline sam na sam, a często nawet i wtedy, gdy tuż obok nich hałaśliwie bawili się jego synowie.

Nie umiał uciec od tego uczucia. Pragnął Caroline. W dzień i w nocy. Zawsze.

Czy był to skutek uboczny faktu, że znów potrafił czuć? A może chodziło o coś innego?

Nie miał pojęcia.

- Znów to robisz. - Caroline leciutko musnęła palcami jego zmarszczone brwi.

Jej słowa wyrwały go z zamyślenia.

- Co? - spytał, choć dobrze wiedział, co usłyszy.

- Analizujesz. Rozpatrujesz. Przygarnął ją do siebie.

- Chcesz, żebym przestał myśleć?

- Tak - odparła bez wahania. - Po prostu odczuwaj. - Wszystko, co sama czuła, wyraziła pocałunkiem, który złożyła na ustach Sloana. Jej gorący oddech owionął jego szyję. - Myśl sercem.

Gdy ręce Sloana wzięły ją w posiadanie, ogarnął ją żar, którego nawet nie próbowała schłodzić. Teraz liczyło się tylko to, że mogła kochać Sloana. Później ta miłość sama się wypali.

Zawsze można też udawać, że tak się stało.

Josh drzemał na kanapie. Wanda oderwała wzrok od ekranu telewizora. Delikatnie się odsunęła i wstała, żeby odprowadzić córkę do wyjścia.

- Pokaż się.

Caroline przyjęła pozę wystrojonej lalki i powolutku się obróciła. Obcisła, czerwona sukienka wspaniale podkreślała smukłą figurę. Uznała, że jest matce winna tę prezentację. Jako nieuleczalna romantyczka, Wanda Masters chciała powtórnie przeżyć młodość - tym razem poprzez córkę. Do tej pory nie miała po temu okazji. W szkole średniej życie towarzyskie Caroline ograniczało się do udziału w zajęciach kółek zainteresowań.

- Ślicznie wyglądasz, kochanie. Obiecuję, że nie będę na ciebie czekać. - Matka spojrzała na nią znacząco.

Jej uwaga zdumiała Caroline. Na swój sposób matka właśnie oświadczyła, że nie ma nic przeciwko temu, aby córka spędziła noc u Sloana. Kiedy stała się taka tolerancyjna?

- Mamo, idę tylko na szkolne przedstawienie. To bardzo niewinna randka.

Randka. Właśnie tak nazwała to spotkanie. Szła na randkę ze Sloanem Waltersem. A więc w końcu do tego doszło. Z siedemnastoletnim opóźnieniem.

Wanda nie uwierzyła w słowa córki. Zdążyła utkać uroczy scenariusz i pragnęła, aby stał się rzeczywistością. Oczyma duszy już widziała Caroline w otoczeniu gromadki dzieci.

- Cóż, życie czasem mile nas zaskakuje.

Caroline nie wierzyła własnym uszom. Matka mówiła dzisiaj zadziwiające rzeczy.

- Będą ze mną synowie Sloana. Po premierze czeka nas poczęstunek za kulisami, a później wrócimy do domu z dziećmi - dodała z naciskiem. Żadne z nich nie chciało ryzykować, że zostaną złapani na gorącym uczynku przez któregoś z chłopców..

- Dzieci w nocy śpią.

Caroline parsknęła śmiechem i uściskała matkę.

- Nie do wiary, że w ogóle o tym rozmawiamy. Zawsze miałaś takie surowe podejście do spraw seksu. - W tej dziedzinie matka rzeczywiście nie nadążała za trendami współczesności. Nie potrafiła nawet sama uświadomić Caroline. Wyraźnie zdenerwowana wręczyła nastolatce kilka broszur i obiecała pomoc doktora Weisemana, gdyby córka nie zrozumiała ich treści.

- Miłość to co innego - zauważyła Wanda. Wzięła ze stolika przy drzwiach torebkę i podała ją córce.

- Tak, wiem. Cieszę się, że obie widzimy różnicę. Wanda uśmiechnęła się nieśmiało. Bardzo pragnęła, aby córka dobrze ją zrozumiała.

- Może obawa o życie twojego ojca trochę mnie zmieniła. Obecnie chciałabym cieszyć się każdą minutą spędzoną razem z nim. I marzę, żebyś też tak umiała się cieszyć Caroline.

- Uwierz mi mammo, że chyba pierwszy raz w życiu naprawdę się cieszę.

Wanda z zadowoleniem skinęła głową.

- Tak myślałam. - Zauważyła zdziwienie córki i dodała: - Zawsze kochałaś Sloana. Sądzisz, że o tym nie wiedziałam?

Nawet teraz Caroline była skłonna zaprzeczyć. Robiła to od tak dawna, że weszło jej to w krew.

- Przecież nigdy nic takiego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś. Wystarczyło popatrzeć ci w oczy. Odchorowałaś jego ślub.

Caroline słuchała zaskoczona. Jeśli matka знаła przyczyny jej cierpienia, to dlaczego nie spróbowała go ukoić?

- Nigdy nie napomknęłaś o tym ani słowem.

Na policzki Wandy wypłynął rumieniec wstydu. Zdawała sobie sprawę z tego, że przed laty jako matka nie zdała egzaminu. Zawiodła córkę, gdy potrzebowała ona emocjonalnego wsparcia. O wiele łatwiej było po prostu udawać, że o niczym się nie wie.

- Nie miałam pojęcia, co ci powiedzieć - wyznała bezradnie. - Nie każda matka potrafi w odpowiedniej chwili użyć odpowiednich słów. Obawiam się, że ja nie stanęłam na wysokości zadania.

- To nieprawda. - Caroline znów przytuliła matkę, wzruszona jej stwierdzeniem. Musiała wyjść, zanim całkiem się rozczuli.

Jeszcze nie udało się jej znaleźć takiego tuszu do rzęs, który byłby naprawdę wodoodporny. A dzisiaj wolała nie wyglądać jak miś panda. - Lepiej już pójde, bo Sloan gotów pomyśleć, że o nim zapomniałam. Rano nawalił mu samochód, więc muszę zawieźć panów Waltersów do szkoły. - Cmoknęła matkę w policzek. - Do zobaczenia.

- Baw się dobrze! - zawołała za nią Wanda.

- Na pewno będzie. Przecież ma randkę ze Sloanem! Wanda zamknęła drzwi i odwróciła się zdumiona.

- Myślałam, że śpisz. Słyszałeś całą naszą rozmowę?

Josh uśmiechnął się figlarnie. Tak bardzo przypominał teraz owego młodego mężczyznę, który wkroczył w jej życie trzydzieści pięć lat temu.

- Zdziwiające, ile można się dowiedzieć, udając, że się drzemie.

- Ty stary lisie!

Parsknął śmiechem i posadził ją obok siebie.

- Jeszcze nie taki stary, Wando. W tej chwili znów czuję się całkiem młodo.

Pochyliła się i dała mu całusa.

Kto by pomyślał, że matka sama popchnie ją w ramiona Sloana? Caroline ledwie mogła w to uwierzyć. Tyle tylko, że już nie trzeba jej popychać, ponieważ zniknęło uczucie niepewności, które przedtem zawsze ją paraliżowało. Teraz wiedziała, że Sloan jej pragnie. Czytała to z jego oczu, poznała z jego pieśczoć. A co do miłości... cóż, może przyszłość jakoś rozwiąże ten problem.

Na razie wszystko układało się dobrze. Aż za dobrze. Ojciec odzyskiwał zdrowie szybciej, niż oczekiwano. Plany dotyczące powrotu do Bedford zostały zrealizowane. Caroline przypadkiem udało się odkupić gabinet doktora Brady'ego. Zamierzała rozpocząć praktykę lekarską pierwszego sierpnia. A romans ze Sloanem wprowadził ją w stan euforii.

Nie należy zastanawiać się nad przyszłością. Trzeba skoncentrować się na teraźniejszości, uznała. Na teraźniejszości, która przeszła najśmielsze marzenia. Dwa tygodnie temu, po przyjęciu, kochali się po raz pierwszy. Randki ze Sloanem dodawały skrzydeł, a przebywanie z jego synami sprawiało jej prawie taką samą radość, jak chwile spędzone tylko z nim.

Nie mogło być lepiej. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Dlaczego więc obawiała się w skrytości ducha, że szczęście może się od niej odwrócić? Dlaczego musiała je rujnować, martwiąc się nie wiadomo czym?

- Dla swojego własnego dobra powinnaś przestać się zadręczać - mruknęła do siebie i skręciła w ulicę Sloana.

Sloan zerknął na zegarek. Zostało niecałe pół godziny, a on ciągle szukał swoich czarnych butów. Dobrze mi tak, skoro nie potrafię utrzymać porządku, pomyślał ze złością.

Zaklął, podnosząc się z klęczek, ponieważ nie znalazł pantofli także pod stolikiem w salonie. Zajrzał już w każdy kąt i zaczynał tracić nadzieję.

- Hej, dzieciaki! - zawołał. - Czy któryś z was widział moje czarne buty?

- Jasne. Mnóstwo razy. - Danny wszedł do pokoju. Poruszał się sztywno, ponieważ miał na sobie ubranie, którego nie cierpiał.

Sloan westchnął ciężko. Nadzieja okazała się płonna.

- Chodziło mi o to, czy nie natknąłeś się na nie na przykład dzisiaj.

Danny przecząco pokręcił głową. Wsunął wskazujący palec za kołnierzyk i spróbował rozluźnić go przy szyi.

- Tato, muszę iść w tej koszuli?

Sloan nie był w nastroju do dyskusji na temat mody lub buntowniczych postaw chłopców.

- Tak, musisz. Nie zaszkodzi, jeśli choć raz będziesz wyglądał elegancko.

- Otworzył szafę w korytarzu. Wytoczyła się z niej piłka do koszykówki. Ani śladu butów. - Gdzie, u licha, się podziały? - Joey, znowu bawiłeś się moimi pantoflami?

- Nie, tato. - Joey przywłókł się do salonu, równie nieszczęśliwy z powodu ubrania jak starszy brat. Dlaczego musiał włożyć ten głupi garnitur? Przecież podkoszulek i dżinsy są dużo wygodniejsze. A plamy po czekoladowych lodach prawie całkiem zeszły.

Sloan przypuszczał, że jeden z synów dla zabawy chodził w jego butach i zapomniał, gdzie je zostawił. Obaj chłopcy uwielbiali przebieranki.

- Nie mogę iść na bosaka - mruknął sam do siebie. Brązowe półbuty nie pasowały kolorem do spodni, a już nie miał czasu się przebierać.

- Weź moje buty - zaproponował wspaniałomyślnie Joey. Gdyby tata je włożył, to może pozwoliłby mu założyć dżinsy.

- Są za małe. - Sloan westchnął. Przeszukał już chyba cały dom. Nie pozostawało nic innego, jak zacząć od początku. Mruczając pod nosem przekleństwa, ruszył na górę. I nagle doznał olśnienia. Łóżko! Nie zaglądał pod łóżko! Oczywiście. Dopiero teraz sobie przypomniał, że gdy ostatnio szedł do sypialni, miał na sobie czarne buty.

Pełen nadziei pognął na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Właśnie wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

- Ja otworzę - pisnął Joey. - Odwrócił się na pięcie i pobiegł do wejścia.

- Nie, ja jestem starszy! - Danny usiłował go wyprzedzić.

- Najpierw zapytajcie, kto to - przypomniał im Sloan i zniknął w sypialni.

- Na pewno Caroline! - Joey nie krył radości. - Obiecała, że po nas przyjedzie.

Danny spojrzał na niego z góry.

- Zawsze pytaj, zanim otworzysz - pouczył brata tonem pełnym wyższości.

Joey machnął w jego stronę zagipsowaną ręką, ale Danny zręcznie uniknął ciosu. Musiał nauczyć się tej sztuki, ponieważ Joey z wielką wprawą używał gipsu w charakterze broni.

Danny z racji wzrostu niewiele mógł dojrzeć przez wizjer, ale wspiął się na palce i dopełnił rytuału.

- Kto tam?! - zawołał i chwycił gałkę, żeby uprzedzić młodszego brata. Joey natychmiast się naburmuszył.

Po drugiej stronie drzwi Caroline uśmiechnęła się do siebie. Dobrze wiedziała, co dzieje się wewnątrz. Wystarczająco często miała okazję obserwować Danny'ego i Joeya.

- To ja, Caroline.

Drzwi otwały się na oścież i powitało ją dwóch chłopców, którzy najwyraźniej niezbyt dobrze się czuli w odświętnych ubraniach.

- Ojej, kun są ci dwaj przystojni panowie? Ja szukam braci Waltersów. Joey trochę się speszył.

- Nie poznajesz nas, Caroline? To my. - Wskazał kciukiem na siebie i brata. - Joey i Danny.

- Przecież ona wie, ty głupku. - Danny szturchnął go pod żebro. - Tylko się przekomarza. - Spojrzał na Caroline, oczekując potwierdzenia. - Prawda?

Odpowiedziała, starannie dobierając słowa:

- Troszkę się przekomarzam, ale wy naprawdę wyglądacie bardzo elegancko. - Pochyliła się i poprawiła przekrzywiony krawat Danny'ego. - Do twarzy ci w niebieskim, Dan.

Danny cały się rozpromienił. Podobała mu się ta wersja jego imienia. Poczł się jak ktoś dorosły.

Caroline rozejrzała się po pokoju. Spodziewała się, że Sloan także będzie na nią czekał, gotowy do wyjścia. Oboje nie lubili się spóźniać.

- Gdzie jest nasz reżyser? - spytała, a Danny popatrzył na nią niepewnie. - Wasz tata - dodała.

- Aha! - Teraz już zrozumiał. - Poszedł do sypialni. Szuka butów.

- Oho. - Mrugnęła do nich porozumiewawczo. - Chyba powinnam mu pomóc. Nie znam mężczyzny, który znalazłby to, czego szuka, gdy czas nagli.

- Możemy iść z tobą? - spytał Danny, a Joey zaraz mu zawtórował.

Uznała, że nie powinni plątać się pod nogami, bo Sloan pewnie jest zdenerwowany, więc taktownie podziękowała.

- Nie, lepiej zostańcie tutaj i postarajcie się nie pognieść ubrań.

Obaj posłusznie usiedli na kanapie, a Caroline pośpieszyła na górę.

- Sloan? Gdzie jesteś? Znalazłeś pantofle?

Weszła do pokoju. Sloan siedział na łóżku, odwrócony plecami do drzwi. Sprawiał wrażenie zrozpaczonego. Ach, ci mężczyźni, pomyślała. Jej ojciec także nigdy nie mógł niczego znaleźć.

- Głowa do góry, przybyły posiłki - zaszcebiotała. - Przypadkiem nie pamiętasz, kiedy... - Urwała, ponieważ zobaczyła jego twarz. Miał taką minę, jak gdyby przytłoczył go ciężar całej kuli ziemskiej. Dokładnie taką samą jak wtedy, gdy poinformowano go o śmierci Julie.

Serce Caroline ścisnęło się boleśnie. Sloan był załamany, ale na pewno nie z powodu pary butów. Musiało się stać coś straszego.

- Sloan? O co chodzi?

O wszystko, odparł w myśli. Jak w ogóle mógł przypuszczać, że poczuje coś do innej kobiety? Odetchnął głęboko. Dusił go emocje. Nie był w stanie wydobyć głosu. Milczał, tuląc do piersi pantofel.

Pantofel Julie.

Przypomniał o tym, z czym Sloan tak bardzo starał się raz na zawsze pożegnać. O stracie i cierpieniu. O gniewie. O wszystkich uczuciach, których nigdy nie uzewnętrznił, a które, jak sądził, pokonał. Obawiał się, że teraz one pokonają jego.

- Zajrzałem pod łóżko, szukając butów - powiedział powoli, bezosobowym głosem. - Znalazłem to. One chyba go nie zauważyły.

- One? - spytała szeptem.

- Jej matka i siostry. - Nie potrafił nawet zmusić się do wymówienia imienia Julie. - Poprosiłem je, żeby wzięły jej rzeczy i przekazały na cele dobroczynne. - Umilkł, jak gdyby chciał zebrać siły. Gdy znów się odezwał, jego głos miał drewniane brzmienie. - Przecież nam i tak by się nie przydały. - Na moment zacisnął wargi. - Najwyraźniej nie zauważyły.

Po policzku spłynęła mu łza. Niech to cholera, pomyślał. Dlaczego nie potrafił nad sobą zapanować?

Caroline spostrzegła tę łzę i zapragnęła ukoić jego ból. I swój także. Przysięgłaby, że słyszy ironiczny śmiech losu.

Rozdział 15

Położyła dłoń na ramieniu Sloana, tym gestem sugerując, że go rozumie. Poczwała, że zeszytniał. Nadal dusił w sobie całą udrękę i bezmierny żal.

Przez chwilę miała ochotę odejść, ale to byłoby egoistycznym posunięciem. Przecież to Sloan najbardziej potrzebował pomocy.

- Spróbuj pozwolić sobie na cierpienie. Okaż je, opowiedz o nim. To naturalny proces, który prowadzi do ukojenia.

Milczał, a na jego twarzy malował się surowy wyraz, z powodu napiętych mięśni wyglądała jak wyciosana z kamienia. Caroline domyślała się, że Sloan toczy ze sobą wewnętrzną walkę, gwałtownie zaatakowany emocjami, które domagały się ujścia. Ale on wciąż nie pozwalał im się wydostać.

- Och, Sloan, musisz dać upust swojej boleści.

Jeśli tego nie zrobisz, to nie pojawi się miłość. Nie będzie dla niej miejsca w twoim sercu, pomyślała błagalnie.

Objęła go, ale odsunął się i wstał. Wiedział, że zacząłby płakać, gdyby go przytuliła. Nie zdołałby powstrzymać łez. A przecież nie mógł się rozkleić. Dlatego ją odepchnął. Nie zraniłby jej bardziej, nawet gdyby z rozmysłem chciał to zrobić.

- Spóźnimy się - wycedził lodowato. Wychodząc z sypialni, wrzucił pantofel do kosza na śmieci.

W tej samej chwili do pokoju wpadli Joey i Danny. Obaj podskakiwali jak dwa małe szczeniaki.

- Nie idziesz, Caroline? - spytał Joey.

- Oczywiście, że idzie. Musi. Przecież jest kierowcą - wyjaśnił mu brat z miną osobnika starszego i znacznie mądrzejszego. Spojrzenie, które posłał Caroline, zawierało jednak znacznie mniej pewności.

Siłą woli wzięła się w garść. Nie zamierzała obciążać dzieci swoim żalem ani mówić im o rozpaczach ojca. I tak same wkrótce się zorientują.

Objęła obu chłopców i przełknęła gorące łzy, które lada moment poleciałyby jej z oczu. Nie powinni zobaczyć jej w takim stanie.

- Już jestem gotowa, dzieciaki. Chodźmy obejrzeć przedstawienie.

Krótką jazdą do szkoły odbyłaby się w kłopotliwym milczeniu, gdyby nie Joey i Danny. Znow zaczęli się o coś kłócić i ich piskliwe głosy wypełniły wnętrze samochodu.

Caroline cieszyła się z tego rozpraszającego hałasu. Cisza byłaby nie do zniesienia. Sloan siedział obok i w ogóle się nie odzywał. Caroline wyczuwała jego cierpienie, ale nie mogła pomóc, ponieważ on jej na to nie pozwalał.

Wiedziała, że otoczył się murem, za który nie zamierza jej wpuścić. Prawdopodobnie nigdy.

Sloan czuł, że potrzebuje czasu, aby zebrać myśli, ale nim nie dysponował. Wkrótce czekało go spotkanie z grupą zdenerwowanych uczniów. Musiał zapanować nad ich tremą i wesprzeć ich emocjonalnie.

Może to i dobrze, że miał się czym zająć. Właściwie wcale nie chciał myśleć. Pragnął tylko odzyskać kontrolę nad swoimi rozhuśtanymi emocjami. Popaść w dawne odrętwienie. Znow nic nie czuć. Tak jak przed przyjazdem Caroline.

Po raz pierwszy żałował, że nie pije. Alkohol z łatwością potrafi stępić każdą żywszą myśl i każde uczucie.

Wysiadł z auta i spojrzał na Caroline. Nie miał zamiaru wyzywać się na niej, ale gdyby nie ona...

- Muszę iść za kulisy. Chłopcy, trzymajcie się Caroline. Zobaczymy się po przedstawieniu. - Znow zerknął na Caroline. - Przykro mi. - Odwrócił się i odszedł.

- Mnie też - szepnęła prawie bezgłośnie.

- Dlaczego tacie jest przykro? - spytał Joey.

- Ponieważ nie może siedzieć z nami na widowni.

- Dlaczego? - dopytywał się Joey.

- Będzie zajęty za kulisami.

- A my nie możemy tam iść? - Danny uwiesił się na jej ramieniu. -

Przecież wszystkich znamy.

Caroline wręczyła bilety stojącej przy drzwiach uczennicy i wprowadziła chłopców do sali.

- Was czeka ambitne zadanie - oświadczyła. - Będziecie głośno klaskać.

- Powinniśmy poćwiczyć? - Danny pamiętał, co ojciec mówił o aktorstwie.

Caroline znalazła ich miejsca w pierwszym rzędzie.

- Nie. Macie wrodzony talent.

Pytania, które jej zadawali, zmuszały do odpowiedzi, ale nie pozwalały zapomnieć o tym, że to na pewno ostatni wieczór, jaki spędza ze Sloanem i jego synami. Serce o mało nie pękło jej z bólu.

Sloan odetchnął z ulgą. Przedstawienie trwało dwie godziny i piętnaście minut - nieco dłużej niż próba kostiumowa. Premiera okazała się większym sukcesem, niż przypuszczali. Allison i Matt stworzyli wspaniały duet. Publiczność bawiła się fantastycznie. Po finale zespół wychodził przed kurtynę siedem razy.

Na koniec z szeregu wystąpiła Allison. W ramionach trzymała piękny bukiet herbacianych róż, które dostała od Matta. W kilku ciepłych słowach wyjaśniła, że sztuka zrobiłaby totalną klapę, gdyby nie wysiłek i pomoc pana

Sloana Waltersa. Widzowie przyjęli to oświadczenie kolejnym wybuchem aplauzu.

Sloan zauważył minę wicedyrektorki i uznał, że słowa Allison były ostatnim gwoździem do jego trumny. Sprawa reżyserowania przyszłorocznego spektaklu została przesądzona. Aby tego uniknąć, musiałby wyprowadzić się z Bedford. Chociaż z drugiej strony, rola reżysera nie wydawała się aż taka nie-miła...

Ktoś wybiegł zza kulis i podał Allison grawerowaną plakietkę.

- To tylko mały dowód naszego uznania i wdzięczności. Wszyscy złożyliśmy się na ten drobiazg - powiedziała dziewczyna. - „Dla pana Waltersa - przeczytała - dobrego reżysera, jeszcze lepszego nauczyciela i wspaniałego przyjaciela”. - Allison wręczyła prezent Sloanowi i musnęła ustami jego policzek.

- Dzięki za małą nauczkę - szepnęła i odeszła, aby stanąć u boku Matta.

Jedno spojrzenie, jakie mu posłała, upewniło Sloana, że już nie musi obawiać się głuchych telefonów w środku nocy.

- Chciałbym podziękować moim aktorom za ich zaangażowanie. Praca z wami była dla mnie przeżyciem, którego na pewno nie zapomnę. A teraz zapraszam wszystkich obecnych na tort.

- Czy my też możemy iść? - spytał Joey. - Chyba już nie musimy klaskać?

- Jego małe nóżki same podskakiwały.

- Oczywiście, że nie - zapewniła z uśmiechem Caroline.

- Biegnijcie, tylko starajcie się nikogo nie przewrócić.

Wątpiła, czy usłyszeli jej ostrzeżenie, ponieważ natychmiast pognali po schodach z boku sceny. Niespiesznie podążyła za dziećmi

Za kulisami panował tłok i gwar. Zebrali się tutaj zarówno uczniowie, jak i nauczyciele oraz sporo rodziców. Wszyscy dopiero teraz odreagowywali treść i stres. Na długim, wypożyczonym ze stołówki stole znajdowało się mnóstwo

różnych deserów. Kilka dziewcząt nakładało tort i ciasteczka na talerzyki Danny'ego i Joeya.

Caroline wzrokiem poszukała Sloana. Stał z boku, otoczony gronem rodziców i swoich kolegów. Najwyraźniej przyjmował od nich gratulacje i chyba dobrze się bawił. Ucieszyła się, że wygląda na zadowolonego i szybko odwróciła się, aby uniknąć kontaktu wzrokowego.

- Jesteś smutna, Caroline? Nie dostałaś tortu? - Joey uniósł swój deser, żeby mogła mu się przyjrzeć. - Chcesz trochę mojego?

- Nie, dziękuję, skarbie. Nie mam ochoty na słodycze.

- To tort czekoladowy! Boli cię brzuch, Caroline? - Danny przestał jeść i przyglądał się jej zaniepokojony.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, kochanie, ale dziękuję, że spytałeś.

Prawdę mówiąc, nie czuła się dobrze. Nie mogła czuć się dobrze, skoro wszystko właśnie się kończyło. A przecież jeszcze w pełni się nie rozwinęło. Los znów zrobił jej brzydki kawał. Musiała tylko znaleźć w sobie dość siły, aby ostatecznie zamknąć za sobą drzwi.

Po udanej premierze Sloan odetchnął z ulgą. Dręczyły go jednak wyrzuty sumienia. Miał sobie za złe sposób, w jaki wcześniej potraktował Caroline. Musiał jakoś ją przeprosić, sprawić, aby mu wybaczyła.

- Może wpadniesz na kawę? - zaproponował, gdy zatrzymała samochód przed domem. Chciał położyć chłopców spać i spokojnie z nią porozmawiać. Wiedział, że nie jest w stanie dać jej tego, na co zasługiwała, ale pragnął, żeby pozostali przyjaciółmi.

Pokręciła przecząco głową. Wolą nie przedłużać pożegnania. Zaciągnęła ręczny hamulec, ale nie zgasiła silnika.

- Nie, dziękuję. Jest późno.

Nie chciał, żeby teraz odjechała. W jej głosie brzmiała dziwna nuta, która wprawiała go w zakłopotanie. Czuł, że powinien wyjaśnić jej swoje zachowanie.

- Zaczekaj chwilę, wpuszcę chłopców do domu. - Przytrzymał drzwiczki, gdy wysiadali. Już dawno minęła pora, o której kładli się spać, toteż obaj sprawiali wrażenie bardzo zmęczonych.

Nie zamierzała czekać, bo lada moment mogła się rozplakać.

- Nie, Sloan, lepiej już pojedę.

- Zaczekaj - powtórzył stanowczo.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi posłuchała go. Na policzku wciąż czuła buziaki, którymi pożegnali ją Danny i Joey. Ciepło tych pocałunków tylko zwiększyło jej cierpienie.

Sloan wprowadził synów do domu i zapalił światło w korytarzu.

- Idźcie się umyć, wskakujcie w piżamy i do łóżek. Zaraz do was zajrzę.

Ruszyli po schodach na górę, tym razem zbyt zmęczeni, aby protestować.

Szybko wrócił do samochodu. Obawiał się, że Caroline nie zechce długo czekać.

- Wybacz, że nie zajmowałem się tobą podczas przyjęcia - zaczął drętwo - ale było tyle...

- Nie mam ci tego za złe. Cieszę się, że wszyscy ci gratulowali.

Zasłużyłeś na te wyrazy uznania. Świetne przedstawienie.

W tej chwili mało go obchodziło przedstawienie. Ważne było tylko to, że Caroline jest przygnębiona, a on nie wiedział, co powiedzieć i jak ratować ich przyjaźń.

- Więc dlaczego masz taką ponurą minę? - Liczył na to, że Caroline wyjaśni przyczyny swojego złego nastroju i oboje spróbują oczyścić atmosferę.

Skoro zapytał, to znaczy, że nie wiedział. Nie rozumiał. Prawdopodobnie nigdy nie zrozumie.

- Z powodu tego, co zaszło wcześniej - odparła szczerze. - W twojej sypialni.

Usiłował wziąć się w garść, zanim znowu górę wezmą emocje. Przecież ona nic tu nie zawiniła.

- Co ja takiego powiedziałem?

On naprawdę tego nie pojmuję, pomyślała. I zrobiło się jej. jeszcze bardziej przykro.

- Nic. - Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. - Właśnie o to chodzi. Nie powiedziałeś nic i odepchnąłeś mnie.

Przecież tylko usiłował ją chronić. Po co miałyby przeżywać mękę, która rok temu stała się jego udziałem?

- Nie powiedziałem nic, ponieważ nie ma nic do powiedzenia.

Czy on naprawdę wierzył w swoje słowa? Przez sekundę miała ochotę poprosić go, aby wysiadł, i odjechać. Tak postąpiłby tchórz, a ona już przestała się bać tego, że żyje.

- Mylisz się, Sloan. Jest wiele rzeczy, które mógłbyś wypowiedzieć na głos, a ty dusisz je w sobie. I w efekcie cierpisz.

- Nie chcę dzielić z tobą swojego cierpienia, Caroline. Wolę, aby naszym udziałem było to co radosne. - Właśnie po to jej potrzebował - aby rozjaśniła jego życie.

- Ale tak nie można, Sloan. Ja chcę z tobą dzielić zarówno ból, jak i radość. Po prostu wszystko. Albo nic. - Westchnęła. - A ponieważ chyba nie ma szans na to pierwsze, więc pozostaje tylko to drugie. - Przygryzła wargi, usiłując powstrzymać łzy. Jeszcze tego brakowało, żeby się rozplakała. - Sądzę, Sloan, że przez pewien czas nie powinniśmy się widywać.

- Nie mówisz tego poważnie. - Gapił się na nią oszołomiony, jak gdyby właśnie dostał cios w żołądek.

- Jak najbardziej poważnie. - Kto by pomyślał, że do tego dojdzie? To wszystko wydawało się w tej chwili tragikomiczne. - Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek to powiem, ale rzeczywiście nie chcę się z tobą spotykać. - Patrzyła gdzieś przed siebie, jak gdyby się bała, że zmieni zdanie, jeśli spojrzy na Sloana. - Ta sytuacja jest dla mnie zbyt bolesna. Może narzuciliśmy sobie za szybkie tempo. Może nasza zażyłość nie miała odpowiednich podstaw. Sama nie

wiem. Jedno jest pewne - nie mogę z tobą przebywać i pragnąć cię, mając świadomość, że nie należysz do mnie. Chcę mieć dzieci i męża, który odda mi swoje serce. Ty tego nie zrobisz, Sloan. - Pod powiekami paliły ją łzy. Zamrugwała, aby nie zebrały się na rzęsach. - Lepiej idź i zajmij się chłopcami. Będą się zastanawiać, gdzie przepadłeś. Nie miał pojęcia, co powiedzieć, więc wysiadł.

- Caroline... - zawołał, gdy samochód zaczął się cofać.

- Do zobaczenia, Sloan - mruknęła. Byle nie wkrótce, dodała w myślach. Szybko odjechała, żeby nie zmienić zdania i nie zawrócić.

Wszedł do domu, zirytowany do granic możliwości. Położył synów spać, odpowiadając na ich pytania, chociaż nawet ich nie słyszał i nie wiedział, co mówi.

Następnie poszedł do swojej sypialni i cicho zamknął za sobą drzwi, choć miał przemożną ochotę nimi trzasnąć. Chętnie rzuciłby coś o ścianę i patrzył, jak przedmiot rozbija się na milion kawałków. Tak jak rozsypuje się życie człowieka, który nagle traci ukochaną osobę.

Przez chwilę zastanawiał się, czy rzeczywiście czegoś nie stłuc. Może zdołałby w ten sposób uwolnić gniew, który odbierał zdolność myślenia i oddychania. Pohamował się jednak, żeby nie przestraszyć Joeya i Danny'ego.

Sloan wściekał się na Caroline, ponieważ domagała się od niego rzeczy, których nie mógł jej dać. Wściekał się na siebie, ponieważ przy niej nie potrafił nad sobą zapanować. Szkoda, że mężczyźni nigdy nie płaczą. Nie tracą kontroli nad swoimi emocjami. Przynajmniej jemu to się nie zdarzało.

Najbardziej był wściekły na Julie, ponieważ umarła i zostawiła go samego.

Ta nieoczekiwana myśl podziałała na niego jak uderzenie w twarz. Nagle z całą jasnością zrozumiał, co tłamsił w sobie od tak dawna. Tłamsił swoją złość na Julie. To właśnie ta złość zżerała go od środka.

Julie nie ponosiła winy za swoją śmierć.

Nie istniał cel, na który można by skierować gniew.

Powoli, jak na zwolnionym filmie, Sloan podszedł do kosza na śmieci. Schylił się i wyjął z niego pantofel. Przytulił go do serca, zamknął oczy i pozwolił, aby powróciły wspomnienia.

I wtedy zaczął płakać.

Pustka z każdym dniem stawała się bardziej przeraźliwa. Caroline radziła sobie z nią w jedyny znany jej sposób. Starła się ją wypełnić. Zajmowała się wieloma sprawami, aby nie mieć czasu myśleć.

Obowiązków rzeczywiście jej nie brakowało. Nazajutrz po premierze aktywnie zajęła się rehabilitacją ojca. Nadzorowała jego ćwiczenia podczas nieobecności fizykoterapeuty. Pomagała również matce, uczyła ją wielu praktycznych rzeczy, których Wanda do tej pory nigdy nie robiła. Z dobrym skutkiem wprowadzała matkę w lata dziewięćdziesiąte.

W wolnym czasie przygotowywała się do rozpoczęcia praktyki lekarskiej. Musiała wynająć pielęgniarki, sprowadzić wyposażenie, kupić meble oraz odnowić gabinet. Dotychczasowy wystrój wnętrza nie stwarzał atmosfery odpowiedniej dla małych pacjentów. U lekarza dzieci powinny czuć się bezpiecznie.

Caroline postarała się, aby w rozkładzie jej dnia nie pozostała nawet chwila pozwalająca na myśli o Sloanie.

Ale były jeszcze sny.

W nich wciąż widziała jego twarz. W nocy nie mogła od tego uciec.

Toteż sypiała coraz krócej. Wiedziała, że w końcu o nim zapomni.

Za jakieś sto lat.

Gdy urządzenie gabinetu weszło w stadium końcowe, jej nastrój trochę się poprawił. Realizowała swoje marzenie. Zawsze chciała być pediatrą.

Oraz żoną Sloana.

Pięćdziesiąt procent to niezły wynik, uznała, wchodząc do swojej małej przychodni. Zerknęła na zegarek. Było tuż po dziesiątej. Matka nalegała, że

dzisiaj sama dopilnuje ćwiczeń ojca, toteż Caroline nie miała nic do roboty. Odpoczynek nie wchodził w grę. Stanowił za duże zagrożenie, ponieważ pozwałała błądzić myślom. Dlatego Caroline postanowiła przyjść tutaj. Zamierzała przejrzeć oprogramowanie komputera. Koniecznie musiała kupić nowy sprzęt.

Powitał ją zapach świeżej farby. Malowanie szło wolniej, niż oczekiwała, ale wynajęty malarz wolał pracować sam.

- Dzięki temu wiem - powiedział, gdy przyjmowała go do pracy - że wszystko jest wykonane jak należy.

Caroline niczego mu nie narzucała. Przedstawił doskonale referencje i okazał się solidny, ale dzisiaj się spóźniał. Poszła korytarzem, starając się nie poślizgnąć na porozkładanych na podłodze plastikowych płachtach.

- Ramon? - Stwierdziła, że jedno z pomieszczeń jeszcze nie jest pomalowane. - Gdzie jesteś? - Zajrzała do dwóch gabinetów badań, ale dopiero w trzecim zauważyła sylwetkę mężczyzny. - Dlaczego nie włożyłeś kombinezonu?

- Włożę, jeśli chcesz.

- Sloan? - Jej serce zabiło gwałtownie. - Co tu robisz? Przecież postanowiliśmy więcej się nie spotykać.

Podszedł do niej. To, że się tu zjawiał, wiele go kosztowało. Musiał zrobić gruntowny rachunek sumienia. O decyzji przesądziła wszechogarniająca pustka. Z tego, że go opuściła, zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy powróciła.

Odeszła dzięki Caroline. Dlatego pragnął, aby Caroline znów wypełniła jego życie. Ich życie. Jego i chłopców.

- Ty postanowiłaś - przypomniał. Chciał chwycić ją w ramiona i pocałować. Ledwie zdołał zwalczyć tę pokusę. Najpierw muszą porozmawiać.

Cofnęła się, pełna obaw, że jeszcze chwila i rzuci się mu na szyję, gotowa zaakceptować wszystko, co jej powie. A to nie dałoby im szczęścia. Rozejrzała się nerwowo. Potrzebowała towarzystwa kogoś postronnego, żeby nie popełnić głupstwa.

- Gdzie jest Ramon? - spytała. - Mój malarz? - dodała, widząc pytające spojrzenie Sloana.

- Ach, on. Poprosiłem, żeby zrobił sobie przerwę. - Spojrzał na zegarek. Mężczyzna wyszedł piętnaście minut temu. - Nie mamy dużo czasu. - Pod wpływem impulsu objął ją i przytulił. Cudownie było czuć ją przy sobie. - Tęskniłem za tobą.

Zmobilizowała całą siłę woli, aby nie zatracić się w jego objęciach. Oparła dłonie na jego ramionach i z trudem nad sobą zapanowała.

- Ja też za tobą tęskniłam, Sloan. Bardzo. - Ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje się silniejsza niż kiedykolwiek. - Nie możemy wrócić do tego, co było między nami. Nie możemy znów tak dryfować.

- Wiem.

A jednak chętnie wróciłyby do tamtej sytuacji. Mogła to przyznać. Sama przed sobą. Z rozkoszą zgodziłaby się znów dryfować, gdyby prąd niósł ich oboje. Mam wyjątkowo elastyczny kręgosłup moralny, pomyślała kpiąco.

Dostrzegł w jej oczach wahanie. Puścił ją i posadził na krześle.

- Musimy pogadać. To znaczy ja będę mówił, a ty będziesz słuchać. - Odetchnął głęboko i rozpoczął przemowę, którą powtarzał sobie od momentu, gdy podjął decyzję, czyli od wczorajszego wieczoru. - Po naszym rozstaniu spróbowałem zajrzeć w głąb swojej duszy. Miałaś rację co do mojej udręki. Zawsze ją w sobie tłamsiłem. Od śmierci Julie nie pozwoliłem sobie na ujawnienie tego, co czuję. - To wyznanie nie przyszło mu łatwo.

- Uznałem, że jeśli o czymś nie myślę, to tego nie czuję. A skoro nie czuję, to się nie załamie. W ciągu tego roku starałem się nawet nie wymawiać imienia Julie. - Tak bardzo pragnął, aby Caroline zrozumiała, co leżało u podstaw jego postępowania.

- Nigdy nie spotkało mnie nic straszniejszego od śmierci Julie. Umarł ktoś, kogo kochałem. Nie mogłem jej ochronić, zapobiec temu wypadkowi. Przeraziła mnie moja totalna bezsilność. A później w moim życiu pojawiłaś się

ty. I nagle znów potrafiłem się śmiać. Stopniowo zacząłem też coraz więcej czuć. - Zastanawiał się, czy ona pojmuje, kim dla niego się stała. W jaki sposób uratowała mu życie. - Gdy wtedy w sklepie na ciebie wpadłem, nawet nie przyszłoby mi do głowy, że mógłbym znów się zakochać. Przypuszczałem, że nie jestem do tego zdolny. Widocznie nie znałem siebie wystarczająco dobrze. - Na jego wargach zaigrał uśmiech. - Podobnie jak ciebie. Kocham cię, Caroline. Teraz jestem tego pewien. Te ostatnie dwa tygodnie bez ciebie były prawdziwym piekłem. Nie tylko dlatego, że Joey i Danny dali mi się we znaki, bo ich zdaniem zrobiłem coś nie tak i z tego powodu odeszłaś. Również dlatego, że bezustannie mi ciebie brakowało. Nie miałem z kim rozmawiać, z kim żartować, z kim odpoczywać. W nocy przewracałem się na łóżku z boku na bok i szukałem ciebie. - Ukląkł i ujął jej dłonie. - Pragnę, żebyś wypełniła moje życie na tak długo, jak to będzie możliwe. Wiem, że nie na zawsze. W końcu pogodziłem się z faktem, że jego częścią jest śmierć, ale wezmę wszystko, co los nam ofiaruje. - Studiował twarz Caroline, wypatrywał oznak tego, że jej nie utracił. - Co o tym sądzisz? Czy kochasz mnie na tyle, żeby dać mi szansę? Żeby spróbować? - spytał po chwili. Puścił jej rękę, wstał i przeczesał palcami włosy. Jestem egoistą, pomyślał. Mówię tylko o sobie. - Jak widzisz, założyłem, że mnie kochasz. Może nic do mnie nie czujesz. Może...

- Dasz mi wreszcie dojść do słowa? Parsknął śmiechem, ale napięcie nie zelżało.

- Dam.

Podniosła się z krzesła.

- To dobrze, bo mam sporo do powiedzenia. Po pierwsze, jeśli możesz wątpić, czy cię kocham, to chyba nie jesteś aż taki inteligentny, za jakiego zawsze cię uważałam. Po drugie, mamy przed sobą całą wieczność, ponieważ będę cię kochać zawsze. Na tym świecie i na każdym innym. A po trzecie, czy kocham cię na tyle, aby dać ci szansę? To najgłupsze pytanie, jakie mi zadałeś. Zawsze cię kochałam, Sloane Waltersie. Od dnia, w którym przyszedłeś na

lekcję angielskiego. Miałaś chmurną minę, a na sobie czarne drelichowe spodnie i czarny sweter.

Patrzył na nią oszołomiony.

- Pamiętasz takie szczegóły?

Uznała, że spostrzegawczość nigdy nie stanie się jego mocną stroną.

- Pamiętam absolutnie wszystko, co dotyczy ciebie. Przypomnij sobie, co ci mówiłam o potędze zakochanej kobiety.

Nie wierzył własnym uszom. Ona kochała go od tak dawna? Jak to możliwe, że tego nie zauważył?

- Nie wiedziałem...

- Nie miałeś wiedzieć. - Uśmiechnęła się czule. - Julie była moją najlepszą przyjaciółką. Oboje świata poza sobą nie widzieliście.

Nigdy by nie przypuszczał, że jest aż taki ślepy.

- A ten osobnik, w którym podobno kiedyś się durzyłaś, to byłem ja?

- Ty.

- Caroline, gdybym się chociaż domyślał...

Nie pozwoliła mu skończyć. Roztrząsanie przeszłości nie miało sensu.

- Żadnych „gdyby”, Sloan, tylko fakty.

Wziął ją w ramiona. Pustka znów znikła. Dzięki Caroline. Jakim cudem jeden mężczyzna mógł mieć takie szczęście dwa razy?

- Wyjdź za mnie, Caroline. Zostań matką moich dzieci. Moich wszystkich dzieci.

- To znaczy ilu? Pocałował ją w czoło.

- Całej gromadki - odparł ze znaczącym uśmiechem. - Musimy tylko jak najszybciej wziąć się do roboty. Co ty na to? Tak czy nie?

- Tak. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Tak pod każdym względem.

Odetchnął z ostentacyjną ulgą.

- Dzięki Bogu. Danny i Joey bez ciebie nie wpuściliby mnie do domu.

Serce wezbrało jej taką miłością, że prawie nie mieściło się w piersi.

- Zawsze przepadałam za tymi dzieciakami.
- Będziemy mieć więcej - obiecał, zbliżając wargi do jej ust.
- Na pewno.

Namiętnym pocałunkiem przypieczętowali tę umowę i swój wspólny los.



RS